

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/327

1974



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. CZAPSKI :

SOŁŻENICYN

K. OPALIŃSKI :

O DUCHU BEZPRAWIA

D. MORAWSKI :

KORESPONDENCJA Z RZYMU

**INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW ROCZNIKA
«KULTURY» ZA R. 1974**

SPIS RZECZY

Józef Czapski:	<i>Sołżenicyn</i>	3
Kazimierz Opaliński:	<i>O duchu bezprawia</i>	9
Czesław Miłosz:	<i>Zdania</i>	24

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	27
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	36
Roman Krukowiecki:	<i>Z ostatnich wydarzeń w NRF</i>	48

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	55
—	<i>Kronika ukraińska</i>	61

SPRAWY I TROSKI

Robert Rey:	<i>Golgota</i>	62
-------------	----------------------	----

K R A J

Antoni Gutowski:	<i>Statystyka ludziom na pociechę</i>	71
Zbigniew Byrski:	<i>Gierek w Ameryce</i>	80
—	<i>Kronika PRL</i>	84

WOLNA TRYBUNA

Feliks Mantel:	<i>Dylemat komunizmu</i>	86
----------------	--------------------------------	----

KRONIKA KULTURALNA

W. A. Zbyszewski:	<i>Wydział Prawa U.J.</i>	96
Filip Istner:	<i>„Czapka błazeńską nie można się kła- niać”</i>	106

KSIĄŻKI

A. K.:	<i>Krótko o książkach</i>	114
Józef Lewandowski:	<i>Aneksy do „Aneksu”</i>	117
Benedykt Heydenkorn:	<i>Pamiętniki polskich emigrantów w Ka- nadzie</i>	121
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	127
Danuta Mostwin:	<i>O niełatwości życia</i>	132
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	133

SPRAWY (NIE TYLKO) WYDAWNICZE

Adam Bromberg:	<i>Książki o nieprzemijającej wartości</i> ..	134
—	◆ <i>Wydarzenia miesiąca</i>	140
—	◆	
Stefania Kossowska:	<i>List do Redakcji</i>	149
—	◆	
—	<i>Indeks autorów i tematów „Kultury” za rok 1974</i>	151

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień - Décembre 1974

INSTYTUT



LITERACKI

**REDAKCJA « KULTURY » SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE**

mając nadzieję, że jednak kiedyś do nich dojdą.

Od połowy października bież. roku trwa we Francji strajk pocztowy, którego końca, jak dotąd nie widać.

Czeka na możliwość wysyłki listopadowy numer *Kultury* i 30-ty *Zeszyt Historyczny*, a numer grudniowy drukuje się. Tak jak wszyscy we Francji — jesteśmy bezsilni. Wierzymy, że nasi Czytelnicy zrozumieją nasze trudności i uzbroją się w cierpliwość, za co z góry dziękujemy.

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Ryszard Głodkowski, Saint Max (Francja), po raz dziesiąty	F.100,00
Dr R. L. Bojankiewicz, Welland, Ont. (Kanada)	F. 27,00
Polish Ex-Servicemen's Assn., Canberra (Australia)	F. 39,50
Bezimiennie z Paryża, po raz czwarty	F.500,00

DZIĘKUJEMY!

Sołżenicyn

Każdy kto sprzedaje choć w najlepszym celu rozum swój nie dodając do tego osoby swojej — knowa zdradę prawdy, bo prawda nie jest tylko wiedzą ale i życiem razem.

Norwid

Konferencja prasowa w Zürichu u Sołżenicyna. Giedroyc i ja wśród chyba 30-tu zaproszonych z prasy światowej dziennikarzy. Gwałtownie świecące reflektory telewizyjne bijące w oczy gospodarza, magnetofony dziennikarzy, tłumaczk, które słowa Sołżenicyna będą tłumaczyć półgłosem.

Pierwsze wrażenie to potężna, masywna postać Sołżenicyna. O ileż młodszy jest niż na znanych wszystkim zdjęciach; stoi oparty o wysoki kantorek najeżony mikrofonami, mówi wolno przez 4 godziny pod rząd (ma pod ręką kilka arkuszy notatek) donośnym, ani chwili nie słabnącym głosem. Dziennikarze stłoczeni, wplątani w kable telewizyjne, wśród oślepiających lamp — wszystko w dwóch niewielkich pokojach. Siedzimy zafascynowani treścią, poziomem przemówienia i bardziej jeszcze samą postawą mówcy, bijącą od niego nigdy dwuznaczną, nigdy pozorną siłą przekonania.

Dlaczego zaliczyć muszę to popołudnie zürichskie do wielkich przeżyć mego życia? Nie szukam nigdy, i właściwie nie znoszę, tłumnych spotkań, które równie dobrze mogą zarazić słuchacza baraním zachwytem, jak rozproszyć i zgasić to, co w przeżyciu jest istotne. Po przeczytaniu jego dzieł — od „Iwana Denisowicza”, od „Oddziału chorych na raka” i „Pierwszego kręgu” po „Archipelag Gułag” — nie potrzebowałem widzieć autora, aby wiedzieć kim on jest, i całym sercem go uczcić, a przecież spotka-

nie, spojrzenie sobie w oczy, dało mi akcent ludzki, jedyny, którego nic nie zastąpi.

Celem tego zebrania dla Sołżenicyna — który tak się dotychczas bronił przed nacierającym go tłumem reporterów i dziennikarzy — było sensacyjne zawiadomienie nas, że dnia poprzedniego (14 listopada) odbyła się równolegle w Moskwie konferencja prasowa przyjaciół Sołżenicyna w związku z nowym, tajnym, w teście Moskwie wydaniem Samizdatu: książki zbiorowej esejów: „jakiej u nas, w Rosji, nie było od 50 lat”! Z tych esejów trzy zostały napisane przez niego samego, inne zaś przez najbliższych mu w Rosji towarzyszy: światowej sławy matematyka Szafarewicz, historyka Borysowa, cybernetyka Agurskiego, Barabanowa, Gorbanowa i jeszcze dwóch, których nazwisk ujawnić nie chciałem. Książka ta, już od sześciu lat w przygotowaniu, dotykać ma problemów dzisiaj najbardziej palących — jest jakby wyznaniem wiary tej grupy dławionej inteligencji rosyjskiej. Tytuł jej „Iz pod głąb” („Spod złomów”).

O książce mówił nie informator tylko, mówił człowiek całą swoją osobą, — wyznawczo i intymnie.

„Wy nie wiecie, wyobrazić sobie nie potraficie, jak myśl się rozpierzcha (*kak razbredajutsia myśli*), gdy nie ma możliwości dialogu, wspólnego przemyślenia, wypowiedzenia”.

Całe przemówienie było podkreśleniem związku pisarza z jego przyjaciółmi, którzy tam, w Rosji, książkę tę wydali. Ma ona dla niego znaczenie wyjątkowe, w imię tego w Rosji wszyscy jej obecni autorzy i wydawcy idą na skrajne ryzyko aresztów i zesłania, świadomi tego co im grozi.

Ogromna większość referatu Sołżenicyna była poświęcona naświetleniu treści poszczególnych esejów książki oraz oceny ludzi, którzy wzięli w tej pracy zbiorowej udział. Książka ma się ukazać niebawem po rosyjsku w wydawnictwie YMCA Press w Paryżu, jak również w tłumaczeniu francuskim w wydaniu Seuil.

Nie będę tu przekazywał treści ogromnego przemówienia, chcę się jednak pokusić o przekazanie paru zasadniczych nurtów zapowiedzianego dzieła w ustawieniu i hierarchii ważności zagadnień, nadanych przez mówcę. Akcent tu był przede wszystkim położony na stronę chrześcijańską, religijną w najszerszym znaczeniu tego słowa — religii jako źródła siły, gotowości ofiary, wyrzeczeń, całkowitego oddania się sprawie, do śmierci włącznie. Te wielkie słowa, tak przez tyle przemówień zdarte, brzmiały w ustach mówcy jakby były powiedziane po raz pierwszy, z całą siłą pełnego przeżycia.

Dla Sołżenicyna właśnie ten nurt religijny — który w Rosji z nową siłą się budzi — osłabł na świecie, zaginął w dzisiejszych cywilizacjach, stąd ich kruchość i bezsiła.

Mówiąc o ustroju sowieckim Sołżenicyn dodaje, że nie chce robić polityki, że nie nawołuje do jeszcze jednej rewolucji, bo wierzy, że groźniejszą od kulmiotów jest prawda, wystarczy by żaden z poddanych władzy sowieckiej obywateli nie kłamał, nie solidaryzował się z nią nawet ukłonem, nawet uśmiechem, by ta władza w proch się rozpadła. Mówił z zalem, że ta jego teza, tylokrotnie przez niego wypowiedziana, napisana, nie została przez dziennikarzy na Zachodzie nawet zauważona.

Słuchając tych słów wiary i gotowości do wszelkich ofiar dla wielkiej, wspólnej sprawy, nie mogły mi nie przypomnieć się inne teksty, które zna każdy Polak.

„Każdy z was w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic. O ile powiększycie i polepszycie dusze wasze...”

Ten sam nakaz moralny, bezwzględny, ten sam akt wiary, ale tu, w ustach Sołżenicyna, w jednym różnił się zasadniczo, był całkiem pozbawiony *omamień mesjanizmu* i tu może tkwi punkt ciężkości całego wystąpienia Sołżenicyna. Twarda jest jego mowa. Żąda on od narodu rosyjskiego — a za nim od *każdego* narodu — samoograniczenia, przyznania się do win własnych w przeszłości, i wyrzeczenia wszystkiego co jego ojczyzna odebrała innym, co nie jest nią.

Gdy Sołżenicyn mówi o tym z zarażającą magią własnej wiary — przyznam się, że słuchałem tego ze wzruszeniem, ale i drżeniem. Mignął mi w pamięci młodzieńki Sania z powieści Sołżenicyna „Sierpień 1914”, zaczajony w parku Jasnej Polany, dokąd się wybrał aby u wielkiego starca szukać drogowskazu. Na jego zapytanie: jak żyć — odpowiada chmurny starzec:

„Służyć dobru i tym tworzyć Królestwo Boże na ziemi, nikt nic lepszego nie wymyśli, miłością i tylko miłością”. Ale Sania, choć z drżeniem w głosie: „A jeżeli miłość nie jest tak silna, nie tak obowiązująca w duszy wszystkich?, jeżeli ona nie zwycięży, przecie wtedy nauka wasza, Lwie Nikołajewiczu, okaże się... bezpłodna?”

Co łączy i co dzieli Sołżenicyna od Tołstoja powinno być przemyślane do końca. Tołstoj, ten król Lear uciekający z Jasnej Polany i umierający na małej stacyjce prowincjonalnej, głęboko Rosjan, i nie tylko Rosjan, naznaczył. Wyznawcy jego, *niepro-tiwłency*, których obowiązywało przede wszystkim jedno: „nie zabijać” — było ich tysiące, iluż ich tkwiło w więzieniach carskich. Czy uratowała ojczyznę ta garść czystych?

I tu, zdaje mi się, że między Sołżenicynem a Tołstojem nie ma jedności: ten człowiek walki zdaje mi się nieskończenie mniej dogmatyczny i mniej sztywny niż Tołstoj — starzec, głoszący niesprzeciwianie się złu jako prawie że jedyną wskazówkę. Sołże-

nicy rozumie, czuje głębiej węzły sprzeczności, w których się człowiek boryka, warstwy i warstwy świadomości i konieczności historycznych, w których człowiek — chcący żyć społecznie — żyć musi.

Jak już pisałem, Sołżenicyn w przemówieniu powracał coraz do tego, że nie nawołuje do nowej rewolucji, jeszcze jednej rewolucji, że przemówienie jego ma cel nie polityczny, ale moralny, że chodzi mu ponad wszystko o więcej, o wyżej — o zwycięstwo nad sobą, nie ludzi tylko, o zwycięstwo nad sobą narodów bez czego nic zrobić się nie da. Ale w skutkach swoich tego rodzaju wypowiedź nie może nie być polityczna. Czy wierzy Sołżenicyn, że mury Jerycha runą jedynie od „głosu trąb” i od „krzyku ludu bardzo wielkiego”?

Stosunek Sołżenicyna do komunizmu jest wyraźny: odrzuca go w czambuł jako teorię, jako ideologię — dziś już martwe w Związku Sowieckim. Nikogo już porwać się nie da w imię walki klas — za dużo już było krwi wylanej.

Stalinizm? Przekreśla to słowo z pogardą — ono nic nie znaczy, to tylko parawan, którym ludzie chcą osłonić martwą już ideę. I dodaje: „Sam trafiłem do więzienia twierdząc, że Stalin sfałszował ideę Lenina, że Lenin był dobry, a Stalin zły. Byłem w błędzie — Stalin szedł wiernie po linii Lenina. Dziś już słyszymy, że Lenin był też niedobry, bo Marksa sfałszował, ale być może Marks jest dziś jeszcze na Zachodzie siłą napędową takiego czy innego działania, ale w Rosji, w Sowietach, dzięki ich władzy, przez sto lat imienia Marksa wspominać nawet nie będzie można”.

Przekazując treść jednego z esejów mającej się ukazać książki, mówca zaznacza, że jest ona również krytyką samego socjalizmu od postaw, od Platona do Marcuse'a, jego mitologii, jego ideologii przestarzałej i na tyle już dziś wieloznacznej, że stała się workiem, do którego każdy pcha co mu się podoba.

Punktem centralnym przemówienia był problem nacjonalizmu.

Wiem — mówił — że na Zachodzie problem ten jest również nabrzmiały, ale to nic w porównaniu ze stanem zapalnym narodowych problemów w Związku Sowieckim. Nacjonalizm jest dziś w Rosji „na ostrzynie lezwia”, na ostrzu noża, wystarczy iskra, by świat sowiecki stanął w ogniu i chaosie.

Jak Rosjanie zachować się powinni w takiej sytuacji? Przede wszystkim odciąć się kategorycznie od klasycznej metody sowieckiej, to znaczy od podniecania w państwie wielonarodowym wszystkich nacjonalizmów małych narodów, aby — przy dojściu do władzy komunizmu — z całym okrucieństwem i stanowczością te właśnie narodowe dążenia do wolności, niszczyć i zniewalać powstające już nowe struktury państwowe.

Należy *widzieć*, że idee narodowe bynajmniej nie są „przewycięzione” — przeciwnie, nigdy nie były tak żywotne — i *przyjąć* całą odpowiedzialność za własną narodową przeszłość i własne narodowe zbrodnie, przyjąć ograniczenie narodowych ambicji i jeżeli chodzi o Rosję, mieć gotowość wyrzeczenia się wszystkich terenów na których ludność oddzielić się pragnie, dążąc do własnej narodowej niepodległości.

„Tego również w pismach moich dotychczasowych prasa nie dostrzegła” — mówi z żalem Sołżenicyn. — „Przecie dlatego powiedziałem, że oceanem naszym nie jest Ocean Indyjski, ale Lodowaty, bo wszystkie narody pragnące oderwać się od Rosji muszą mieć swobodne prawo odejścia”.

To wszystko powiedziane było z tym samym porywem przekonania — cały człowiek stał za tymi słowami.

Koniec przemówienia poświęcił Sołżenicyn odpowiedziom na zapytania; mówił o *Kontynencie*, piśmie które tylko co powstało, na razie w wersjach rosyjskiej i niemieckiej, do redakcji którego nie należy, ale z którym się solidaryzuje. W związku z tym dał ostrą odprawę na list otwarty Günther Grassa, zaznaczając jak lewica — która dziś zarzuca pismu, że skorzystało z pomocy wydawnictwa Springera — jak ta lewica na całej kuli ziemskiej gościła, popierała, odwiedzała przez lata „naszych katów”. Mówiąc o katach wspominał przy tym Katyń, Warszawę, Budapeszt i Pragę.



Po tym wielogodzinnym przemówieniu mieliśmy możliwość — Giedroyc i ja — rozmawiać we trójkę z Sołżenicynem. Co uderzyć nas musiało, to bolesny akcent głosu gdy mówił o Warszawie. Przecie w 44 roku był on na froncie zachodnim, nie był jeszcze aresztowany.

„Armia Czerwona nie mogła przyjść wam z pomocą? Co za brednie! Artyleria milczała, a oni woleli patrzeć przez lornetki, jak ginie Warszawa!”

Czuło się, że to wspomnienie tkwi jeszcze dziś kolcem w sercu Sołżenicyna, bo on naprawdę czuje ojczyznę jako zbiorową odpowiedzialność.



Chciałbym dodać do tego sprawozdania, skleconego z pobieżnych notatek, parę słów, w których sam siebie zacytuję. We wstępie do „Nieludzkiej ziemi” napisałem w 1948 roku ile Rosji, literaturze rosyjskiej, przyjacielom Rosjanom zawdzięczam, dodając że pomimo to „w miarę pisania tej książki nie słabła we mnie a narastała świadomość tragicznej przeciwstawności Polski i Rosji,

naszych koncepcji, naszych dróg historycznych. Narastało poczucie śmiertelnego zagrożenia Polski”.

W moim, w naszym stosunku do Rosji, mogę powiedzieć naszym — bo linia *Kultury* była ta sama od początku — że tak jak 27 lat temu, tak i teraz wierzymy, że to zagrożenie minąć może i musi, gdy tam, w Rosji, będziemy mieli — jak mawiał Norwid — swoją partię, to znaczy sojuszników i przyjaciół prawdziwych, gdy nie tylko uwolnimy się od zmory sowieckiej, ale przewyciężymy w sobie — i Rosjanie i my, Polacy — szowinizm narodowy i wieczne pokusy imperializmu. To stanowisko *otwarte* — nadziei w stosunku do przyszłości, jest i było stanowiskiem *Kultury*. Sołżenicyn dla nas to nadzieja wspólnej walki o ten sam cel: o wolność narodów Wschodu Europy”.

Józef CZAPSKI

O duchu bezprawia

Gdyby mnie zapytano, kogo z polskich myślicieli XX wieku stawiam najwyżej, u kogo szukam analiz współczesności i przyszłości, kogo poleciłbym młodzieży w kraju, usiłującej wyrwać się spod presji zakłamania i propagandy, kogo chciałbym zaprezentować zachodnim intelektualistom jako odpowiedź na ich naiwność i zagubienie — jedno nazwisko przychodzi na myśl: Jan Kucharzewski. I jedno dzieło: *Od białego caratu do czerwonego*. To niezrównany przykład umysłu swobodnego i otwartego, świadomego obowiązków wobec siebie i wobec innych.

Wiek XX nie tylko u nas nie jest okresem sprzyjającym wielkim analizom, szerokim interpretacjom. Poszukiwanie oryginalności za wszelką cenę idzie w parze z zaskakującą stereotypowością myśli. Brak pokory wobec prawdy łączy się z brakiem zainteresowania prawdą. Myśl zastraszona, nawet gdy jest uczciwa, pozwalająca się zapędzić do wyspecjalizowanych przegródek, opatrzyć wyjąławiającymi etykietkami. Myśl nie-fundamentalna i nie-obywatelska głębiej usiłuje zastąpić komplikacją; współczującą odpowiedzialność — propagandą. Oto zapewne przyczyny, dlaczego dzieło Kucharzewskiego, tak porywające, ale przez suwerenność i pańskość tonu tak niedzisiejsze, doceniane jest niewystarczająco: jest zbyt proste, zbyt oczywiste.

Podstawowa praca Kucharzewskiego poświęcona została historyzoficznej oraz socjologicznej analizie państwowości i duchowości rosyjskiej. Rosja nie jest jednak problemem jedynym, ani nawet głównym. Oto wyższość Kucharzewskiego nad Marianem Zdziechowskim: autor *Wpływów rosyjskich na duszę polską* był w niektórych analizach (maksymalizmu, polskiego półbolszewictwa) pisarzem zapewne Kucharzewskiemu najbliższym, był jednak zafascynowany Rosją, jej duchową elitą. Stąd tragicomiczne pomyłki

Zdziechowskiego: w pierwszych latach rewolucji w bolszewizmie widział twór obcy duchowi rosyjskiemu, w Leninie marionetkę, którą posługują się siły wrogie rosyjskiej państwowości. Kucharzewski nie uległ fascynacji ani negatywnej, ani pozytywnej. Analizował fenomen rosyjski w oparciu o głębokie zrozumienie socjopolitycznych mechanizmów oraz o zakorzenioną w europejskim humanizmie koncepcję norm prawnych i wartości moralnych. Poza konkretną analizą historyczną caratu przewija się organicznie z nią związana generalna refleksja na temat mechanizmów społecznych i ich związków ze światem duchowym jednostki. To połączenie konkretnego i teorii, historii i filozofii, refleksji nad instytucjami i nad literą praw, nad jednostką i nad społecznością stanowi o wielkości dzieła Kucharzewskiego.

Był dumnym dziedzicem Monteskiusza i Mochnackiego: wiedział o tym i dlatego pochylał się nad pasjonującymi go zagadnieniami ze świadomością własnej suwerenności duchowej, bez kompleksów, bez zaślepienia. Wyjątkowa to postawa wśród Polaków naszego stulecia. Dawniej, nawet w latach niewoli, patrzono śmieiej i pewniej; mimo zniewolenia politycznego oczywistością była przynależność do niezawisłej kultury polskiej, a przez to wyzwalająca współobecność w europejskim dziedzictwie. Mochnacki z nierówną swobodą i głębią spojrzenia przyglądał się moskiewskim rządóm i zachodnim złudzeniom. Jego następcy stali się równie bacznie przeniknąć polityczne mechanizmy wschodniego imperium. Coraz częściej jednak gubiono poczucie własnej podmiotowości, punkt oparcia umożliwiający precyzję analizy. Ulegano zaślepieniu; rodziła się nienawiść, będąca odbłaskiem półświadomej utraty wiary we własne racje, cichym wyznaniem niższości. Ta mieszanina uwielbienia i nienawiści stawała się z biegiem czasu wszechwładna, powstawały coraz to nowe schematy, coraz to nowe tabu i strefy milczenia. Ku Rosji kierowali spojrzenie tylko ci, którzy byli Rosją zafascynowani.

Inni odwracali się od trudnej tematyki. Chronili się za parawanem „europejskości”: było to jednak nie poczucie uczestnictwa w europejskiej tradycji polityczno-prawnej, nie fundamentalna refleksja nad zachodnim modelem bycia-w-świecie, nad relacją jednostki i zbiorowości, lecz bierne przenoszenie literackich czy naukowych nowinek, a więc znów wyraz niedojrzałości i kompleksu niższości. Podjąć bez kompleksów tematykę rosyjską, z europejskiego punktu widzenia zanalizować wschodni model państwowości i wytwarzany tam wzór osobowy obywatela, ponad nienawiścią i ponad lekceważeniem prześledzić proces historyczny w jego trwałości i zmienności — to zadanie najwyższej miary, nie tylko na polskim gruncie wyjątkowe; zostało ono przez Ku-

charzewskiego podjęte i znakomicie wykonane, choć los nie pozwolił doprowadzić mu tego dzieła do końca.

Skąd ta szerokość spojrzenia, pewność myśli, błyskotliwość i celność pióra? Odpowiedzi szukać należy nie tylko we wrodzonych zdolnościach, lecz w całej drodze życia konsekwentnie prowadzącej ku jednemu celowi: wielość doświadczeń politycznych i intelektualnych znalazła ukoronowanie w książce, którą trudno zaliczyć do określonej przegródki nauk humanistycznych czy literackiej refleksji. Urodzony w 1876 roku Jan Kucharzewski studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim, następnie ekonomię polityczną i socjologię w Berlinie. Wyjątkowość jego badań historycznych na tym chyba polega, że interesują go przede wszystkim mechanizmy prawne i socjalne, widzi proces historyczny głębiej i bardziej wielostronnie niż archiwista faktów i niż filozof unoszący się przez dowolność generalizacji nad wodami ziemskiej rzeczywistości. Chciałoby się powiedzieć: oto nowoczesne spojrzenie. A przecież jest to spojrzenie dziś szczególnie zapomniane, widoczne niegdyś w dziełach wielkich obserwatorów europejskiej rzeczywistości: tak pisał Machiavelli, Monteskiusz, Gibbon, Tocqueville, Herzen, nawet Marks (gdy nie zaślepiaty go millenarystyczne utopie).

Kucharzewski interesował się życiem politycznym; w okresie wyborów do I Dumi Państwowej popierał program Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Nie godził się jednak z prorosyjską linią Dmowskiego i w 1911 wystąpił z ruchu narodowego. Z ramienia tzw. frondy i Postępowej Demokracji był kontrkandydatem Dmowskiego w wyborach do IV Dumi (obaj zresztą przepadli). W czasie pierwszej wojny rozwinął w Szwajcarii szeroką akcję publicystyczną na rzecz interesów polskich. Współpracował z *Gazette de Lausanne*, wydawał *L'Aigle Blanc*, opublikował wiele broszur. Pod koniec wojny zbliżył się do orientacji na państwa centralne. Latem 1917 powrócił do Warszawy. W listopadzie 1917 został powołany przez Radę Regencyjną na stanowisko premiera: usiłował bronić polskich interesów wobec rokowań pokojowych Rosji Sowieckiej z państwami centralnymi w Brześciu. W wyniku rozbieżności wśród stronnictw polskich podał się do dymisji. Został raz jeszcze premierem w październiku 1918, w przeddzień odzyskania niepodległości. W czasie wojny bolszewickiej prowadził akcję informacyjną w Szwajcarii, wyjaśniającą polski punkt widzenia. W odrodzonej Polsce odmawiał przyjęcia ważniejszych stanowisk państwowych, uważał że zadaniem bardziej istotnym, o większym znaczeniu społecznym jest analiza i interpretacja wydarzeń w Rosji. Przez cały okres niepodległości pracował nad cyklem *Od białego caratu do czerwonego*.

Ukazało się siedem tomów: I. *Epoka mikołajewska*; II. *Geneza maksymalizmu — Dwa światy*; III. *Lata przelotu: Romanow, Pugaczew czy Pestel?*; IV. *Wyzwolenie ludów*; V. *Terrorysty*; VI. *Rządy Aleksandra III*; VII. *Triumf reakcji*. Przygotowany przed wybuchem wojny rękopis trzech ostatnich tomów spłonął w Warszawie. Obejmowały one ostatnie lata Aleksandra III, panowanie Mikołaja II, początki bolszewizmu oraz jego rozwój na Zachodzie i w Rosji. Kucharzewski wydostał się spod niemieckiej okupacji do Rzymu, następnie do Stanów Zjednoczonych. Pracował nad książką *Ameryka i Rosja*, której nie zdążył już opracować. Zniszczenie trzech ostatnich tomów było ciosem zbyt potężnym. Zmarł w Nowym Jorku w 1952 roku. Przed śmiercią opublikował jeszcze po angielsku skrót swego dzieła (*The Origins of Modern Russia*, 1948) — wyszedł on również po polsku (Londyn 1958). Wydanie to jednak nie odbija całego bogactwa siedmiu tomów: wybór jest chyba mało szczęśliwy. Uwaga została skupiona na pieczołowitym wyliczeniu ponurych faktów z dziejów caratu, usunięto w cień głębokie i nadal aktualne analizy tych fenomenów, stanowiące o randze dzieła Kucharzewskiego.

Od białego caratu do czerwonego nie było pierwszą pracą historyczną autora. Od dawna, jakby okólnymi drogami, przygotowywał się do podjęcia tak szerokiej tematyki. Po teoretycznych studiach z pogranicza prawa i socjologii (*Socjalizm prawniczy*, 1906; *Narodowość a państwo*, 1907) opublikował w 1908 pierwszą pracę z dziejów Polski: *Sprawa polska w parlamencie frankfortkim 1848 roku*. W 1910 ogłosił monografię *Maurycy Mochnicki* — to powinowactwo z wyboru nie jest przypadkowe. Zarys bibliograficzny *Czasopiśmiennictwo polskie XIX wieku* był penetracją terenu. W pierwszym okresie pisarstwa Kucharzewskiego największe znaczenie ma opracowanie *Epoka paskiewiczowska. Losy oświaty* — w oparciu o bogaty materiał archiwalny (dziś już często nieistniejący) autor ukazał szeroką panoramę metod rusyfikacji. Powróci do tych zagadnień w monumentalnej analizie caratu.

Dzieło obejmujące: studia nad przeszłością, które okazały się aż zbyt dokładną zapowiedzią przyszłości. Dziś na kartach wielkich wspomnień Mandelsztamowej odnajdujemy analizę „katuszy myśli” inteligencji rosyjskiej i wizerunek „ducha zatrutego” jakże podobne do opisów Kucharzewskiego. *Archipelag GUŁag* jest uszczegółowioną i do nowych wydarzeń dostosowaną demaskacją „piramidy niewoli” i „policji tajnej przy robocie” — poszczególne rozdziały dzieła Kucharzewskiego nabierają w naszych oczach coraz nowej aktualności. I nie tylko rosyjskiej przyszłości

to zapowiedź: na wiele lat przed sowietyzacją Polski, przed duchowym zniewoleniem poważnej części krajowej elity odczytujemy jak baltazarowe znaki koleje i mechanizmy tego procesu. Kucharzewski bardziej prawdziwie i precyzyjnie od Miłosza ukazał dialegozę zniewolonego umysłu:

„Chcąc znaleźć siłę, energię do życia w tym strasznym systemie, chcąc usprawiedliwić przed sobą i światem moralnie swe istnienie niewolnicze, umysł ludzki idealizuje i tę srogą tyraniją, której ulega, i tę niewolę, na którą jest skazany” (I, 139).

Dziś te wywody bolą podwójnie: jest to nie tylko opis nieszczęścia sąsiedniego kraju, państwowego mechanizmu przemieniającego własnych obywateli w poddanych, lecz także studium orbity, w której się znajdujemy, badanie duchowej choroby, która zatacza coraz szersze kręgi.

Kucharzewski nie uległ mitowi duszy rosyjskiej, był z rodziny wielkich mitoburców, którzy poza schematami szukają mechanizmów społecznych utrwalających wzory jednostkowego działania. Dlatego dostrzegł ciągłość obu caratów, kiedy jeszcze wydawała się ona czystą fantazją zwolennikom i wrogom obu. Istotą państwa rosyjskiego nie była koniecznie władza carów, lecz despotyzm samej władzy, jej niezawisłość wobec litery prawa. Imię tej władzy jest kwestią drugorzędą, choć oczywiście nieobojętną poddanym: inny jest despotyzm władzy powołującej się na chrześcijańską moralność, inny organizacji uznającej się za nieomylną — a zarazem dialektycznie relatywne — wcielenie ducha dziejów, wyznacznik prawdy, probierz wolności. Kucharzewski już u Herzena i Bakunina odnajduje:

„figurę dwóch stadiów przyszłej rewolucji: stadium anarchii, rozwiązanie wszystkich więzów, rozbicia wszystkich świętości, i drugie, palingeneza despotyzmu. Rzeczywistość rosyjska zatrzała marzenia rewolucjonistów, zdemoralizowała rewolucję, zanim ta dojrzała: jadu starczyło na strawienie Rosji carskiej i na zatrucie nowej. Po mnie przyjdzie moja karykatura, to był mściwy testament skazanego na zagładę caratu” (II, 115).

Nie jest to wyznanie wiary w historyczny determinizm, który nieuchronnie miałby wpędzać naród rosyjski w niewolnictwo. To trzeźwe ostrzeżenie, że bez gruntownej pracy nad uzdrowieniem świadomości prawnej społeczeństwa, bez wytworzenia mechanizmów obronnych chroniących przed samowolą władzy, zmiana szyldu tej władzy nie będzie wcale wyzwoleniem, a rewolucja stać się może okazją do zaostrożenia terroru i ożywienia krwawych instynktów. To jest samoutrwalający się mechanizm despotyzmu,

zmusza on przeciwników do podejmowania własnych metod, do posługiwania się zatrutą bronią.

„Były przeto w Rosji dwie siły: carat, organizacja despotyczna i biurokratyczna olbrzymiego państwa — i żywioł ludowy. Barbarzyństwo starsze było od caratu, nie było ono wytworem caratu, raczej carat powstał jako jego emanacja; lecz raz powstawszy i utrwaliwszy się carat konserwował barbarzyństwo. [...] Tyrania, trzymająca ludność w ciemnocie i ucisku przez wieki, wytwarza w ludności negację państwa i prawa, żywiołowy anarchizm mas. Ten nihilizm państwowy, to państwoburstwo ludności czyni koniecznym trwanie despotyzmu, samorzutne powstanie nowego zamiast dawnego skoro ten runie” (II, 54-55).

Wolność zdobywa się ciężką pracą, anarchizm mas jest jedynie pozornym wyjściem z zakłętego koła — omalże sto lat przed Kucharzewskim rzucił to ostrzeżenie markiz de Custine: „Jutro w buncie, w rzezi, w łunie pożarów można krzyczyć *Niech żyje wolność!* aż po krańce Syberii, ślepy i okrutny lud może zabijać swych panów, może buntować się przeciw ciemnym tyranom i zakrwawić fale Wołgi, nie stanie się przez to bardziej wolny — barbarzyństwo jest jarzmem”. Słowa Custine'a powinny być przemyślane przez tych, którzy dziś czy jutro spróbują wyprowadzić naród rosyjski — i razem skutych sto narodów — z despotycznej ziemi niewoli. Oni właśnie powinni zastanowić się nad analizami Kucharzewskiego ze szczególną uwagą, jeżeli nie chcą popełnić raz jeszcze straszliwych błędów: słowa te bowiem nie znaczą, że przełamanie magicznego kręgu jest niemożliwe, że po wieczne czasy patriotyzmem jest w Rosji niewola — wskazują jedynie, że tak długo niewola będzie patriotyzmem, jak długo jednostka ludzka nie zostanie uznana za wartość, jak długo prawo nie stanie się suwerenne wobec władzy. Inaczej mechanizmy socjopolityczne utrwalac będą duchową tradycję niewoli.

Pisał o tym Kucharzewski już w pierwszym tomie dzieła:

„Bolszewictwo, które wzniosło się na gruzach caratu, wydaje się pod każdym względem antytezą ideałów słowianofilskich. Lecz bądźmy ostrożni we wnioskowaniu, gdy chodzi o ten osobliwy, tak odmienny od innych kraj, w którym już nieraz w niespodziewany sposób stykały się bieguny: słudzy caratu służyli czasem terroryzmowi carobójcemu, a filary rewolucji okazywały się cichymi narzędziami caratu. [...] W świetle dzisiejszego stanu Rosji straszny fałsz słowianofilskich doktryn, obłęd ich rozumowania i wiary wystąpił ze złowrogą jasnością. Lecz czy te rysy psychologii rosyjskiej, które słowianofile wyczuli drogą wewnętrznego doświadczenia z duszy narodu, a które ubóstwili, zamiast je przeklinać i z korzeniami wrywać, nie przetrwają i dzisiaj

szego etapu dziejów Rosji? Czy reakcja przeciwko bolszewictwu nie będzie nowym okresem słowianofilskiego nacjonalizmu, nie wykluczającego zresztą bynajmniej współdziałania z Niemcami przeciwko zmartwychwstałej placówce zgniłego Zachodu nad Wisłą? Słowianofilstwo rosyjskie zawsze z matematyczną ścisłością zwracało się przeciwko Polsce wśród westchnień i żalów nad jej odstępstwem. Czy ta reakcja przeciwko dzisiejszym okropnościom nie przyjdzie wraz z hasłem nienawiści ku Europie, wraz z żądzą niszczenia tego co zachodnie i z przypisywaniem nieszczęść Rosji teoriom zgniłego Zachodu? I czy znowu lud rosyjski nie pozostanie biernym narzędziem w ręku nowych władców i nie wręczy znowu samowładnego berła nowemu Rurykowi, nowym Waregom?” (I, 315-316).

Oto „przekłete pytania” w dziedzinie politycznej. Dzieło Kucharzewskiego pisane było pod wrażeniem potworności rewolucji bolszewickiej i nowych rządów w Rosji. Nie przeciw narodowi kierują się te rozważania — są to właśnie pytania o socjo-polityczne warunki, które umożliwią społeczeństwu rosyjskiemu swobodę rozwoju, przyniosą wolność *człowiekowi*. Bo przecież spór rzeczywisty toczy się o model człowieczeństwa, o duchową i społeczną koncepcję jednostki. W imię pewnych wartości (konsekwentnie się do nich przyznając) Kucharzewski oskarża państwowość rosyjską o negację tych wartości, o szkodliwe oddziaływanie na rozwój jednostki: poszukiwał mechanizmów, które zadecydowały o tak poważnym naruszeniu bliskich mu norm, jakim była rewolucja bolszewicka. Jest socjologiem państwowości, więc przyczyn szukał w analizie historycznych mechanizmów rządzenia. Jego dzieło jest w tym sensie jednostronne, że tropił przejawy naruszenia norm, pomijał stany normalne.

Państwowość carska była ledwie załączkiem ducha bezprawia, który tak bujnie się rozwinął w państwie sowieckim. Musimy stale pamiętać, że Kucharzewski napisał studium z dziedziny patologii politycznej, refleksje O DUCHU BEZPRAWIA; jego celem było śledzenie form zdegenerowanych i mechanizmów degeneracji. Interesował go proces historyczny: w przeszłości szukał źródeł ciemnych elementów widocznych w dzisiejszym życiu społecznym, a kiedy patrzył na stan terażniejszy, zadawał sobie „przekłete pytanie” — czy rozpadnięcie się istniejącej władzy nie przyniesie nowego chaosu, nowego despotyzmu, nowej anarchii? Dopiero gruntowne przemyślenie naszkicowanych przez niego mechanizmów — i wysiłek stworzenia mechanizmów hamujących — może przyczynić się do pomyślnych przemian.

Kucharzewski mistrzowsko opisał patologię caratu. Precyzja tych analiz powoduje, że odnoszą się do zjawisk bardziej ogólnych. Zaprezentowana w siedmiu tomach *Od białego caratu do*

czerwonego „despotologia polityczna” jest wiedzą historyczną i teoretyczną zarazem: *arcana imperii* Romanowych (Holstein-Gottorpów — napisałby Mochnacki) nadal zasługują na uwagę. Zwłaszcza refleksje o zorganizowanej anarchii prawnej, o upaństwowieniu jednostki i sprowadzeniu jej wyłącznie do swoiście rozumianej społecznej egzystencji, o roli inteligencji, jej zaślepieniu, jej manowcach — o katuszach myśli. System bronił się w wielu kierunkach; był despotyczną anarchią społeczną i duchową:

„Zdławienie wszystkiego, co było w kraju organizacją społeczną, siłą zbiorową, korporacją, i skłócenie między sobą żywiołów dla łatwiejszego nad nimi panowania były to mechaniczne środki caratu. Oprócz tego carat miał swoją psychotechnikę polityczną; rozumiał, że trzeba najpierw zabić w poddanych ducha, myśl, prawość, odwagę, aby można ich było bezpiecznie traktować jak niewolników. Terror był podstawą tej metody upodlenia Rosji. Zasada Monteskiusza, iż despotyzm opiera się na strachu poddanych, stosuje się do Rosji przede wszystkim. Strach, zabijający zdolność myślenia i wytrawiający z człowieka wszelką dzielność i prawość, był duszą systemu” (I, 77).

Tak oto maszyna idzie w ruch. Fizyczna przemoc znajduje instytucjonalne ramy, ideologiczne uzasadnienie. Ideologia oficjalna jest jednak tylko jedną stroną duchowej rzeczywistości: mechanizm systemu utrwała się w myśleniu obywateli, rodzą się ideologie nieoficjalne, krzywe odbicia tej pierwszej. I dopiero podwójna gra uzasadnień i usprawiedliwień, oficjalnych haseł i prywatnych rojeń formuje myślenie i działanie. Od jasno widocznej struktury administracyjno-politycznej przez bardziej mglistą budowlę zakazów i nakazów prawnych aż po migotliwą grę ideologicznych podbudowań roztacza się przed nami Wielka Konstrukcja: zarazem chwiejna w poszczególnych formach i trwała w fundamentalnych zasadach i konsekwencjach. Prawo nie jest tu wzajemnością roszczeń i powinności, ma dwa oblicza wobec obywateli: gdy poddany zwraca się do władz o zadośćuczynienie słusznemu prawu, ma przed sobą urząd-labirynt i nieskończoną gmatwaninę przepisów. Kiedy jednak władza pragnie schwytać obywatela działa szybko, dowolnie, okrutnie. *Pays légal* jest dekoracją, która przy bliższym wejrzeniu nie przynosi szaremu człowiekowi prawdziwego oparcia, jest on we władzy *pays réel*, we władzy despotycznego mechanizmu:

„W tym kraju, gdzie prawo jest nie tyle normą, ile groźbą, gdzie istnieją stosy praw niewykonalnych, służących do terroryzowania poddanych, powoływanie się na prawo jest nieogłędne” (I, 56).

Rozdział i równowaga władz w Monteskiuszowskim sensie obca jest despotycznemu systemowi: tu właśnie połączenie władz, wzajemne zastraszenie — brak kontroli przy ciągłej możliwości represji — staje się generalną zasadą. Jest to system reakcyjny, lecz nie zachowawczy: ciągła podejrliwość, ciągłe zagrożenie powoduje niszczenie wszelkich niepodległych ośrodków opinii, wszelkiej tradycji niezawisłej wobec władzy. Carat — wieczny rewolucjonista:

„Zasada zachowawcza caratu bynajmniej nie kojarzyła się z konserwatyzmem w znaczeniu zachodnim. Przeciwnie, carat burzył wszelkie siły społeczne, tradycyjne, łamał prawa nabyte, kruszył wszelką trwałość nawet własnych urzędów, dążył, miażdżył wszystko po drodze, kończył na tym, że nic mu się wewnątrz państwa oprzeć nie mogło, lecz i on na niczym oprzeć się nie mógł” (I, 72).

„Carat, niby skandynawski bóg Thor, stoi nad Rosją z wielkim młotem i tłucze na miał wszystko, co ma pod ręką: instytucje i ludzi, charaktery i przekonania. [...] Jak w dziedzinie rządu władze ustawodawcza, sądowa, administracyjna zlewają się w jeden system czy chaos samowoli, tak i tu liberalizm i konserwatyzm, radykalizm i reakcja, rewolucja i prowokatorstwo, opozycja i denuncjacja zlewają się w jedną szarą miazgę” (I, 248-249).

Tak rodzi się fatalizm niewoli — i to w dwojakim sensie; istnieje fatalna siła ciężenia despotycznego mechanizmu, która nawet wbrew jednostkowym pragnieniom i projektom kieruje nawą państwową w określonym kierunku — to socjologiczno-polityczne konsekwencje administracyjno-prawnej struktury kraju; istnieje ponadto fatalizm psychologiczny i moralny: wynika on z niezrozumienia socjologicznych mechanizmów, z hipostazowania ich jako rzekomych dziejowych konieczności — to utrata wiary, nadziei, miłości, zracjonalizowany serwilizm, moralne konsekwencje ideologii oficjalnej i nieoficjalnej. Kucharzewski nie dokonuje schematycznych podziałów, jego dzieło jest żywą opowieścią, ale obydwie fatalizmy zostały tam uchwycone i zanalizowane. Jest to dramatyczna historia likwidacji duchowej elity, a przez to niwelacji życia społecznego. Dziś despotyzmy działają stokrotnie okrutniej, mechanizmy są jednak podobne: genealogia i wiwisekcja ówczesnych procesów ma dziś przeto podwójne znaczenie; opowiadana przez Kucharzewskiego historia mogłaby nosić uogólniający tytuł *O duchu bezprawia* — znamy jej epilog, ale wiemy jednocześnie (i wiedział o tym autor), że to zakończenie jest pierwszym rozdziałem nowej historii, nowym, jeszcze bardziej tragicznym rozdziałem w księdze bezprawia.

Czaadajew w *Liście filozoficznym* podkreślił w tradycji rosyj-

skiej brak idei obowiązku, sprawiedliwości, prawa, ładu. Prawo, które wiąże obie strony, jest zawsze ograniczeniem samowoli, nawet gdy przybiera najsurowszą formę. Stanowi podstawę świadomości obywatelskiej, więź między rządzącymi a rządzonymi, poczucie wspólnej odpowiedzialności. Jeżeli prawo zostaje splątane gąszczem wzajemnie sprzecznych przepisów (a tym bardziej jeżeli otwarcie zostaje pozbawione suwerennego charakteru, jeżeli redukowane jest do klasowego, narodowego czy rasowego interesu), wówczas więzi międzyludzkie ulegają rozpadowi, powstają nowe związki oparte na sile i przemocy, rodzi się nowy typ człowieka, nowe ideologie, które starają się ten stan usprawiedliwić, uzasadnić i umocnić. Państwo — w jego europejskim rozumieniu — rzeczywiście ulega wówczas zanikowi: prawna organizacja społeczna przemienia się w bezprawną maszynę przemocy. Ludność nienawidzi państwa, we władzy widzi siłę obcą: to „oni” rządzą, „oni” wiedzą lepiej, więc po co się mieszać w nie swoje sprawy — obywatel przekształca się w poddanego.

Przyjęcie poddaństwa odbywa się często nieświadomie, przybiera nieraz paradoksalne formy buntu. Duch bezprawia stara się zbudować zaporę między myśleniem a działaniem: działanie okazuje się daremne a myśl bezproduktywna; stają na przeciw siebie dwa odmienne i wzajemnie niszczące się światy. Do najcenniejszych kart dzieła Kucharzewskiego należy właśnie analiza dynamiki tego trującego procesu. Opisuje szamotanie się najszlachetniejszych: zniewalający mechanizm usiłuje włączyć ich w proces deprawacji umysłu, oni zaś starają się odczytać budowę tego mechanizmu, aby lepiej się bronić. Obrona staje się jednak coraz trudniejsza, odczytanie coraz bardziej zmistyfikowane. Kucharzewski jak biolog analizuje pojawianie się kolejnych *gatunków politycznych*, nie kryje jednak własnego stanowiska, w oparciu o które dokonuje rozróżnień i ocen:

„Gdy dziś, z odległości stulecia, wracamy myślą do procesu dekabrystów, załujemy nie tylko pięciu zawisłych na szubienicy ludzi [...]. Załujemy tego typu Rosjanina, który zdawał się być zwiastunem rychłego odrodzenia Rosji, a który brutalną dłoń zmieciony został z powierzchni życia rosyjskiego. Pokolenie dekabrystów miało tę pełnię życia, to zdrowie duchowe, którego już nie spotkamy w żadnym z następnych pokoleń” (II, 80).

Pod wpływem mikołajowskiej reakcji ci, którzy ocalili z pogromu dekabrystów, przemienili się w *ludzi zbytecznych*: żyjących w kręgu własnych myśli, niepotrzebnych sobie i innym; ich najdoskonalszym wcieleniem będzie Obłomow. Niektórzy z nich posuną się dalej, zanegują wszystko z wyjątkiem własnej zgorzkniałej dogmatycznej wiary — to nihiliści, to Bazarow szczydzący

z Pawła Kirsanowa. Inni zapragną działania: najpierw poświęcą siebie, pójdą w lud; później poświęcając siebie zaczną poświęcać innych — to terroryści; wreszcie poświęcać będą tylko innych — to bolszewicy. Nie będę tu śledził opowiadanej przez Kucharzewskiego historii tych gatunków politycznych — mogą jedynie zachęcić do przeczytania dzieła. Chciałbym wszakże wypuklić mechanizm tej ewolucji — jest bowiem aktualny i na dziś i na jutro. Żyjemy nadal w jego orbicie.

Stan świadomości zbuntowanej elity był formowany przez warunki jej egzystencji, przez ducha systemu, ducha bezprawia. Cenzura i deformowanie myśli rodzą umysłowość *à rebours* doktrynerską:

„Jeżeli w państwie prawnym wytwarza się na ogół poszanowanie wolności obywatelskiej w znaczeniu monteskiuszowskim, wolności w granicach prawa, zaś państwo despotyczne wytwarza typ buntującego się niewolnika, aspirującego do nieograniczonej wolności dla siebie, a gotowego deptać wolność innych, typ despotyczny i anarchiczny zarazem, to te ogólne skutki dwóch systemów politycznych w szczególności związane są z dziedziną stosunku państwa do myśli ludzkiej i do słowa ludzkiego. [...] Ucisk cenzury tamuje wymianę przekonań, zamyka człowieka w kole własnych jego myśli; rozwija się naiwny subiektywizm, zamykający się we własnym ja, własna jaźń staje się dla człowieka jedyną rzeczywistością i jedynym prawem. [...] Tworzy się atmosfera sprzyjająca powstawaniu sekt umysłowych, wytwarza się typ doktrynera budującego sobie dogmatyczne programy i arbitralnie domagającego się od innych wiary w te programy. Ci doktrynerzy, pozbawieni władzy materialnej, gotowi są stosować terror moralny względem inaczey niż oni myślących, domagają się zupełnej wolności dla siebie, nie uznają żadnej powagi poza swym dogmatycznym kanonem, a zresztą nie uznają i tych zobowiązań logicznych, jakie płyną z konsekwentnego wyznawania programu” (II, 118-119).

Zjawisko ludzi zbytecznych to nie tylko tragedia jednostkowego zagubienia i rozgorzyczenia, to także tragedia społeczna: wartościowe siły zostają zmarnowane, nie znajdują ujścia dla swych zdolności. Wszzechwładne państwo wymaga od człowieka, aby stał się kółkiem maszyny rządowej: kto się godzi, ten musi wejść w konflikt z własnym sumieniem, niejednokrotnie wyrzec się siebie, stać się narzędziem bezprawia; kto się nie godzi, ten skazuje się na wąską sferę życia prywatnego (w stopniu, w jakim w ogóle ono jeszcze istnieje), na egzystencję jałową, na myśl odciętą od rzeczywistości, utopiwną. Zwłaszcza młodzież wcześniej staje przed brutalnym wyborem, który tak paczy i łamie charakter. Pod despotyzmem kwitnie szczególnie rodzaju wolność

— wolność od obowiązków obywatelskich. Człowiek zbyt czynną odwraca się od rzeczywistości; ideałem staje się ucieczka od życia w dziedzinę obywatelskiego kwiatyżmu:

„Nie twoja sprawa — słyszał od rządu, gdy próbował tknąć się rzeczy publicznej — *nie wasze dieło*; i wreszcie jak echo powtarzać zaczął: nie moja to sprawa. Rząd zagarnął w swe ręce wszystko, poddany pozbawiony zostaje praw obywatelskich, ale za to wyzwolony i od tych trosk, obowiązków, walk, jakie pociąga za sobą czynne życie publiczne. [...] I żyje pomyślnie, dostatnio, bez konfliktów z życiem, spokojniej niż Francuz lub Anglik. I pracuje swą biernością na Pugaczewa przyszłości” (II, 99).

Działanie reformatorskie zostaje ośmieszona: myśl hardo buja w obłokach, nie ogranicza jej nic. Ośmieszona przez obie strony: rewolucjonista pragnący zniszczyć całą strukturę władzy budzi w jednych uwielbienie, w innych nienawiść, nie budzi ironii. Ale rozważny utopista, umarkowany marzyciel to typ śmieszny. Jeżeli program reform jest ścigany z równą surowością co program obalenia ustroju, to maksymalizm roszczeń staje się postawą powszechną. Kultura polityczna zanika; miejsce zróżnicowanych i wielostronnych analiz rzeczywistości społecznej zajmuje lustrzane odbicie ducha despotyzmu, nowe jego wcielenie.

„Gnębił carat opozycję umiarkowaną podwójnie: raz ścigając ją, wpychając do więzienia, wysyłając na Sybir, po wtóre wystawiając na śmieszność jej umiarkowanie przez własny zacięty opór przeciwko wszelkiej reformie. Granowski, umiarkowany zachodowiec, gaśl złamany nie przez prześladowania, lecz przez poczucie własnej beziły. Kierunek reformy w Rosji carskiej był to postulat czystego rozumu; wskazaniem rozumu praktycznego stawał się dopiero w tych rzadkich i krótkich okresach, gdy rząd objawiał nieco jasnego sądu i przezorności. Poza tymi przelotnymi epokami reformiści mieli rację niepraktyczną, rozum zbyt czynną, nieustanne udęczenie dla posiadacza rozumnej głowy; istna bieda z rozumem, *Gore ot uma*. Gdzie rozum uznany jest za szaleństwo, Czaadajew za wariata, tam szaleństwo uchodzić zaczyna za rozum. Gdzie program realny traktowany jest jako szkodliwa utopia, tam utopie uchodzić muszą za program realny” (II, 104-105).

Utopie uchodzą nie tylko za realny program polityczny na przyszłość, ale sięgają po moralny rząd dusz już w obecnej rzeczywistości. Człowiek zbyt czynną zaczyna mieć dwie ojczyzny: dzisiejszą, od której odwraca się ze wstrętem, i przyszlą, wysnioną w marzeniach. Zwolna jednak ta wymarzona ojczyzna zaczyna być wspólnym snem szerokich rzesz, domaga się wierności, wyłącz-

ności. Nie ma dwóch ojczyzn: stara zostaje porzucona dla nowej. Oto wielki statek napowietrzny unoszący się nad Rosją: zamieszkuje go już nie zgorzkniali ludzie zbyt czynną, lecz fanatycy nowego porządku, marzący o ruinie starego świata. Człowiek, który wstępuje do nowego zakonu rewolucji, składa ślubny posłuszeństwa, wyrzeka się otaczającej go rzeczywistości, a jednak tkwi w niej całym życiem. Tu rodzą się straszne dylematy podwójnego obywatelstwa, a raczej podwójnego poddaństwa.

„Osobliwe dwuwładztwo, kondominium dwóch potęg rządzących oświeconą Rosją, człowiek jest poddanym mieszanym, *sujeł mixte caratu* i rewolucji wewnętrznej. [...] Na mocy milczącego układu z rewolucją bierze od niej dyspensę na sprzeniewierzenie się jej w praktyce; na uchylanie się przepisom państwa, gdy zajdzie tego potrzeba, ma już z góry indulgencję od Rosji opozycyjnej. [...] Klasyfikacja moralna ludzi odbywa się nie według tego, jak żyją w teraźniejszości, lecz według tego, jak wyobrażają sobie upragnioną przyszłość” (II, 113).

Duch despotyzmu opanowuje nie tylko rządzących, nie tylko pokornych poddanych, ale i buntujące się umysły. Jedni przechodzą na stronę przemocy, inni usiłują wzmocnić swe pozycje skrajnością buntu. Pierwsi lawirują na wąskiej linii między towarzyską opozycyjnością a rzeczywistym upodleniem. Ci koncesjonowani liberałowie prędzej czy później muszą przekroczyć zaczerpniętą linię.

„Bardzo nikła, niedostrzegalna granica oddziela zdemoralizowanego poddanego caratu od jego narzędzia. Taki człowiek, w młodości często radykał jasno widzący nędzę swej ojczyzny, stoczywszy się powoli na dół do końca życia peroruje jeszcze liberalnie przy kieliszku jako eks-liberał a neo-prowokator, prozelita inkwizycji politycznej” (I, 139).

Inni buntowali się przeciw despotyzmowi, lecz ich bunt także przesiąknięty był duchem bezprawia — płacić będą za to przyszłe pokolenia.

„Inteligencja protestująca przeciwko rządowi carskim domagała się swobód obywatelskich, lecz z tego nie wynika, iż miała ona sama zakorzenione poszanowanie wolności w znaczeniu europejsko-amerykańskim, czyli wolności w granicach prawa, która daje rękojmię poszanowania wolności innych ludzi i różni się od swawoli. Fanatycznie wierząc w to, że ona przechowuje prawdę i wskazuje jedyną drogę ocalenia, gotowa była wszelkimi środkami w jej mocy będącymi narzucać swoje credo. Panuje niewykorzenione przeświadczenie o prawie człowieka do rozporządzania innymi ludźmi, chodzi jedynie o cel; gdy ludzie obiorą

sobie za cel uszczęśliwienie Rosji według swego programu, są pewni swego prawa do używania przymusowego innych ludzi jako narzędzi do tego celu. Człowiek uważany jest za środek do osiągnięcia celów politycznych czy społecznych, za materiał do realizacji doktryny. Tu granica Rosji a Europy: brak poszanowania dla swobody indywidualnej człowieka. Ze stanowiska historycznego i socjologicznego jest to zrozumiałe" (II, 116-117).

Z tego samego stanowiska zrozumiałe jest również, że dziś granica ta uległa przesunięciu — objęła nie tylko kraje tkwiące w orbicie rosyjskiej, nie tylko głoszące doktrynę marksizmu-leninizmu; duch bezprawia sięga szerzej, przejawia się rozmaicie, lecz mechanizm jego działania przywodzi stale na myśl analizy Kucharzewskiego. Powtarza się konflikt między przemocą a prawem, między iluzjami ideologicznych marzeń a codzienną rzeczywistością despotyzmu. Przedstawiona przez Kucharzewskiego morfologia rosyjskiego despotyzmu jest jednocześnie znakomitą wprowadzeniem do wszelkiej despotologii.

Dziś duch bezprawia przybiera formy bardziej gwałtowne niż w opisywanym przez Kucharzewskiego XIX stuleciu. Nie tylko dla mieszkańców „ojczyzny światowego proletariatu” wiele stron życia w Rosji carskiej wydałoby się obecnie idyllą. Dlatego jednak z taką uwagą powinniśmy interesować się problemem rosyjskim, historią i kulturą tego kraju, że stanowi on wielkie laboratorium despotyzmu. Kucharzewski zrezygnował z aktywnej działalności politycznej, bowiem sądził, że analiza rewolucji rosyjskiej jest zadaniem ważniejszym: patologia caratu przyczyniła się do zrodzenia systemu, w którym elementy patologiczne uległy spoutęgowaniu. Jak działać, aby patologiczne mechanizmy nie uległy utrwaleniu i rozszerzeniu? Jak zagwarantować, żeby po rozsadzeniu nowopowstałych struktur nie zrodziły się formy jeszcze bardziej zdeprawowane od istniejących? Nie znam dziś pytań ważniejszych.

Postawione przez Kucharzewskiego kwestie powinny być bliskie sercu oświeconych Rosjan. Jeżeli pragną wolności, jeżeli obawiają się rozpętania ślepych instynktów, muszą powrócić do pytań elementarnych. Rozumieją to najwięksi: w opowiadaniu *Procesja wielkanocna* Sołżenicyn zastanawia się ustami prostej staruszki, co będzie, gdy wychowane w duchu bezprawia nowe pokolenia „ludzi sowieckich” stratują i tych, którzy stoją im na drodze, i tych, którzy ich w tym duchu wychowali. *Oddział chorych na raka* jest szukaniem środków zaradczych: pisarz z nienawiścią osądza wszystko wokół, piętnuje mechanizmy, które odbierają ludziom miłość, nadzieję, wiarę — i zwraca się ku wnętrzu człowieka, ku pytaniom ostatecznym: o sens życia i śmierci. Tam

znajduje punkt oparcia niepodległej myśli. To wystarczy, aby jednostka była zdolna do wewnętrznego oporu. Człowiek jest wszakże istotą społeczną: przejście od wolności indywidualnej do wolności politycznej widoczne jest w *Archipelagu GUŁag* — tam odnaleziono punkt oparcia dla społecznej myśli. Jest to z konieczności refleksja „negatywna”, analiza ducha bezprawia. Podobnej pracy w odniesieniu do węższego kręgu elity rosyjskiej dokonała w dwóch tomach *Wspomnień* Nadieżda Mandelsztam. Kiedy Sołżenicyn jako pierwsze przykazanie społeczne wzywa do życia bez kłamstwa, bliski jest Kucharzewskiemu, który w atrofii prawdy widział elementarne zagrożenie duchowe i polityczne.

Dziś w polskiej myśli punkt widzenia tak szeroki i tak suwenny dochodzi do głosu jeszcze rzadziej niż za życia Kucharzewskiego. Jego analizy treścią i formą kierują naszą uwagę ku sprawom fundamentalnym: ku uzasadnieniu politycznej podmiotowości i związków z europejską kulturą. Dlatego sprowadzanie tego dzieła jedynie do kwestii rosyjskiej, do mniej lub bardziej złośliwych wypowiedzi pod adresem wchodniego mocarstwa byłoby jeszcze jednym dowodem wewnętrznego wyrzeczenia się duchowej podmiotowości przez Polaków, jeszcze jednym objawem postępującej bałkanizacji czy orientalizacji naszego życia umysłowego. Kucharzewski postawił pytania elementarne i tę refleksję powinniśmy kontynuować. Rozważania o duchu bezprawia to zarazem rozważania o roli prawa w państwie, o mechanizmach, które gwarantują jednostce twórczy udział w życiu zbiorowości, o tradycji, która rzucając światło na minione wypadki pozwala nam uzyskać wiedzę o przyszłości wolną od fatalizmu niewoli.

Kazimierz OPALIŃSKI

Zdania

Exodus

— Kiedy przyszliśmy, puszcza tu tylko rosła, gęsta, o jak palce.

Akt wewnętrzny

Jeżeli chcesz, Ziemia ciebie o wieki przeżyje.

Srodek przeciwko pesymizmowi

Uspokoił mnie las w ogniu od pioruna.

Świątynia

W gąszczu klęcząc adorowali pochody na niebie.

Zaobłoczna góra

Wstępowaliśmy pędząc przed sobą stada nadziemskich jeleni.

Strefa ciszy

Cienie aż granatowe, blask na liściach wina
I kopytka owiec jak za czasów rzymskich.

Przepis

Nim wejdiesz na te stopnie, obmyj ręce ze krwi.

Katechizm artysty

Niechby jednego człowieka wybroniło twoje dzieło.

Epika

Przebici włóczyli kiedy kucali za swoją potrzebą.

Pochodzenie filozofii

Z odrazy do wydzielin i odorów ciała
Nauczyli się kreślić piękne linie.

Sezony

Wiek złoty, wiek srebrny, wiek spiżowy, wiek żelazny?
Nie. Wiek magii; poezji; filozofii; filologii.

Poeta nowoczesny

Zamknięty w Piekło mówi że Piekło nie istnieje.

Szczerłość

Jakże mam kochać bliźnich jeżeli na śmierć zasługują?

Psy

Na wielkich pochyłych trawnikach psy igrają pod okiem ludzi,
Którzy wtedy gotowi są kochać tak podobny ludzki gatunek.

Zagrożenie

Straszno pomyśleć że co zapomniałem będzie przypomniane.

Natura

Kiedy biesy tańczyły we mnie wydawałem się sobie aniołem.

Znak rozpoznawczy

Byli to ludzie jak my: latać umieli we śnie.

Przekraczając próg

I opadł ze mnie strój epoki i znalazłem się w wielkim kraju
zapomnianych przez ludzi plemion.

Fragment z baśni

Podziemnym borem i podziemnym lasem, długie tygodnie
w świetle podziemnych wód
Szedł wędrowiec wywiadując się o nich, żeby dostać
przebaczenie.

Okrzyk

Nie takiego ja chciałem życia, nie pod takim prawem,
nie na takiej Ziemi!

Zarzut

— Nie mówisz prawdy. — Bo jest może jeszcze nadzieja dla ludzi.

Zasługa

On to sprawił, że jego potomni
Sadzą drzewa i słyszą dźwięk dzwonów.

Czesław MIŁOSZ

Archiwum polityczne

Materiały do refleksji i zadumy

Komu należy ufać — czy lekarzowi, który ma za sobą pół wieku praktyki — czy jego młodszemu koledze, który ma za sobą tylko dziesięć lat doświadczenia?

W takiej sytuacji wybrałbym lekarza z dziesięcioletnim doświadczeniem. Pół-wiekowa praktyka lekarska nie może zrównoważyć faktu, że stary lekarz o którym mówimy — ukończył medycynę w pre-historycznych czasach.

Gdy nie było nauki w nowoczesnym tych słów znaczeniu — doświadczenie i praktyka były głównym źródłem wiedzy w każdej dziedzinie. W owych czasach ludzie starzy cieszyli się wielkim autorytetem. Znali bowiem, lepiej niż młodzi, tradycję przekazywaną z pokolenia na pokolenie oraz dysponowali doświadczeniem, którego nie można inaczej zdobyć tylko poprzez długie życie.

Dziś to wszystko wygląda inaczej. Astronauta nie musi mieć doświadczenia — musi natomiast mieć dobrą znajomość najnowszych osiągnięć technologicznych w dziedzinach astronautyki, astrofizyki itd.

To jest przykład skrajny. Lecz niewątpliwie, ponieważ żyjemy w epoce przełomowych odkryć w naukach ścisłych oraz w okresie przełomowych przemian gospodarczo-społecznych, gruntowna znajomość wiedzy najnowszej, aktualnej — góruje nad doświadczeniem, które siłą faktu zdobyte na przestrzeni ubiegłych 30-tu czy 40-tu lat reprezentuje wiedzę i praktykę sprzed rewolucji technologicznej.

Powszechny „trend” do odmładzania zespołów kierowniczych, politycznych, gospodarczych, wojskowych itp. — jest naturalną konsekwencją powyższego zjawiska.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że starcy w naszych czasach utracili całkowicie swoje znaczenie. Nie ujmując niczego astronautom i młodym ludziom w ogólności — należy stwierdzić, że na naszym globie w chwili obecnej żyje dwóch bardzo starych

Nowość

TOM 245 — BIBLIOTEKI « KULTURY »

CZESŁAW MIŁOSZ

**GDZIE WSCHODZI SŁOŃCE
I KĘDY ZAPADA**

P o e z j e

Str. 96.

Cena F. 15 (dol. 3,50).

panów, których śmierć może się okazać wydarzeniem znacznie bardziej doniosłym niż wszystkie lądowania na księżycu. Mam na myśli dwóch panów po 80-ce a mianowicie prez. Tito i prezesa Mao Tse-tunga.

Agencja Reutera potwierdziła (w dniu 18. 9. br.) — o czym rozpisywali się korespondenci prasy zachodniej przez wiele tygodni, że Sowiety, Węgry i Czechosłowacja udzieliły czynnego poparcia stalinowcom jugosłowiańskim, którzy zmierzali do utworzenia pro-sowieckiej partii komunistycznej. Pierwszym sekretarzem podziemnej sowieckiej partii jugosłowiańskiej został Dr Mileta Perowicz stale zamieszkały w... Kijowie. W chwili gdy nad Adriatykiem odbywał się tajny zjazd sowieckiej partii jugosłowiańskiej — wzdłuż granicy węgiersko-jugosłowiańskiej odbywały się manewry jednostek wojskowych sowieckich, węgierskich i czechosłowackich.

Władze jugosłowiańskie aresztowały około 50 osób i złożyły oficjalny protest w ambasadach sowieckiej, węgierskiej i czechosłowackiej.

Nie mam zamiaru analizować wszystkich doniesień o działalności KGB w Jugosławii, chciałbym natomiast zwrócić uwagę Czytelnika na charakterystyczny szczegół. Z przejętych przez tajną policję jugosłowiańską materiałów wynika, że stalinowska jugosłowiańska partia komunistyczna uważa Ligę Komunistów Jugosłowiańskich za organizację nielegalną od roku 1948!

Pamiętamy powiedzenie Stalina: „kiwnę palcem i Tity nie będzie”. Stalin kiwał palcem a Tito owo kiwanie spokojnie przeżył. Przeżył jednak w zrozumieniu Kremla — za cenę zerwania z legalizmem.

Partia komunistyczna, która odrzuca prymat Kremla — przestaje być partią legalną — choćby Moskwa ze względów taktycznych utrzymywała z kierownictwem owej partii bliskie kontakty. W takich sytuacjach Moskwie przyświeca zawsze jeden cel a mianowicie „nawrócenie” heretyków i powrót nielegalnej partii na łono jednego prawdziwego, totalnego, sowieckiego komunizmu.

Moskwa nie uznawała nigdy pluralizmu i tej koncepcji przeciwstawiła tzw. doktrynę Breżniewa.

Zająłem się tą sprawą bo zadziwiła mnie nietypowa dla Moskwy nieostrożność i pośpiech. Prezydent Tito ma przeszło 80 lat i zgodnie z prawami biologii musi umrzeć, w niedługim czasie. (Śmiertelność wśród ludzi wyraża się cyfrą pełnych 100 %). Gdy jego braknie szanse Moskwy niepomierne wzrosną. Dlaczego więc nie odczekać chwili, która niedługo musi nastąpić? Po co podejmować akcję obecnie i narażać się na kompromitację?

Skłaniam się do przypuszczenia, że istniały inne przyczyny, które skłoniły Moskwę do zorganizowania stalinowskiego spisku w Jugosławii jeszcze za życia prez. Tito.

Jak wspominałem poprzednio anty-tezą doktryny Breżniewa jest doktryna policentryzmu i pluralizmu sformułowana przez Togliattiego.

21 sierpnia br. minęło 10 lat od śmierci włoskiego przywódcy

komunistycznego. *Trybuna Ludu* odnotowała tę rocznicę i zaprezentowała swym czytelnikom całkowicie sfałszowaną sylwetkę Togliattiego. W. Sznarbachowski w *Tygodniu Polskim* w bardzo dobrym artykule przedstawił prawdziwego Togliattiego i napiętnował wszystkie charakterystyczne pominięcia *Trybuny Ludu*.

Z artykułu Sznarbachowskiego wyjmuję następujący fragment:

„Jak wykazał Togliatti ten historycznie uwarunkowany i ograniczony model ustrojowy (ustrój sowiecki — przyp. mój) — spełnił swą rolę gdy kładziono podstawy państwowości sowieckiej i zapewnił kolektywizację ZSSR. Jednak wskutek rozwoju techniki i nauki z jednej strony, a osiągnięcia większej dojrzałości politycznej i kulturalnej przez obywateli ZSSR — z drugiej, model ten stał się przeszkodą dalszego rozwoju — zarówno samego Związku Sowieckiego, jak i innych krajów, rządzonych przez komunistów. Utrudnił również zdobywanie wpływów przez partie komunistyczne w krajach wysoko uprzemysłowionego Zachodu, żyjących tradycjami humanistycznymi i demokratycznymi. Destalinizacja — stwierdził dalej Togliatti — nie może polegać na potępianiu i kłajstrowaniu zbrodni i błędów Stalina, lecz powinna stać się punktem wyjściowym rewizji, demokratyzacji, liberalizacji i unowocześnienia całej teorii i praktyki komunizmu, a komunizmu sowieckiego w szczególności”.

Policentryzm był konsekwencją powyższego stanowiska. Ustrój sowiecki jest wynikiem specyficznych uwarunkowań historycznych właściwych tylko Rosji i dlatego nie może stanowić jedynego prawdziwego modelu komunizmu dla wszystkich krajów i społeczeństw świata.

Togliatti głosił również zasadę neutralności państwa w stosunku do religii i ideologii. Uznawał prawo do nauczania religii dzieci jeżeli rodzice sobie tego życzą. Krótko — Togliatti reprezentował komunizm o „ludzkiem obliczu”.

Komunistyczne partie europejskiego Zachodu w znacznej mierze zaakceptowały poglądy Togliattiego — co nie może budzić entuzjazmu w Moskwie.

Poświęciłem sporo miejsca Togliattiemu i jego tezom ponieważ bez tego wprowadzenia — to co zamierzam powiedzieć o włoskiej partii komunistycznej wydawałoby się wręcz niewiarygodne.

Artykuł niniejszy nie jest poświęcony ewolucji europejskiego komunizmu. Jeżeli chodzi o mój osobisty pogląd w tej sprawie — nie mam nic przeciwko komunistom, pod warunkiem że porzucą totalistyczny komunizm. Jest również moim przekonaniem, że komuniści, którzy odcinają się od totalizmu — wkraczają automatycznie na drogę wiodącą do demokratycznego socjalizmu. Lecz powyższa problematyka, choć aktualna i interesująca — nie stanowi głównego tematu naszych rozważań. Przedmiotem naszej analizy jest imperialistyczna polityka Moskwy w stosunku do partii komunistycznych, które nie zaakceptowały doktryny Breżniewa.

Ideałem, z punktu widzenia Moskwy, byłby jednolity światowy ruch komunistyczny podporządkowany Kremlowi.

Odrzucając mało reprezentatywne choć dość liczne grupy i grupki trockistów, anarchistów itp., itd. — należy stwierdzić, że istnieją trzy główne komunizmy: sowiecki, chiński i zachodnio-europejski. Wydaje się również, że doktryna Breżniewa sięga tylko tak daleko jak daleko sięga sowiecka broń pancerna. Choć nie każde państwo graniczące z Sowietami staje się nieuchronnie i dosłownie państwem satelickim — niemniej podstawowym warunkiem umożliwiającym przekształcenie danego państwa w satelitę — jest wspólna granica z Sowietami, względnie z imperium sowieckim.

Dla większości Polaków wszyscy komuniści są jednakowi. Ale Moskwa nie może sobie pozwolić na tak uproszczoną klasyfikację. Kreml dzieli komunistów zagranicznych na trzy kategorie: pro-sowieckich, anty-sowieckich i niezależnych. Przywódcy sowieccy sądzą, że komunistów drugiej i trzeciej kategorii można by przemienić w pro-sowieckich gdyby było rzeczą możliwą poddać ich odpowiedniemu naciskowi. Chodzi więc o stworzenie warunków, które by ów nacisk umożliwiły.

Teraz wróćmy do partii włoskiej, która od czasów Togliattiego poszła w swej emancypacji (z punktu widzenia Moskwy) niebezpiecznie daleko.

Informacje (choć nie wnioski), które przytaczam poniżej zaczerpnąłem z artykułu Wiktora Zorzy — jednego z najwnikliwszych i najlepiej poinformowanych sowietologów zachodnich.

Moskwa oskarżyła komunistów hiszpańskich, że zmierzają do stworzenia europejskiej komunistycznej alternatywy. Ów alternatywny komunizm europejski byłby nie tylko niezależny od Moskwy, ale zerwałby wszystkie więzy ze Związkiem Sowieckim.

Na powyższe oskarżenie Moskwy Hiszpanie odpowiedzieli, że ich poglądy są w zgodzie z poglądami włoskiej partii komunistycznej oraz w harmonii z polityką większości zachodnio-europejskich partii komunistycznych.

Zorza informuje, że komuniści włoscy dają do zrozumienia, że zdają sobie sprawę z konsekwencji geograficznej Italii i wskutek tego — jeżeliby weszli do koalicji rządzącej — zgodziliby się na pozostanie Włoch w obrębie NATO. W zamian oczekiwaliby milczącej zgody Waszyngtonu w kwestii udziału komunistów w rządzie włoskim.

Jak widzimy włoscy komuniści gotowi są pójść znacznie dalej niż Jugosłowianie, którzy głoszą politykę „niezaangażowania”. Komuniści włoscy powiadają, że gdy wejdą do rządu nie uczynią niczego co by szkodzić mogło spoistości NATO.

To jest coś więcej niż „europejska alternatywa” sowieckiego komunizmu. Jest to bowiem zgoda na czynny udział Włoch w NATO — Włoch współrządzonych przez komunistów.

Oba super-mocarstwa — oczywiście z różnych powodów odnoszą się do tych potencjalnych rozwiązań z wielką nieufnością. Nas w tym wypadku interesuje Moskwa — nie Waszyngton.

Oczywiście chodzi w tym wypadku nie tylko o partię włoską lecz również o partie komunistyczne całego pasa śródziemnomorskiego — a więc o partie komunistyczne Grecji, Francji, Cypru, Hiszpanii i Portugalii.

Osobiście nie mam zaufania do komunistów bez względu na to czy są Hiszpanami, Grekami czy Portugalczycami. Dodam jeszcze, że miałbym większe zaufanie do „Dubczków” wschodnio-europejskich, którzy sowietyzm poznali na własnej skórze niż do głodnych władzy przywódców komunistycznych w pasie śródziemnomorskim.

Lecz w dzisiejszym układzie Europy nic nie jest proste i nic nie jest białe lub czarne.

Proces historyczny przypomina czasem sieć kolejową. Trzeba być na czas na odpowiedniej stacji, by złapać odpowiednie połączenie. Moskwa jest na odpowiedniej stacji lecz pociąg odszedł bez niej. Z pozoru sytuacja jest wymarzona. W pasie śródziemnomorskim jest czerwono od komunistów. Trzeba tylko wezwać przywódców tych partii do Moskwy i wydać im odpowiednie instrukcje. Z chwilą gdy przywódcy partii komunistycznych Włoch, Francji, Grecji, Portugalii i Cypru pokłonią się Breżniewowi i zaprzysięgną mu wierność — „trzeci Rzym” stanie się historyczną rzeczywistością.

Tak jednak nie będzie i Rosjanie zdają sobie z tego sprawę. Komunizm sowiecki nie ma wielkich szans w Europie Zachodniej. W Sowietach nie ma ani ideologów, ani myślicieli, ani filozofów marksistowskich. Komunizm sowiecki nie ma wielkich pisarzy czy wielkich poetów. Podobna sytuacja panuje w Polsce. Utalentowani marksiści albo wyemigrowali albo wegetują na trzeciorzędnych posadach. W bloku sowieckim obserwujemy całkowite odintelektualizowanie ideologii — bo każda dynamiczna i żywotna działalność intelektualna z definicji oznacza pluralizm a pluralizm, choć nie jest sprzeczny z marksizmem, jest sprzeczny z totalizmem. Jedyną dynamiczną ideologią, którą można pogodzić z totalizmem jest imperializm.

Gdyby komuniści włoscy zdobywszy władzę — byli wierni w praktyce tezom Togliattiego — gdyby zachowali pluralizm i uszanowali podstawowe prawa obywateli — Włochy mogłyby się stać wzorowym modelem europejskiego komunizmu. W takiej sytuacji wpływ rządzącej włoskiej partii komunistycznej na zachodnio-europejskie partie komunistyczne byłby bardzo znaczny. Dla Moskwy rozwój sytuacji po liniach naszkicowanych powyżej — oznaczałaby katastrofę.

Nie chciałbym dożyć zwycięstwa komunizmu we Włoszech i we Francji. Niemniej nie podzielam poglądu większości antykomunistów, że Enrico Berlinguer z chwilą gdy dorwałby się do władzy — tego samego dnia przemieniłby się we włoskiego Breżniewa. Myślę, że sowiecki Breżniew nie ma w tej sprawie złudzeń. Czasami łatwiej jest wykrzesać entuzjazm do budowy sowieckiego komunizmu wśród milionerów amerykańskich niż wśród komunistów włoskich.

Z przyczyn które analizujemy — Jugosławia posiada w strategii sowieckiej kluczowe znaczenie. Po śmierci prezydenta Tity przewidują wojnę bałkańską, która zostanie zaprezentowana Ameryce jako lokalna operacja zgodna z doktryną Breżniewa. Rosjanie mają wszystko przygotowane — łącznie z poważną armią na granicy jugosłowiańsko-węgierskiej. Po śmierci prez. Tito ujawni się jugosłowiańska frakcja stalinowska, która zażąda pomocy ze strony bratniej armii sowieckiej. Kreml uzna natychmiast stalinowców za legalną partię komunistyczną Jugosławii a na terytorium zajętem przez armię sowiecką zostanie powołany rząd, który z kolei zostanie uznany przez Moskwę za legalny rząd Jugosławii. Rosjanie nie będą dążyli do okupowania całego kraju co oznaczałoby zmuszoną wojnę podjazdową w trudnym terenie. Moskwie zależeć będzie nie na okupacji lecz na rozbiciu Jugosławii i zniszczeniu federalnego systemu. Rosjanie będą wygrywać jedną narodowość przeciwko drugiej — będą grać na nacjonalizmach Serbów, Kroatów i Słoweńców i zadowolą się niewielką Jugosławią satelicką z szerokim „oknem” na morze. Oczywiście satelicka Jugosławia musi graniczyć z Włochami.

Należy pamiętać, że frakcje stalinowskie istnieją we wszystkich partiach komunistycznych. Gdyby Sowiety zdobyły bazy morskie i gdyby na granicy jugosłowiańsko-włoskiej stacjonowały pancernie jednostki sowieckie — pozycja stalinowców włoskich uległaby niezmiernemu wzmocnieniu.

Gdyby Moskwie powiodło się z czasem rozbić Jugosławię oraz doprowadzić do rozłamów kompartii włoskiej — wyizolowanie francuskiej partii komunistycznej nie przedstawiałoby już większej trudności. Tym samym niebezpieczeństwo europejskiego alternatywnego komunizmu zostałoby zażegnane.

Podobny manewr taktyczny przygotowywany jest w stosunku do Chin. Moskwa nie planuje wojny przewencyjnej. Pracuje natomiast nad tym by stalinowska frakcja w Chinach wszczęła po śmierci Mao Tse-tunga — jeżeli nie wojnę domową na pełną skalę to przynajmniej poważniejsze rozruchy. Rebelianci stalinowscy wezwaliby wówczas na pomoc Sowiety i przy pomocy z zewnątrz — być może powiodłoby im się opanować jedną czy dwie prowincje. Zajęcie choćby jednej prowincji umożliwiłoby powołanie stalinowskiego rządu chińskiego z którym Moskwa związałaby się sojuszem. I w tym wypadku celem Sowietów nie byłaby okupacja tylko rozbięcie. Chin nie można okupować natomiast w sprzyjającej koniunkturze Chin można rozbić. Chiny w swojej długiej historii bywały daleko częściej rozbite i podzielone niż zjednoczone. Ideałem z punktu widzenia Moskwy nie jest walka Rosjan z Chińczykami tylko walka Chińczyków z Chińczykami przy pomocy Sowietów. Wojny domowe stanowią znacznie większą część tradycji chińskiej niż zgoda i zjednoczenie.

Nie jest rolą pisarza politycznego bawić się w przepowiednie lecz niewątpliwie należy do jego obowiązków rozważać konkretne możliwości. Na szczęście nie jest pewne czy Sowietom powiodzie się rozbić Jugosławię i Chiny — natomiast uznać należy za

pewne, że w sprzyjających dla Moskwy okolicznościach próby w tym kierunku zostaną podjęte.

Gdyby po śmierci prez. Tity i Mao Tse-tunga — Moskwie powiodło się — choćby częściowo przeprowadzić swoje plany — konsekwencje sukcesu Sowietów byłyby różnorakie.

Lecz wpiery chciałbym powiedzieć kilka słów w kwestii „plastyczności” komunizmu. Weźmy dla przykładu „Wiosnę Praską”. Dla nieuprzedzonego obserwatora musiało być oczywiste, że Dubczek i jego bliscy współpracownicy dążyli szczerze i z przekonania do zdemokratyzowania ustroju w Czechosłowacji. Podobnie nie ma podstaw do powątpiewania w szczerości wypowiedzi Togliattiego. Gdyby jednak Dubczek czy Togliatti byli przywódcami rządzących partii komunistycznych i realizowali swoje programy bez interferencji z zewnątrz — musiałyby przyjść moment kiedy obaj doszliby do granicy oddzielającej pluralistyczny komunizm od socjalizmu demokratycznego.

Gdzie leży owa granica pomiędzy pluralistycznym europejskim komunizmem a demokratycznym socjalizmem? Ponieważ ani włoska ani francuska partia komunistyczna nie są partiami rządzącymi — trzeba oprzeć się na materiałach dotyczących „Wiosny Praskiej”, która choć trwała niezmiernie krótko jest faktem historycznym. Nie podejmując szczegółowej analizy, która przekroczyłaby zakres tematyczny niniejszego artykułu — należy stwierdzić, że pluralistyczny komunizm w wielu punktach jest zbliżony do radykalną odmianą demokratycznego socjalizmu. Różnice dotyczą podstawowej kwestii opozycji a tym samym i wyborów.

Tolerancja religijna, wolność prasy, partie polityczne (pluralizm) — to wszystko byłoby dozwolone, pod warunkiem, że ani wolna prasa ani partie polityczne nie dążyłyby do obalenia pluralistycznego, komunistycznego ustroju. Aleksander Dubczek był popularnym wybawicielem narodu z nocy stalinowskiej i uzyskanie powszechnej zgody społecznej dla programu, który reprezentował nie przedstawiało większych trudności. Lecz gdyby pluralistyczny komunizm potrwał w Czechosłowacji kilka lat — musiałyby dojść do konfrontacji i do jasnego zdefiniowania ideologiczno-politycznych postaw.

Komunizm (każdy komunizm) — odróżnia od socjalizmu demokratycznego instytucjonalizm. Demokratyczny socjalizm musi walczyć o poparcie społeczne w kolejnych wyborach do parlamentu i musi liczyć się z możliwością przegranej. Natomiast pluralistyczny komunizm — choćby nawet doszedł do władzy w drodze demokratycznej — wprowadziłyby natychmiast instytucjonalne rygory uniemożliwiające zmianę ustroju.

Osobiście nie wierzę w zbawienie osiągnięte poprzez instytucjonalizm. Żadna ludzka instytucja nie może gwarantować doskonałości. Cele socjalizmu mogą być realizowane tylko poprzez dążenia i walki pokoleń w warunkach całkowitych demokratycznych swobód. Ograniczenie owych swobód nawet podjęte w interesie chronienia zdobyczy socjalizmu — na dalszą metę pro-

wadzić by musiało do upadku demokracji a tym samym i socjalizmu.

Socjalista zdaje sobie sprawę z faktu, że każda reforma socjalistyczna oznacza nie tylko wydatki pieniężne lecz również ograniczenie indywidualnej wolności. Można przyjąć za pewnik, że im więcej sprawiedliwości społecznej tym mniej indywidualnej wolności. Lecz ograniczenia indywidualnej wolności — choć muszą być obowiązującym prawem — nie mogą być ponadparlamentarną instytucją. Prawo, którego parlament wyłoniony z wolnych wyborów nie jest władny zmienić — jest bezprawiem. Z tych przyczyn instytucjonalizm doprowadzony do perfekcji przekształca się w totalizm, który z kolei jest upaństwowionym bezprawiem.

Instytucjonalizm stanowi podstawową różnicę pomiędzy socjalistami a komunistami. Instytucjonalistami są wszyscy komuniści — nawet tacy jak Dubczek, którzy gotowi są przyznać społeczeństwu swobody demokratyczne w ramach instytucjonalnej struktury, której parlament nie byłby władny zmienić.

Z powyżej naszkicowanych przyczyn nie może być rzetelnego sojuszu pomiędzy socjalistami a komunistami. Nawet pluralistyczny komunizm jest w założeniu doktryną totalitarną. Europejski, pluralistyczny komunizm wprowadzony w czyn — musiałby po pewnym czasie albo przekształcić się w nową formę radykalnego socjalizmu demokratycznego albo usztywnić swoje instytucje nadając im charakter policyjnego totalnego państwa.

Osobiście jestem niemal pewien, że gdyby proces określany „Wiosną Praską” trwał i rozwijał się bez interferencji z zewnątrz — Czechosłowacja w przeciągu kilku czy kilkunastu lat przekształciłaby się w państwo demokratyczne. Trudno jednak przewidzieć jak wyglądałaby „wiosna włoska”.

Należy również podkreślić fakt, że w Europie Zachodniej intelektualny rozwój demokratycznego socjalizmu idzie zółtym krokiem w porównaniu z awansem klasy robotniczej. Robotnicy przemysłowi stają się hegemoniczną klasą społeczną, natomiast w sensie intelektualnym i konceptualnym socjalizm demokratyczny nie nadąża za procesem historycznym.

Lecz jak podkreśliłem uprzednio, w tym artykule interesuje nas przede wszystkim imperialistyczna polityka sowiecka. Sowieccy politycy mają podstawy do wnioskowania, że w partiach komunistycznych istnieją frakcje prosowieckie — choćby w danym momencie nie ujawnione. Prosowiecka frakcja komunistyczna przy władzy liczyć może na pomoc Związku Sowieckiego która, jak w wypadku Kuby, wyraża się poważną, stałą zapomogą.

Pomoc gospodarcza i finansowa, choć ważna, nie jest jednak istotna. Na powierzchnię wypłyne sprawa znacznie bardziej zasadnicza. Osobiście nie wierzę w alternatywny komunizm europejski. Komuniści przy władzy — czy w ramach koalicji rządzących — będą zmuszeni zdefiniować swoją postawę. Pluraliści i zwolennicy demokratyzacji zbliżą się do lewicowego skrzydła socjalizmu demokratycznego a komuniści, którzy socjalizm demo-

kratyczny uważają za formację burżuazyjną zbliżą się do Moskwy.

Gdyby po śmierci prez. Tito Kremlowi powiodło się rozbić federację jugosłowiańską i na jej gruzach zbudować mniejszą ale stalinowską Jugosławię — wówczas frakcje prosowieckie w całym pasie śródziemnomorskim mogłyby liczyć na aktywną pomoc Moskwy. Koncepcja utrwalenia pokoju poprzez zamrożenie istniejącego *balance of power* — tak droga sercu Dra Kissingera — może runąć jak domek z kart. Gdy po śmierci Tity i Mao Tse-tunga Moskwa zdoła rozbić chwiejną jedność partii chińskiej i Ligi Komunistów Jugosłowiańskich — wówczas istniejąca „równowaga sił” uległaby radykalnej przemianie na korzyść Moskwy. Z punktu widzenia Kremla znikłoby zagrożenie ze strony Chin a równocześnie pozycja i wpływy Sowietów w pasie śródziemnomorskim wzrosłyby niepomierne.

Nie twierdzę, że Moskwa osiągnie powyższy cel, natomiast można uznać za pewnik, że Sowiety pracują dniem i nocą nad jego zrealizowaniem.

Walka o duszę lewicy jest dziedziną w której Amerykanie nie wykazują talentu. Mimo, że Biały Dom korzysta z usług armii socjologów i politologów — politycy amerykańscy jako „inżynierowie ideologii” (w przeciwieństwie do technologii) są wręcz beznadziejni.

Lecz co się dziwić Amerykanom. Na łamach polskiej prasy emigracyjnej przeczytałem opinię, że Sowiety choć tępią policentryzm w bloku wschodnim — nie tylko tolerują lecz podsycają pluralizm i policentryzm w partiach komunistycznych Zachodu, by uczynić komunizm bardziej atrakcyjny dla europejskich społeczeństw. Pisarze polityczni występujący z tego typu diagnozami choćby czytali *Prawdę* przed pierwszym śniadaniem — o komunizmie nie mają pojęcia.

Gdybym był politykiem amerykańskim rozumowałbym następująco: jako antykomunista nie mam zaufania do żadnego typu komunizmu. Lecz jako pragmatyk muszę uznać, że w globalnej strategii amerykańskiej liczy się tylko to czy ktoś jest prosowiecki czy antysowiecki. Z tego punktu widzenia prosowiecki polski endek (a są i tacy) jest gorszy niż antysowiecki hiszpański czy włoski komunista.

Formułując jakąkolwiek linię polityczną należy zawsze postawić pytanie: jaka jest alternatywa?

Uważam, że nie jest całkowicie pewne, że zwolennicy komunizmu o ludzkim obliczu, gdy dorwą się do władzy, wkroczą na drogę demokratyzacji. Natomiast jest stuprocentowo pewne, że jeżeli Ameryka odepchnie tych komunistów — nie pozostawi im innego wyjścia jak powrót na łono Kremla.

Jeżeli po śmierci Tito i Mao Tse-tunga nastąpią rozłamy nie tylko w jugosłowiańskiej i chińskiej lecz również i w innych partiach komunistycznych — byłoby istotne by antysowieckie i niezależne frakcje komunistyczne w Europie i poza Europą liczyć mogły na życzliwą neutralność Stanów Zjednoczonych. Jeżeli Dr Kissinger będzie uważał, że polityka *détente* uniemożliwia za-

jęcie stanowiska życzliwej neutralności w stosunku do komunizmu antysowieckiego — okaże się, że Ameryka, pod wpływem „odpreżenia”, nie tylko pomogła do gospodarczego ustabilizowania reżymu stalinowskiego w Sowietach lecz również dopomogła do zjednoczenia światowego komunizmu pod egidą Kremla.

Kapitalizm w Europie Zachodniej upada. Kreml dopatruje się w tym swojej dziejowej szansy. W interesie Ameryki jako supermocarstwa leży by spadkobiercami ery kapitalizmu w Europie Zachodniej były partie i ruchy antysowieckie. Dubczekowi czesko-słowackiemu nie było możliwe pomóc. Lecz Dubczekom zachodnio-europejskim będzie można pomóc. Jeżeli jednak Dubczeki zachodnio-europejskie będą mieli przeciwko sobie zarówno Sowiety jak i Stany Zjednoczone — kto zechce być Dubczekiem?

Byłby czas by Amerykanie poduczyci się „inżynierii dusz” — ponieważ dusze tak we Wschodniej jak i w Zachodniej Europie odgrywają ciągle jeszcze bardzo istotną rolę.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Korespondencja z Rzymu

Geografia Kościoła współczesnego

„Ileż nauczyliśmy się tutaj, na Synodzie, mawiali biskupi z różnych stron świata (z wywiadu bp. Władysława Rubina, sekr. gen. Synodu). Teraz rozumiemy dlaczego Kościół i jego pasterze zajmują takie, a nie inne, stanowisko w danej części świata: w Azji, Afryce, Europie Wschodniej... A najwięcej z tego bogactwa doświadczeń czerpał Ojciec Św., słuchający uważnie poszczególnych wystąpień... Fakt że w interwencjach poszczególnych biskupów przebiegała troska o problemy ewangelizacji tego czy innego kraju, ukazywały się fermenty nurtujące, istniejące na różnych kontynentach oraz wymogi Kościołów lokalnych — było to znakomitym świadectwem poczucia rzeczywistości, śmiało ujawnianej przez pasterzy tych kościołów oraz świadomej ich odpowiedzialności za cały Kościół. Właśnie ta odpowiedzialność wymaga kolegiального, zespolowego przyjrzenia się całemu Kościołowi, bo wtedy dopiero staje się ona współodpowiedzialnością za Kościół Powszechny”.

Drugą część obrad (pierwszą zreferowałem w poprzedniej korespondencji) otworzył zasadniczy referat kard. Wojtyły na temat aspektów teologicznych ewangelizacji: analiza zróżnicowanych sytuacji egzystencjalnych na świecie i zarazem próba syn-

tezy. Referent apelował do zajęcia postawy dialogowej, tzn. otwartej, „gotowej do wysłuchania i zrozumienia innych”, pod warunkiem odrzucenia konformizmu lub indyferentyzmu doktrynalnego. „Kardynał Wojtyła zabłysnął na Synodzie wiedzą teologiczną i szerokością horyzontów jako myśliciel na wskroś nowoczesny, prowokujący głęboką refleksję” — taką opinię słyszało się w tych dniach często w kołach kościelnych. Zanim przejdziemy do treści tego referatu krótki *flash* z drugiej sesji zgromadzenia synodalnego, uwzględniając przekrój terytorialny, który tak bardzo odcisnął się na obradach tego Synodu.

Bp Tzadua z Addis Ababy oświadczył że Kościół „nie może milczeć w obliczu niesprawiedliwości, musi głośno przemawiać, ryzykując nawet wywołanie skandalu i niebezpieczeństwo utraty przywilejów”. Zdaniem peruwiańczyka bp. Schmitza, nie należy popadać w skrajność „odrzućcia ideologii marksistowskiej, uciekając się do pomocy ideologii pochodzącej z mentalności kapitalistycznej”. Kard. Bengsch (Berlin wschodni) przestrzegał przed niebezpieczeństwem wyolbrzymiania autonomii Kościołów lokalnych. W państwach komunistycznych Kościół jest zmuszony kolaborować z władzami państwowymi, które narzucają ideologię ateistyczną i swoją własną koncepcję autonomii Kościoła i „liberalizacji”, oznaczającej przewyższenie wszelkich form religijnych. Wobec tego — zdaniem mówcy — nie należy przesadzać z anty-centralistyczną postawą (mimo że centralizm rzymski był nieraz zbyt akcentowany) — ważne jest przede wszystkim poszukiwanie jedności. Ukraiński abp Hermaniuk z Kanady (obrzędki wschodniego) położył nacisk na troskę o należyłą formację wychowawczą młodzieży, reagując na „dobrze zorganizowane zabiegi propagatorów materializmu ateistycznego”. Tą samą kwestią zajęła się kard. Wyszyński, podobnie jak w poprzednim wystąpieniu (uzupełniającym, na prośbę prezydium, „kontynentalne” referaty wprowadzające; jego treści nie podano do wiadomości publicznej, bo był uznany przez mówcę jako „laboratoryjny”) nie wymieniając wprost Polski, ale całokształt warunków w „drugim świecie”, w którym reżymy totalitarne prowadzą propagandę ateistyczną przy pomocy monopolu środków masowego przekazu. „Należy bronić — powiedział — wykonywania praw ludzkich. Nie jest zadaniem Państwa formowanie obywateli w religii bez wiary, przy pomocy środków oddanych mu do dyspozycji dla dobra wspólnego. Nie może używać pieniędzy publicznych pochodzących również od chrześcijan dla propagandy ateistycznej. Państwo nie może uciekać się do przemocy i przymusu celem podważania zaufania do Kościoła. Synod ma obowiązek zabrania głosu w obronie prześladowanych i uciskanych. Oczekują odeń wyraźnego stanowiska liczne wspólnoty chrześcijańskie w państwach rządzonych przez ateistów”.

W raporcie specjalnej grupy roboczej (kardynałowie: Marty, Philippe, Roy i Wojtyła oraz bp Camara i bp Nguyen Kim Dien) czytamy: „zadanie chrześcijan polega na walce pokojowej o wyzwolenie człowieka ze struktur kolonialnych, zwłaszcza w „trze-

cim świecie", ale również w „drugim świecie”, w którym rządy sprawują reżymy komunistyczne, gdzie panuje ucisk często przemilczany w obawie o reakcję opinii publicznej”.

W odczycie wygłoszonym w rzymskim Polskim Instytucie Studiów Kościelnych, kard. Wojtyła powiedział, że w swym referacie na Synodzie musiał „bronić swej pracy” przed oficjalnym teologiem Kurii Rzymskiej (padre Domenico Grasso, prof. Gregorianum). Jego zdaniem, cały Kościół jest dziś „w stanie misyjnym”, teologia zaś ewangelizacji nie ma charakteru abstrakcyjnego, tworzy się w związku z życiem Kościoła — „istnieje bowiem wzajemne przenikanie się aspektu doktrynalnego i pastoralnego tej ewangelizacji. Na różnych kontynentach, w obrębie „trzech światów ustrojowo-ideologicznych” problematyka ewangelizacji inaczej się kształtuje. „Mówiło się dotąd często o tzw. Kościele Milczenia — mówił dalej Wojtyła — zadawałem sobie nieraz pytanie czy to ten, który milczy, czy też o którym się milczy. Ponieważ mogliśmy mówić z całą szczerością, dzięki temu ten „Kościół Milczenia” (zaczęto o nas mówić) przestał istnieć. Inni czują się niekompetentni w naszych sprawach, podobnie jak my patrzymy np. na ulubiony temat Ameryki Łacińskiej, *liberation* — rozumiemy to, ale jak oni to tam odczuwają — nie wiemy”. Innymi słowy, ludzie winni kompetentnie mówić o sobie — sprecyzował. Na Synodzie wyłoniło się bardziej to co jest „lokalne”, a nie, jak dotąd, tylko „uniwersalne”. Kard. Wojtyła podsumowując dyskusję drugiej części obrad, uszeregował następujące kompleksy problemów:

1. „Utubylczenie” (*indigenisation*) — termin ten przyjął się na Synodzie i odtąd będzie stale powracać), czyli wchłonięcie przez lokalne Kościoły afrykańskie miejscowej kultury i folkloru oraz zwiększenie ich autonomii (od Kurii Rzymskiej) w zakresie liturgicznym i dyscyplinarnym.

2. Spotkanie z wielkimi religiami świata (islam, buddyzm), dotyczące przede wszystkim obszarów Bliskiego i Dalekiego Wschodu.

3. Wyzwolenie społeczne i polityczne (Ameryka Łacińska i Europa Wschodnia). Kościół upomina się o zniesienie nierówności społecznych, o równouprawnienie obywatelskie, „chce być zaangażowany w przemiany społeczno-gospodarcze, co posiada implikacje natury teologicznej”.

4. Sekularyzacja, obejmująca świat atlantycki, występująca bardziej w Europie Zachodniej niż w Ameryce Północnej. Problem ten najwyraźniej odezwał się w dokumencie episkopatu niemieckiego. Należy odróżnić zjawisko współczesnej sekularyzacji od sekularyzmu, tzn. „narzucanego z góry uwalniania cywilizacji od elementów religijnych i zastępowanie ich innymi pojęciami”. Synod akceptuje autonomię rzeczy doczesnych, ale przeciwstawia się sekularyzmowi.

5. Wolność religijna. W imię marksistowskiej tezy o alienacji człowieka wypowiedziana została walka religii w ogóle, a chrześcijaństwu w szczególności. Pojęcie „alienacji” jest kluczo-

we dla problematyki „drugiego świata”. Wolność religijna wynika z wolności sumienia, podstawowych praw osoby ludzkiej („nie jestem wyobcowany, przeciwnie wzbogacany przez religię — nikt nie ma prawa mnie tego pozbawić”).

Znaczenie obecnego Synodu polega — zdaniem metropolity krakowskiego — na „określeniu uwarunkowań Kościoła na różnych obszarach globu, na wzajemnym wzbogaceniu przez wymianę doświadczeń, na przekazaniu prawdy egzystencjalnej”. Synod dostarczył elementów do poznania „geografii Kościoła, życia duchowego współczesnych chrześcijan”.

Na jednym z ostatnich posiedzeń plenarnych Synod wybrał członków nowej Rady Sekretariatu Generalnego (12+3 z nominacji papieskiej), stałego organu o trzyletniej kadencji, tj. do następnego zgromadzenia synodalnego. Członkowie tej Rady (po trzech z Europy, Azji, Afryki i obu Ameryk) otrzymali prawo do udziału w *conclave*, tzn. w wyborze papieża. Największą ilość głosów uzyskali: Brazylijczyk, bp Lorscheider (148); Francuz, abp Etchegaray (145); Afrykańczyk z Kamerunu, bp Zoa (127); kard. Wojtyła (115). Dziennik *Le Monde* dokonał swego „przeoczenia”, podając Wojtyłę obok kard. Doepfnera, przypisując mu tę samą liczbę głosów (53).

Zredagowanie końcowego dokumentu (schemat wniosków i rozwiązań) okazało się niewykonalne, nie tylko z powodu braku czasu, ale przede wszystkim bogactwa nagromadzonego materiału. Synod zresztą nie jest Soborem — nie ma za zadanie ogłoszenia dokumentów, lecz sformułowanie sugestii i rad dla Papieża. Komisja robocza (zespół nie był zgrany) obarczona zadaniem opracowania projektu takiego końcowego dokumentu nie zdołała tego dokonać; projekt został przyjęty tylko w części pierwszej (teologicznej), natomiast trzy dalsze części (pastoralne) odrzucono, co wywołało duże wrażenie i stało się źródłem spekulacji prasowych. Ponieważ nie udało się dokonać syntezy prac synodalnych, zamiast tego opracowano i zatwierdzono dwa dokumenty oficjalne: „orędzie do ludu Bożego w sprawie ewangelizacji świata współczesnego” oraz „spis głównych tematów dyskutowanych”, przedłożony Papieżowi wraz z protokołami wszystkich zebrań plenarnych i grup roboczych. W orędziu jest rozdział dotyczący wolności sumienia i religii w obrębie państw, jako nieodzownego warunku dla ewangelizacji, potępiający przymusową ateizację.

Najistotniejszy jest jednak inny dokument, przedłożony z inicjatywy specjalnej komisji, powołanej *ad hoc*, pod przewodnictwem kard. Króla (USA — jeszcze jeden Polak, który obok kardynałów Wyszyńskiego i Wojtyły oraz biskupa Rubina, odegrał na tym Synodzie wybitną rolę). Dokument ten „o ochronie praw człowieka” (uchwalony prawie jednogłośnie) formułuje pięć zasadniczych praw: do życia (przeciw torturze, przemocy wobec niewinnych, wojnie); do odżywiania się (sprawa śmierci głodowej grożącej milionom ludzi); do sprawiedliwych warunków społeczno-gospodarczych (przeciw nierównemu podziałowi bogactw,

koncentracji potencjału ekonomicznego w gestii aparatów państw totalitarnych lub kapitalistycznych spółek wielonarodowych); do sprawiedliwych warunków polityczno-kulturalnych (wolność informacji, słowa, przekonań, wyboru kierunku wychowawczego — przeciw rasizmowi etniczemu, religijnemu, politycznemu); do wolności religijnej. Dokument stwierdza że „żaden naród nie jest wolny od zarzutów, jeśli chodzi o prawa człowieka i obywatela. Specyfikacja konkretnych przypadków przemocy nie należy do Synodu, lecz do Kościołów lokalnych”. W zakończeniu dokument ten brzmi: „Kościół pragnie przebaczyć tym, którzy go prześladowają i szkalują i przyrzeka wyrozumiałość tym, którzy go kwestionują i rzucają mu wyzwanie”.

Przemawiając na zakończenie Synodu, Paweł VI (określiwszy go jako „chwilę historyczną i orientacyjną dla Kościoła”) nawiązał do powyższego dokumentu, oświadczając: „Godność ludzka, o jaką upomina się dokument o ochronie praw człowieka, jest rewindykowana w imię uczuć religijnych, które tak wielu stara się udaremnić i to w chwili kiedy współzycie społeczne toleruje wciąż warunki kontradyktoryjne i zawiera w sobie niebezpieczeństwo nowych, strasznych wstrząsów. Historia jest zawsze dramatem ukrytych przeznaczeń. Kościół nieustraszony i miłosierny podnosi swój sztandar sprawiedliwości i pokoju”. Obserwatorzy z kręgów pozakatolickich przyznają że Synod aktualny, senat katolicyzmu światowego, był widownią „niezwykłego dynamizmu i nieoczekiwanej żywotności”. Konkretnie rezultaty dadzą dopiero znać o sobie, będzie je można odczuć w najbliższych latach.

Akompaniament krajowy do Synodu

Niemal równocześnie z wywiadem Gierka dla prasy amerykańskiej przed jego wyjazdem do Waszyngtonu („Kościół w Polsce jako istotny czynnik obecnej rzeczywistości może przyczynić się do odnowy społecznej” + peany pochwalne dla Watykanu), czyli już po otwarciu Synodu, dotarły tu z kraju wieści o powołaniu do wojska alumnów seminariów duchownych w kilku diecezjach (m.in. w diecezji tarnowskiej — 24, w gorzowskiej — 12). Liczby, jak zwykle w tych przypadkach, mogą ulec fluktuacjom w poszczególnych diecezjach, w zależności od wymogów taktycznych partii — trwa bowiem swoisty kontredans: powoływanie seminarzystów do wojska służy nie do wzmocnienia potencjału militarnego PRL, lecz za narzędzie nacisku i walki z Kościołem (prowokując przerwę dwuletnią w studiach, tzn. w przygotowaniu do stanu kapłańskiego, kierownictwo partii liczy na sztuczne obniżanie realizacji powołań).

Nie ustaje dyskryminacja wierzących na płaszczyźnie zawodowej, odciąganie od praktyk religijnych, próby łamania charakterów. W tym samym dniu, w którym Papież otworzył uroczyste Synod, tj. 26 września, kierowniczka domu kultury w Widawie (pow. Łask) otrzymała „upomnienie” (zagrożenie utraty posady)

z urzędu gminnego za udział w chórze kościelnym. 24 września — dyr. szkoły w Brzozowej (pow. Ryki) oświadczył: „zabrania się chodzenia na lekcje religii” i groził „konsekwencjami” za brak subordynacji. W tym samym okresie, w pewnej miejscowości na terenie powiatu Włodawa, dyr. liceum ogólnokształcącego zmuszał młodzież do pracy w niedziele, uniemożliwiając jej uczęszczanie na lekcje religii i do kościoła. Oto kilka tylko przypadków zarejestrowanych pod koniec września. Zbyteczne dodawać, że za tego rodzaju czyny obowiązujący kodeks karny nakłada karę aresztu i wysokie grzywny. W tych przygrzywkach do Synodu (którym skądinąd reżymowa publicystyka zajmowała się z podejrzaną gorliwością) nie zapomniano o kard. Wojtyłę: zamiast postulowanego fakultetu teologicznego, ofiarowano mu na Wszechnicy Jagiellońskiej ...instytut religioznawstwa (tj. ateizmu).

W propagandzie partyjnej, zwłaszcza w okresie poprzedzającym wyjazd Gierka do USA, specjalną rolę odkrywał problem budownictwa kościelnego. Padały ostatnio w prasie krajowej cyfry udzielonych zezwoleń na budowę nowych świątyń, którymi władza ludowa jakoby hojnie szafuje. Cyfry te podawane są jednak bezkrytycznie, bez uwzględniania współczynnika wzrostu urbanizacyjnego i demograficznego. Trzeba dopiero przyjrzeć się im bliżej, zanalizować podłoże społeczno-gospodarcze konkretnych terenów, by wyrobić sobie należyte pojęcie. Np. w samej Warszawie dano w bieżącym roku zezwolenie na budowę jednego kościoła (na Bielanach), a potrzeba 30-tu według obliczeń episkopatu (biorąc pod uwagę, że w licznych dzielnicach są jedynie ciasne kaplice. W kilku diecezjach udzielono zezwoleń w sposób całkowicie arbitralny — nie tam gdzie istnieją rzeczywiste i rosnące stale potrzeby. Np. w diecezji tarnowskiej udzielono ich aż 13 (!), choć sytuacja tam nie wygląda bynajmniej dramatycznie. Skutek jest taki że kuria diecezjalna w Tarnowie nie jest oczywiście w stanie wykonać tego optymalnie przedstawionego planu. Zupełnie tragicznie wygląda natomiast sytuacja w Poznaniu i w dawnej fortecy pierwszego sekretarza, tj. na Śląsku (np. Tychy), gdzie mimo ciągłych petycji, władze wojewódzkie odmawiają zezwoleń (mamusia Gierka była ponoć praktykującą katoliczką — trzy lata temu, belgijska prasa komunistyczna rzewnie snuła nić wspomnień, sugerując naiwnie pro-katolickie nastawienie syna, dawnego górnika zagłębia Charleroi). Sprawa budownictwa kościołów jest nadal przedmiotem manipulacji partyjnych: udziela się zezwoleń nie tam gdzie sytuacja tego najbardziej wymaga, tzn. w ośrodkach przemysłowych i wielkich i rozrastających się aglomeratach miejskich, lecz w okręgach wiejskich, na odczepnego kapiąc drobnymi koncesjami i czyniąc wokół tego wielką wrzawę propagandową.

Partii nie śpieszy się — wbrew emfaticznym deklaracjom przeznaczonym na eksport, z ułatwianiem Kościołowi jego misji w zakresie „odnowy społecznej”. Idzie jej natomiast przede wszystkim o przyspieszenie normalizacji stosunków z Watykanem. Jak podała prasa zachodnia, w dn. 3 października, premier

Jaroszewicz oświadczył, że rząd oczekuje na przybycie wysłannika Stolicy Apostolskiej dla doprowadzenia do tej normalizacji i „rząd nasz nie będzie stwarzał żadnych trudności w rokowaniach zmierzających do normalizacji tych stosunków — trudności, jeśli by miały nastąpić, mogą wypłynąć jedynie ze stanowiska Watykanu a w szczególności ze strony kard. Wyszyńskiego”.

W ramach „stałych kontaktów roboczych” (przewidzianych w protokole z 6 lipca br.) pomiędzy Watykanem a rządem PRL, abp Casaroli spotkał się tu 5 i 6 listopada z wicemin. spraw zagr. Czyrkciem. Ogłoszony komunikat stwierdza krótko, że te kontakty — jak antycypowałem w nr. 9/324 *Kultury* — będą odbywać się zarówno w Watykanie jak i Warszawie oraz że abp Poggi, nuncjusz do specjalnych poruczeń, został mianowany szefem delegacji Stolicy Apostolskiej dla „stałych kontaktów roboczych”. Zdaniem autorytatywnych, kościelnych źródeł polskich, niespodziewany przyjazd Czyrka potwierdza ocenę episkopatu o dążeniu do propagandowego dyskutowania tych kontaktów ze strony reżymu warszawskiego (tak jak w lipcu w związku z obchodami XXX-letniej rocznicy powstania PRL, tak teraz dla zneutralizowania efektu wybitnej roli jaką odegrali na Synodzie polscy biskupi). Nowomianowany szef delegacji polskiej dla kontaktów z Watykanem, radca Szablewski, akredytowany przy ambasadzie PRL w Rzymie, nie zjawił się zresztą, co — zdaniem wyżej wspomnianych źródeł — świadczy o tym, że rząd PRL nie jest zainteresowany w traktowaniu na serio tych rozmów. W tym stanie rzeczy nie ustalono kiedy abp Poggi wybierze się do Warszawy. Wbrew sensacyjnym pogłoskom o szybko mającym nastąpić nawiązaniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy Watykanem a Warszawą, czynniki watykańskie nie ukrywają że jest to „sprawa nie prosta i wymagająca dłuższego czasu”. Abp Poggi wybiera się tymczasem (w połowie listopada) do Berlina wschodniego dla ułożenia programu rokowań w sprawie normalizacji stosunków z NRD. Jest to sprawa niezmiernie delikatna z uwagi na zaciekłą opozycję zachodnio-niemieckich kół kościelnych i politycznych. W ostatnich miesiącach prasa zachodnio-niemiecka (nie tylko chadecka, ale i socjal-demokratyczna) zaczęła gwałtownie atakować watykańską *Ostpolitik*, przepowiadając jej definitywny kres.

Przytoczona wyżej opinia Jaroszewicza wymaga krótkiego komentarza, jako że nie przestają wciąż krążyć na łamach prasy zachodniej mgłne odgłosy tej opinii (na temat stanowiska Prymasa Polski wobec kwestii rokowań pomiędzy Warszawą a Watykanem). Opinie te kształtuje często świadoma dezinformacja sterowana z gabinetów komunistycznych służb wywiadowczych. Po wygłoszonej tu niedawno prelekcji red. Turowicza z Krakowa na temat Kościoła w Polsce, pewni zachodni „progresiści” katolicycy zadawali mu prowokacyjne pytania, w których nie wiadomo było czy przeważa zła wola, ignorancja i lenistwo intelektualne czy też właśnie efekt obcej inspiracji. Ten typ „progresistów” domagającego się za wszelką cenę układów pomiędzy Watykanem a reżymami komunistycznymi (a krytykującego zajadle bisku-

pów) to najgorszy produkt katolika o mentalności faszystowskiej, *pendant* licytujących się na lewicowość zachodnich marksistów” (p. rozmowa G. Herling-Grudzińskiego z W. Maksimowem w październikowym nrze *Kultury*). Na prelekcji tej nie brakło zresztą niezamaskowanych faszystów, którzy przez 30 lat nie nauczyli się niczego i uprawiają perfidną propagandę paxowską (w jej potrzask wpadają nieraz inteligentni skądinąd faceci, bynajmniej o faszyzm niepodejrzani).

Ukazujący się od niedawna włoski dziennik *Il Giornale* zamieścił miesiąc temu sensacyjną korespondencję watykańską pt. „Interwencja Pawła VI-tego by zmusić Wyszyńskiego do ustępstw”. Dziennik podaje że audyencja udzielona kard. Wyszyńskiemu w dn. 5 października była „nieoczekiwana i stanowić może osobistą interwencję Papieża w celu przełamania oporu Prymasa”. Relacjonując przebieg ostatnich wydarzeń w zakresie normalizacji stosunków pomiędzy Watykanem a PRL, dziennik ten stwierdza: „Ostatnią przeszkodę stanowi 'żelazny kardynał'. Wyszyński zawsze obawiał się, że przyszłe układy, zawarte bezpośrednio pomiędzy rządem warszawskim a dyplomacją papieską, nie będą uwzględniały sytuacji kleru i katolików polskich. Jego zdaniem, zanim dojdzie do porozumienia z Watykanem, należy rozwiązać problemy wciąż otwarte pomiędzy Kościołem a Państwem, które woli je ignorować... Jeśli dziś papież wezwał go, by zmusić go do ustępliwości, kardynał znalazł się wobec bardzo trudnej decyzji”. Tyle dziennik.

Audyencja ta — według najbardziej autorytatywnego źródła — polegała na „szczerzej wymianie poglądów”, nie była ani „nieoczekiwana”, ani nie było mowy o naciskach papieża, by „zmusić” prymasa Polski do ustępstw, co byłoby „sprzeczne z jego charakterem — Paweł VI jest zbyt subtelnym dyplomatą, by uciekać się do jakiegokolwiek presji w tak delikatnej sytuacji. Nie jest natomiast żadną rewelacją, że Prymas i cały episkopat polski stoją na stanowisku, iż zanim dojdzie do podpisania układu pomiędzy Watykanem a rządem PRL, trzeba najpierw uregulować (możliwie na drodze ustawodawczej) zasadnicze sprawy na odcinku stosunków Kościół-Państwo, tzn. gwarancje dla nieskrępowanej wolności nauczenia religii i akcji duszpasterskiej, równouprawnienia katolików w życiu publicznym, autonomii Kościoła w zakresie nominacji kanonicznych, wolności zrzeczeń religijnych, prasy, stowarzyszeń katolików świeckich, dostępu katolików do kształtowania kultury narodowej i korzystania ze środków masowego przekazu. Aparat państwowy i partyjny winien zaprzestać uprawiania masowej ateizacji i praktykowania dyskryminacji wierzących w życiu zawodowym i społecznym. Dopiero wówczas znikną obiektywne przeszkody na drodze, do „normalizacji”. Sądzę że myśl Prymasa Polski w odniesieniu do kwestii stosunków Watykan-PRL można ująć lapidarnie w następujący sposób: normalizacja tak, ale nie cmentarz (tzn. nie za cenę pogrzebienia Kościoła w kraju, jego twórczej i niezależnej roli moralnej, wychowawczej i duszpasterskiej).

U sąsiadów gorzej

Ukraina — Kościół męczęński

Najgorzej na pewno na dawnych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej i na obszarze kijowszczyzny. O tragicznym położeniu katolików ukraińskich (obrzędki wschodniego czyli unitów) mówił na ostatnim synodzie kard. Slipyj. Wielkorosyjska, imperialistyczna racja stanu supermocarstwa sowieckiego nie może pogodzić się z faktycznym istnieniem Kościoła Ukraińskiego — jak się okazuje nie wystarczy zadekretowanie jego likwidacji poprzez przymusowe, formalne wchłonięcie przez Cerkiew Prawosławną (przy milczącej aprobacie Watykanu). Ukraińscy katolicy zeszli do podziemia. W katakumbach XX wieku gromadzą się dla odprawiania nabożeństw. Policja raz po raz wpada na ich trop, dokonuje aresztowań i skazuje (bez rozgłosu) liczne ofiary na zsyłkę do obozów pracy przymusowej lub do karnych szpitali dla obłąkanych. Tylko pozornie lepiej wygląda położenie katolików obrzędki łańskie. Nieliczni pozostali kapłani w podsztywnym wieku kolejno wymierają — nie ma mowy o ich zastąpieniu. We Lwowie było do niedawna dwóch księży polskich. Przed dwoma miesiącami jeden z nich zmarł po uporczywym przesłuchiwaniu przez policję (tak się tym staruszek przejął, że po powrocie do domu przez trzy dni zaniemówił). Ostatnio nadeszła wiadomość o zaarrestowaniu ks. Sienkiewicza w Stanisławowie pod zarzutem, że ośmielił się... uczyć dzieci religii (!). „O tych sprawach należy krzyczeć, zwłaszcza o położeniu katolików na Ukrainie i na Litwie, na Zachodzie zaś milczy się lub szerzy się fałszywe informacje” — powiedział mi dobrze poinformowany dostojnik kościelny — reżymy komunistyczne wprowadzają świadomie w błąd opinię publiczną na Zachodzie, kalkulując że złe sumienie i żelazne prawa *business'u* uniemożliwią rządowi krajów uprzemysłowionych skuteczny (tzn. stawiający konkretne warunki współpracy) protest”.

Litwa — Kościół niezłomny

Ostatni numer „Kroniki Kościoła katolickiego na Litwie” (*Lietuvos Katoliku Bazykios Kronika*) przynosi nowy, obfity materiał o prześladowaniach (rewizje w domach prywatnych w poszukiwaniu literatury religijnej, *Samizdatu* i tajnych drukarni) i procesie w Wilnie przeciw grupie uczonych, skazanych na 2 do 6 lat obozu. *Kronika* przytacza tylko niewielką część faktów i świadectw (jakie zdołano zebrać), które dowodzą, że funkcjonariusze Rady d/s religijnych prowadzą, przy pomocy służby bezpieczeństwa, systematyczną akcję zmierzającą do złamania ruchu oporu, „rozsadzania Kościoła od wewnątrz”, podporządkowania kleru władzom państwowym (tak jak kleru prawosławnego na terenie

Rosji). *Kronika* stwierdza m.in.: „odpowiedzialne stanowiska powierzane są wyłącznie duchownym uległym lub biernym. Złe poinformowany Watykan odznaczył niektórych takich duchownych. Jak Stolica Apostolska może wychwalać podobnych duchownych i stawiać ich za przykład dla innych — pyta kler litewski. 'Doradcy' watykańscy zamierzają w ten sposób rozbroić psychologicznie rzeczywiście zarliwych kapłanów i zarazem skompromitować Kurie Rzymską w oczach wiernych... Krążą coraz częściej pogłoski o nominacjach nowych biskupów (obecnie w sześciu diecezjach litewskich są tylko administratorzy apostołscy — przyp. mój). W ten sposób szykuje się likwidacja dwóch autentycznych biskupów, Stepanoviciusa i Sladkeviciusa (od 1957 roku *impediti*, nie mogący sprawować swych funkcji, wydaleniem ze swych siedzib — przyp. mój). Niepokój wywołuje fakt że wymieniani kandydaci, wysuwani do nominacji przez ateistyczne władze, nie mają zaufania wiernych. Dla Kościoła i dla prestiżu Watykanu byłby to cios niepowetowany”. W dalszym ciągu *Kronika* podkreśla: aktualnie na Litwie potrzebni są nie nowi biskupi, lecz kapłani. W jednym działającym seminarium (w Kownie) może studiować najwyżej 30 alumnów (co roku zezwala się na wyświęcenie najwyżej 8 kapłanów). Pod pozorem braku wiernych i księży coraz liczniejsze świątynie ulegają zamknięciu. 60 parafii pozbawionych jest opieki duszpasterskiej. W latach 1960-1970 umarło 198 kapłanów, a wyświęcono tylko 92. Coraz większe kompetencje uzyskują tzw. komitety parafialne, istniejące jacejki kolaboracjonistyczne. Istnieje tendencja, by księża podlegali nie biskupom, lecz tym właśnie komitetom jako zwykli urzędnicy. Kościół nie ma prawa wydawać własnej prasy i literatury religijnej, podczas kiedy władze reżymowe drukują nieraz biblię po angielsku (wraz z broszurami propagandowymi — mam jedną taką pod ręką — zawierającymi fałszywe dane i oświadczenia zaprzeczanych lub zastraszanych „księży-patriotów”), sprzedają nakład za dolary na Zachodzie i poszczególne egzemplarze przemycane na Litwę służą potem jako *corpus delicti* w nieustających represjach! *Kronika* zzywa Papieża i Kurie Rzymską do:

- „1. nie mianowania nowych biskupów poddanych ateistom;
2. w razie nominacji — wystuchania najpierw opinii dwóch biskupów zesłanych;
3. nie udzielania ateistom żadnej koncesji dyplomatycznej w zaufaniu do rzekomo okazywanej przez nich dobrej woli.

Kościół Milczenia nie może aprobować dyplomacji stwarzającej warunki dla triumfu ateistów. Duchowni i wierni na Litwie są przekonani, że jeśli w swoim czasie biskupi i wierni w wolnym świecie zareagowali energicznie, można było uratować życie biskupowi Boriseviciusowi, uniknąć uwięzienia wielu księży i jaskrawych prześladowań. Powinien nam świecić przykład komunistów na świecie, którzy bronili zajadłe Angeli Davis, tak jak teraz bronią komunistów w Chile. Katolicy litewscy mogą coś uzyskać jedynie dzięki masowemu poparciu światowej opinii pu-

blicznej i najwyższej hierarchii Kościoła Powszechnego... Rząd ateistyczny dąży przy pomocy milczenia świata do skutecznej likwidacji katolicyzmu na Litwie”.

Najnowszy, wrześniowy biuletyn *Elta-Press*, litewskiej agencji prasowej, działającej w Nowym Jorku, Monachium, Sao Paulo i Rzymie, donosi: „znany dysydent sowiecki, pochodzenia litewskiego, V. Sevriukas, prof. filozofii marksistowskiej w Leningradzie i socjologii w Wilnie, wyemigrował ostatnio na Zachód, zmuszony do tego przez władze sowieckie. Oświadczył nam, że studium marksizmu (nie autoryzowane) jest uważane w ZSSR jako przestępstwa 'działalność antysowiecka', czego sam doświadczył w kole młodych marksistów na Uniwersytecie wileńskim. Działalność takich grup naukowych jest bezwzględnie tępiąca, a organizatorów uważa się za psychicznie chorych. Zdaniem prof. Sevriukasa — przekonanego marksisty, lecz rozczarowanego komunisty — reżym sowiecki obawia się uznania faktu, że prawdziwi socjaliści kwalifikują jego politykę jako przestępczą”. Biuletyn zawiera ponadto spis 115 nazwisk litewskich więźniów politycznych, rozmieszczonych na wyspach „Archipelagu GUŁag”, w rejonie Mordowia i Perm, skazanych bez procesu na karę do 25 lat. Wśród tych więźniów liczne są ofiary prześladowań religijnych. Biuletyn zaznacza, że wszyscy skazani „muszą odbywać karę poza granicami własnej ojczyzny, co dowodzi jak przywódca Kremla respektują gwarantowaną konstytucyjnie 'niepodległość i suwerenność' republik sowieckich”. Lista zawiera jedynie nazwiska więźniów (ich wiek, datę skazania i wyrok) obozów w dwóch rejonach rosyjskich — istnieje jednak „cała masa Litwinów w obozach na Syberii i Azji Centralnej, ignorowanych przez tzw. cywilizowany świat, który zabiega usilnie, by od przywódców sowieckich otrzymywać surowce za cenę życia milionów istniejących ludzkich”.

Czechosłowacja — Kościół nękania

W znormalizowanym przez reżym Husaka kraju skazuje się kapłanów, którzy uczą katechizmu bez autoryzacji lokalnych urzędów d/s kościelnych (np. Josef Gazda, skazany na trzy miesiące aresztu). Autoryzacja państwowa stanowi instrument presji i zarazem łamania charakterów: otrzymują ją duchowni bardziej ulegli lub tacy, których w ten sposób zobowiązuje się do uległości. W licznych zakładach pracy dyskryminacji podlegają rodzice posyłający dzieci na naukę religii. Najbardziej dramatyczna jest sytuacja katolików obrządku wschodniego na Słowacji, oficjalnie ponownie zlikwidowanego po krótkotrwałym reaktywowaniu w okresie „wiosny praskiej”.

„Okrutne prześladowania, jak za Nerona, zastąpiło prześladowanie podstawne na modłę Juliana Apostaty” — rzekł w tych dniach pewien duchowny czeski, precyzując, że „kapłani padają ofiarą powolnej, stałej wojny nerwów, która doprowadza czło-

wieka do stargania sił i unicestwienia”. Nie ominęła ona najwyższego przedstawiciela hierarchii, kard. Trochta (zmarłego w kwietniu br.). Powiedział on kilka tygodni przed zgonem: „jest to rzecz (wojna nerwów), która nie ustaje i zabija powoli”. Dopiero w ostatnich miesiącach dotarły tu szczegóły dotyczące okoliczności jego nagłego zgonu i pogrzebu. W przeddzień śmierci kardynała zjawił się w Litomierzycach (siedzibie arcybiskupiej) rejonowy sekretarz urzędu d/s kościelnych. Zjawił się pijany. Wiedział doskonale że lekarze zalecili kardynałowi bezwzględny spokój po operacji oczu (trzykrotne interwencje chirurgiczne). Stan zdrowia purpurata czeskiego był *nota-bene* kiepski w ostatnich latach po dwóch zawałach serca, przebytych w więzieniu w czasach Novotny'ego. Dlabal (sekretarz rejonowy) — kompletny nieuk i jako się rzekło podchmielony (władze czeskie zdementowały ten fakt, twierdząc że kardynał częstował go nawet śliwovicą), zażądał śliwowicy, po czym groził i wymyślał kardynałowi, domagając się od niego oddalenia kilku księży salezjanów, najbliższych współpracowników. W przeciwnym razie — zagroził — odbierze im upoważnienie do spełniania funkcji duszpasterskich (od roku 1950 zakony w Czechosłowacji są pozbawione podstaw prawnych; po krótkiej restytucji praw w roku 1968, reżym okupacyjny ponownie je zniósł). Kardynał Trochta przeciwstawiał się groźbom i inwektywom (padały epitety w rodzaju: głupcze, zdzieciniały starcze) — po 5 godzinach Dlabal opuścił siedzibę kardynała i w drodze powrotnej zakończył swą misję ... w karczmie. Kardynał, wycieńczony „rozmową” umarł w nocy. Odpowiedzialność (nie tylko moralna, lecz wręcz karna) za zgon kardynała Trochty spada kolektywnie na rząd Socjalistycznej Republiki Czechosłowackiej. I nie wymaże tej odpowiedzialności wymuszone *dementi*, złożone przez wikariusza generalnego mons. Holoubka. Okoliczności przedwczesnej, tragicznej śmierci kardynała ujawnia i potwierdza pismo ks. Josefa Novotny'ego, skierowane do Papieża i sekr. gen. ONZ, Waldheima. Nie na tym koniec. Mimo restrykcji, blokady dróg, zastraszania na masową skalę, przybyło na pogrzeb do Litomierzyc około 10.000 wiernych. Wiele osób nie zdołało dotrzeć do wnętrza katedry, choć było w niej miejsce, z powodu sztucznego ścisku przed katedrą, zainscenizowanego przez bezpiekę (podobny ścisk urządzono również przed katedrą warszawską podczas ostatniej bytności abp. Casaroli). Na pogrzeb przybyli z zagranicy trzej kardynałowie: Bengsch z Berlina wschodniego, Koenig z Wiednia i Wojtyła. Papież wysłał jako osobistego delegata nuncjusza abp. Poggi. Kardynałom odmówiono prawa do koncelebrowania mszy św. (to też wymaga autoryzacji państwowej). Administrator apostolski Pragi, bp Tomasek, główny celebrant, nie otrzymał zgody na wygłoszenie homelii żałobnej (wybór władz padł na innego duchownego oddanego reżymowi). Największe honory przypadły w udziale kapłanom z uprzywilejowanego przez reżym stowarzyszenia „Pacem in terris” (komuniści, jak wiadomo, wszędzie „kochają” Jana XXIII). Kard. Woj-

tyła, obserwując to widowisko, komentował: „partia komunistyczna musi, rzecz oczywista, czuć się bardzo słaba tutaj skoro ucieka się do podobnych środków; nie zdarzyło się to nigdy w moim kraju”. Nie lepiej niż trzech kardynałów potraktowano wysłannika papieskiego abp. Poggi — nie mógł odprawić mszy św. za duszę zmarłego (o pozwolenie do władz nie chciał się zwracać, uznając tę procedurę za nielegalną i uwłaczającą), musiał udać się osobiście do Pragi po prolongatę wizy pobytowej o jeden dzień (!), po to by obejrzeć rezydencję letnią dawnej nuncjatury. Nie ulega wątpliwości, że abp Poggi złożył po powrocie raport Papieżowi. Kiedy więc z inicjatywy rządu praskiego przybyła we wrześniu delegacja pod przewodnictwem szefa czeskiego Urzędu d/s kościelnych, Hruzy i analogicznego urzędu słowackiego, Homoli, przyjęto ją w Watykanie nader chłodno i „bez dyskusji merytorycznej” ustalono że nastąpią „konsultacje na temat spraw interesujących obie strony” (bez określenia daty tych konsultacji).

Węgry — Kościół manipulowany

Przedstawiciel konferencji episkopalnej, abp Ijjas podał triumfalnie do wiadomości, podczas obrad Synodu, treść pisma, otrzymanego od ambasadora Republiki Węgierskiej w Rzymie. Pismo zawiadamia go, że reżym budapeszteński wyraża zgodę na wprowadzenie nauczania religii dwa razy na tydzień na terenie kościelnym dla uczniów szkół podstawowych. Komentarz zaskoczonego biskupa zachodniego: „to niesłychane, dopiero teraz dowiadujemy się że do tej pory panowały na Węgrzech tego rodzaju restrykcje wolności sumienia i religii”. Komentarz watykański: „duża gaffa rządu węgierskiego”. Komentarz mój: *no comment.*

Dominik MORAWSKI

Pisane 5 listopada 1974

Z ostatnich wydarzeń w NRF

Niemiecka Republika Federalna jest wciąż jeszcze oazą równowagi gospodarczej i pokoju socjalnego w Zachodniej Europie nękaną inflacją, bezrobociem, falami strajków i coraz bardziej rosnącym deficytem bilansów handlowych. Priorytetem w polityce gospodarczej rządu socjalistyczno-liberalnego jest walka z inflacją. W społeczeństwie niemieckim, w którym głęboko jeszcze

tkwią urazy katastrofy hiper-inflacji w latach 1922-24, tuż po pierwszej wojnie światowej, polityka kanclerza Helmuta Schmidta znajduje pełne uznanie.

Walka z inflacją prowadzona jest w NRF skuteczniej niż w innych krajach Wspólnego Rynku. W tym roku wzrost cen w Niemczech Zachodnich nie przekroczy 8% (we Francji 14%, w Wielkiej Brytanii 18%, we Włoszech 20%). Korzystniej jeszcze wypada zestawienie wzrostu cen artykułów spożywczych: w NRF — 4% podczas gdy we Francji ceny wzrosły o 12%, we Włoszech o 14%, a w Wielkiej Brytanii aż o 18%.

Szczególnie pomyślnie wyglądają przypuszczalne wyniki handlu zagranicznego NRF — mimo kilkakrotnej ostatnio reewaluacji marki. Rok bieżący przyniesie NRF nadwyżkę handlową blisko 18 miliardów dolarów, natomiast Francja pogodzić się musi z deficytem 4,5 miliarda dolarów, Włochy 6 miliardów, a Wielka Brytania blisko 10 miliardów dolarów.

Ciemną plamą na tym obrazie jest, ograniczony zresztą, wzrost liczby bezrobotnych — około 700.000 — z tym, że liczyć się tu należy z dalszą zwyżką sezonową w miesiącach zimowych. Procentowo jednak — w stosunku do ogółu zatrudnionych — liczba bezrobotnych, korzystających ze znacznej pomocy państwowej, nie przekracza 2%. Jak dotąd więc Niemcy Zachodnie wychodzą obronną ręką z kryzysu wywołanego głównie gwałtownym wzrostem cen surowców, a zwłaszcza paliwa. Toteż — według różnych gallup'ów NRF — Helmut Schmidt jest „po Adenauerze najlepszym kanclerzem NRF”.

Na tym tle niezrozumiała może wydawać się dotkliwa porażka obu partii rządowych — socjalistycznej S.D.P. i liberalnej F.D.P. — w wyborach do parlamentów krajowych w Bawarii i Hesji. Wybory te można uważać za miarodajny sprawdzian nastrojów opinii publicznej. Hesja uchodziła dotąd za najbardziej „czerną” z dzielnic NRF i za niezdobytą twierdzę socjalistów. W Hesji posiadała poważne wpływy także i druga partia koalicji — liberalna F.D.P. Bawaria zaś jest w NRF ostoją konserwatyzmu o dość reakcyjnym zabarwieniu. Sukcesy odniesione przez C.D.U. w Hesji i przez „bratnią” C.S.U. w Bawarii przekroczyły nawet najbardziej optymistyczne przewidywania przywódców opozycji. W porównaniu z wyborami do Parlamentu Federalnego w 1972 roku opozycja zyskała w Hesji 8,2% głosów, a w Bawarii — 8,5%.

Wydarzenie to odbiło się głośnym echem nie tylko w Bonn, ale i poza granicami NRF. Zaniepokoił się tym sam Leonid Breżniew. Nazajutrz po głosowaniu z dnia 26 października br., witając przybyłą właśnie do Moskwy delegację NRF z kanclerzem Helmutem Schmidtem na czele, Breżniew powiedział: „...niestety ciągle jeszcze są w NRF siły polityczne, których dążenia i poglądy nie mają nic wspólnego z dzisiejszym układem sił międzyna-

rodowych, a przeciwnie — tkwią wciąż w dawno przezwyższonj przeszłości". Na Kremlu obawiają się, że silny zwrot nastrojów na prawo może niezadługo doprowadzić do objęcia władzy w NRF przez C.D.U.-C.S.U., co zaciążyłoby poważnie na współpracy — także i gospodarczej — między Moskwą a Bonn. Jest znamienne w każdym razie, że główny triumfator wyborów — przywódca bawarski Franz-Joseph Strauss — przestrzegał w czasie kampanii wyborczej przed „niebezpieczeństwami, jakie dla niezależności gospodarczej NRF pociągnęłoby zaangażowanie się Bonn w długoterminowe i wielomiliardowe kredyty oraz inwestycje przemysłu niemieckiego w Związku Sowieckim". Wystąpienie to odnotowała prasa sowiecka, dla której Franz-Joseph Strauss jest chyba od 20-tu lat „symbolem anty-sowieckich tendencji nad Renem i apostołem zimnej wojny!".

Możliwość objęcia rządów przez opozycję po wyborach do Parlamentu Federalnego we wrześniu 1976 roku jest żywo dyskutowana w prasie NRF. Według niektórych instytutów badania opinii publicznej w razie ogłoszenia wyborów obecnie C.D.U.-C.S.U. uzyskałaby przynajmniej połowę mandatów. Wraz z tym ogólnym zwrotem na prawo sukcesy Straussa w Bawarii i Alfreda Dreggera w Hesji wzmocniły w łonie opozycji tendencje ultra konserwatywne, kosztem elementów bardziej umiarkowanych. Strauss i Dregger twierdzą obecnie, że podjęty przez nich ostry kurs w walce z socjalistami „opłacił się" i powołują się na wymowę liczb. W Bawarii C.S.U. zdobyła, nie notowany od ostatniej wojny, udział 62 % głosów — o 6 % więcej aniżeli w zwycięskich już wyborach krajowych sprzed lat czterech. W Bawarii przegrali głównie socjaliści, osiągając zaledwie 30 % głosów i tracąc nawet tradycyjną przewagę w wielkich miastach. W Monachium, gdzie poprzednio wybrano 11 posłów socjalistycznych, C.S.U. zdobyła obecnie wszystkie 11 mandatów.

Jeszcze bardziej spektakularne były wyniki w Hesji. Po raz pierwszy od zakończenia wojny C.D.U. zapchnęła socjalistów na drugie miejsce zdobywając 47 % głosów, podczas gdy w wyborach z roku 1966 padło na nią niewiele ponad 20 % głosów. C.D.U., której bazą wyborczą była — jak dotąd — zamożna burżuazja, kadry przemysłowe, kupcy, rzemieślnicy i rolnicy, a w mniejszym stopniu urzędnicy i wolne zawody — zdobyła obecnie nawet poparcie części robotników.

Dalszą niespodzianką głosowania w Hesji i Bawarii jest nawrót do istniejącego już poprzednio w NRF trendu do systemu dwóch partii. Sprzyjała tej tendencji klauzula 5 %, wprowadzona do ordynacji wyborczej. Przy wyborach zarówno do parlamentu federalnego, jak i do parlamentów krajowych partie,

które nie uzyskają co najmniej 5-ciu % głosów, nie biorą udziału w rozdziale mandatów. Doprowadziło to do likwidacji powstałych po wojnie różnych mini-ugrupowań, jak partii uchodźców, demokratycznej czy Bawarskiej Partii Ludowej. W rezultacie — poza dwoma wielkimi partiami — na placu pozostała tylko liberalna F.D.P. Pod koniec lat 60-tych F.D.P. również zagrożona była likwidacją polityczną, straciwszy reprezentacje w kilku parlamentach krajowych. Po objęciu kierownictwa partii przez energicznego i popularnego Waltera Scheela, F.D.P. osiągnęła przy wyborach do parlamentu Federalnego w 1972 roku poważny sukces, zdobywając przeszło 8 % głosów, co zapewniło jej rolę niezbędnego dla S.P.D. partnera. Obecnie zaznaczył się ponowny spadek wpływów F.D.P. — ześlizgnięcie się prawie już do granicy 5 % (w Bawarii — 5,2 %), co świadczy o tym, że trend do systemu dwupartyjnego może zagrozić w przyszłości egzystencji tego ugrupowania. W systemie politycznym NRF — F.D.P. chciała odegrać rolę „arbitra między wielkimi partiami", „liberalnej partii reform" czy „niezbędnego hamulca" dla zbyt radykalnych zapędów lewicy socjalistycznej.

Jakie są powody porażki wyborczej koalicji socjalistyczno-liberalnej, mimo osiągnięć rządu w dziedzinie polityki gospodarczej i popularności kanclerza Schmidta? Jedną z przyczyn są z pewnością różne afery i skandale ostatnich lat. Zadrukowano nimi w NRF tony papieru. Spróbujmy je przypomnieć w największym skrócie.

Najpierw afera Juliusza Steinera, szeregowego posła C.D.U. z jednego z okręgów Schwabii. Ów Steiner na posiedzeniu parlamentu w dniu 27 kwietnia 1972 roku, wbrew stanowisku swego klubu, powstrzymał się od głosowania nad wnioskiem zgłoszonym przez posła Rainera Barzla w imieniu klubu C.D.U.-C.S.U. w sprawie tzw. konstruktywnego votum nieufności dla rządu Willy Brandta. Według konstytucji NRF z 1949 r. przyjęcie takiego wniosku pociąga za sobą nie tylko dymisję rządu, ale i mianowanie nowego kanclerza — w danym wypadku Rainera Barzla. Do przyjęcia tego konstruktywnego votum nieufności zabrakło jednego głosu — właśnie Juliusza Steinera. Rezultat: rząd Brandta utrzymał się u władzy w okresie ważnym dla nowej „polityki wschodniej", Barzel — mimo bezbłędnej wydawałoby się kalkulacji — przegrał w wyniku głosowania, co przyczyniło się później do rychłego końca jego politycznej kariery. Zarządzone niezwłocznie badania w łonie C.D.U. naprowadziły na ślad Steinera, który przyznał się bez trudności, że za wstrzymanie się od głosowania otrzymał 50.000 marek od socjalistycznego posła Karla Wienanda, szarej eminencji S.P.D. i faktycznego zastępcy przewodniczącego klubu S.P.D. Herberta Wehnera. Wienand zaprzeczył, ale przebieg rozprawy, powołanej w tej sprawie komisji parlamentarnej, obciążył go poważnie.

Z kolei tzw. sprawa Paninteru — od nazwy prywatnego towarzystwa lotniczego Paninter-National. Bohaterem tej afery jest znów Karl Wienand. Swego czasu tygodniki *Der Spiegel* i *Der Stern* ujawniły, że Wienand wielokrotnie interweniował w ministerstwie komunikacji w sprawie przyznania towarzystwu Paninter koncesji na zorganizowanie lotów charterowych do stolicy Ameryki Południowej, za co otrzymał „gratyfikację” w wysokości przeszło 160.000 marek. Po katastrofie samolotu Paninter pod Hamburgiem, w której zginęło 22 pasażerów, sprawą zajęła się parlamentarna komisja śledcza. Wienand twierdził, że otrzymał pieniądze od towarzystwa Paninter jako „doradca”. Okazało się ponadto, że z otrzymanej kwoty ukrył przed władzami podatkowymi dochód w wysokości 100.000 marek. Mimo obciążających dowodów przewodniczący klubu parlamentarnego partii socjalistycznej, Herbert Wehner, osobistość nr 3 w hierarchii partyjnej, bronił Wienanda do ostatka. Dopiero ostatnio Wienand został zawieszony w funkcjach kierownika spraw organizacyjnych (*Geschäftsführer*) klubu parlamentarnego S.P.D., ale dotąd nie złożył mandatu poselskiego.

Wreszcie trzecia i najważniejsza afera świeższej daty — Günthera Guillaume'a — zaufanego urzędnika sekretariatu osobistego kanclerza, która w maju tego roku doprowadziła do ustąpienia Willy Brandta. Śledztwo w sprawie Guillaume'a, agenta wywiadu Niemiec Wschodnich, było istną komedią pomyłek i nieudolności biurokratycznej aparatów wywiadu NRF, a zwłaszcza tak zwanego *Verfassungsschutzamtu*. Jeszcze w marcu 1973 roku jeden z urzędników tej instytucji znalazł się w posiadaniu niezbitych dowodów agenturalnej roboty Guillaume'a. Kanclerz Brandt został po raz pierwszy poinformowany o roli swego osobistego sekretarza dopiero 30 maja ub.r., a więc po przeszło dwóch miesiącach. Günther Nollau, szef *Verfassungsschutzamt'u*, chcąc „rozpracować” jeszcze dalej kontakty agenta NRD, doradził Brandtowi, aby pozostawił na razie Guillaume'a na dotychczasowym stanowisku. Brandt lekkomyślnie zgodził się na odegranie tej komedii, niegodnej szefa rządu. Guillaume, znów za zgodą Nollaua, towarzyszył Brandtowi nawet w jego podróży urlopowej do Norwegii, gdzie dostały się w jego ręce poufne dokumenty NATO i list prezydenta Nixona do kanclerza. Nollau, mąż zaufania Herberta Wehnera, najbardziej obok Brandta skompromitowany w tej sprawie, nadal urzęduje na poprzednim stanowisku. Günther Guillaume został wreszcie aresztowany 24 kwietnia 1974.

Wynik wyborów w Bawarii i Hesji wpłynie niezawodnie na dalszy przebieg rozpoczętej już w łonie C.D.U.-C.S.U. rozgrywki o osobę kandydata na kanclerza w przyszłych wyborach do parlamentu federalnego. Podobnie jak w Wielkiej Brytanii, w konfrontacji wyborczej w NRF decydującą niemal rolę odgrywa osoba lidera partii. W pierwszym okresie powojennym walnym

atutem C.D.U.-C.S.U. była charyzmatyczna postać Konrada Adenauera, której socjaliści nie mogli przeciwstawić równie poważnego kandydata. Przy wyborach w 1972 roku role odwróciły się: z jednej strony budzący zaufanie i ujmujący swoją bezpośredniością, niemal patriarchalny Willy Brandt — burmistrz Zachodniego Berlina i inicjator nowej polityki wschodniej, z drugiej strony wprawdzie zręczny i gładki, ale na ogół nie lubiany, Rainer Barzel. Wielu polityków C.D.U. przypisywało ówczesną porażkę wyborczą nieodpowiedniej kandydaturze na kanclerza. W przyszłych wyborach do parlamentu C.D.U.-C.S.U. będzie miała również do czynienia z niebezpiecznym przeciwnikiem: kanclerzem Helmutem Schmidtem. Opozycja od dłuższego już czasu poszukuje „opatrnościowego przywódcy”. Na razie jej kandydatem na kanclerza — niejako z urzędu — jest premier Nadrenii-Palatynatu, Helmut Kohl, wybrany po ustąpieniu Rainera Barzla na stanowisko przewodniczącego C.D.U. Dotychczasowi kanclerze z ramienia C.D.U. — Konrad Adenauer, Ludwig Erhard i Kurt Kiesinger — byli równocześnie przewodniczącymi partii.

Po niewczasie jednak kandydatura Kohla zaczyna wywoływać w łonie C.D.U. coraz liczniejsze sprzeciwy. Zarzuca mu się przede wszystkim słabą orientację w sprawach gospodarczych, będącą poważnym handicapem w obecnej sytuacji i w konfrontacji z tak kompetentnym przeciwnikiem, jak Helmut Schmidt. Poza swoją parafią — Nadrenia-Palatynat jest jednym z najmniejszych krajów w NRF — Kohl jest osobistością mało znaną. Drewniany, pozbawiony talentu oratorskiego „nie przebija” ekranu telewizyjnego.

Jako jeden z pretendentów do fotela kanclerskiego wymieniający jest premier Szlezwig-Holsztynu, Gerhard Stoltenberg. Ma on za sobą większe niż Kohl doświadczenie polityczne — przez czas dłuższy był ministrem Badań Naukowych w rządzie bońskim. Zręczny w swoich wystąpieniach, kompetentny w problemach gospodarczych, elegancki i bardzo „nordycki” — Stoltenberg w czasie swych kilkuletnich rządów zdobył dużą popularność w swoim Szlezwig-Holsztynie.

Po wyborach z dnia 26 października br. trzeba jednak rozdać karty na nowo. Sytuacja zmieniła się gruntownie. Redakcja tygodnika *Der Spiegel* — niewyczerpane źródło informacji o kulisach politycznych Bonn — zareagowała natychmiast, zamieszczając po wyborach na okładce pisma fotografie przywódcy bawarskiego z podpisem „Strauss kanclerzem Republiki Federalnej?”. Po uzyskaniu przez C.S.U. owych 62 % głosów w Bawarii, przez urzędowe Bonn przeszedł powiew paniki: „Strauss *ante portas*”. Głęboko zaniepokoił się również jego przeciwnicy w łonie bratniej C.D.U., zwłaszcza ewentualni kandydaci na urząd kanclerza. Cafej opozycji chodzi jednak przede wszystkim o wygraną w przyszłych wyborach. Strauss — według modnego w Bonn wyrażenia — byłby najmocniejszą „lokomotywą wybor-

czą". Ma on więc szanse odegrania roli męża opatrznościowego opozycji, jako jedyny jej polityk który mógłby znokautować kandydata socjalistycznego. Strauss powiedział ostatnio: „Helmut Schmidt jest człowiekiem niebezpiecznym — inteligentny i całkowicie pozbawiony skrupułów”. To określenie z pewnością pasowałoby jeszcze lepiej do osoby samego Straussa. Jest on niewątpliwie najbardziej dynamiczną postacią obecnego pokolenia polityków w NRF, urodzonym trybunem ludowym i demagogiem, ale także urodzonym „debaterem” w dyskusjach parlamentarnych. Jego naszpikowane łacińskimi cytatami polemiki w parlamencie z reprezentującym wówczas socjalistów ministrem spraw gospodarczych Schillerem, do dziś są wspomniane przez parlamentarzystów w Bonn. Strauss zna dobrze problemy gospodarcze i ma doświadczenie z okresu długotrwałego urzędowania jako minister Skarbu.

Strauss, bardzo popularny w swoim „landzie” nad Izarą, gdzie zyskał sobie przydomek „lwa Bawarii” — *der Löwe von Bayern* — jest w pozostałych landach Niemiec postacią kontrowersyjną. Dla znacznej części społeczeństwa jest zbyt kanciasty, bawarsko-ludowy, gwałtowny i nieobliczalny. Jego przeciwnicy, nie tylko na lewicy, obawiają się, że rządy Straussa doprowadziłyby do poważnego zaostrzenia konfliktów wewnętrznych w kraju. Przeciwnicy nie omieszkaliby mu przypomnieć różnych, niewyjaśnionych dotąd, zarzutów o nadużycia, które wysuwane były pod jego adresem w okresie gdy był ministrem Obrony.

Gdyby Strauss spotkał się ze zbyt silną opozycją w C.D.U., z pewnością wysunąłby kandydaturę swego przyjaciela Alfreda Dreggera na fotel kanclerski. Dregger i Strauss reprezentują w partii prawicę. Dregger jest postacią względnie nową w polityce niemieckiej. Dał się poznać dopiero po zręcznej kampanii wyborczej w Hesji, gdzie miał do przełamania większe bodaj przeszkody, aniżeli Strauss w konserwatywnej Bawarii. Według plotek prasy bulwarowej do sukcesów Dreggera przyczyniły się liczne głosy wyborczyń ze względu na jego podobieństwo do Gregory Pecka — znanego aktora filmowego.



Na początku przyszłego roku odbędą się wybory do parlamentów krajowych Nadrenii-Palatynatu i Szlezwig-Holsztynu, które będą testem popularności Helmuta Kohla i Gerharda Stoltenberga. Dopiero potem, na wiosnę 1975 roku, kierownictwo C.D.U.-C.S.U. będzie mogło porównać, obliczyć i wykalkulować szanse kandydatów — Kohla, Stoltenberga, Straussa i Dreggera — na fotel kanclerski.

Roman KRUKOWIECKI

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Zaledwie w poprzednim numerze *Kultury* wyraziłem przypuszczenie, że — tak jak za Stalina — więźniowie będą pracowali przy kolejnej wielkiej budowie komunizmu — bajkało-amurskiej magistrali (BAM — jak ją nazywa sowiecka prasa, wspominając z tęsknotą czasy stalinowskie) — a już dotarły do mnie prawie oficjalne potwierdzenia. Zaczęło się to szereg miesięcy temu od pojawienia się w Moskwie mordercy (lub morderców) napadającego na kobiety. W miarę rozszerzania się pogłosek o rosnącej liczbie morderstw, stolicę ZSSR zaczęła ogarniać strach. Kobiety bały się samotnie wychodzić z domu, wchodzić do windy, wypuszczać dzieci na ulicę. Strach był tym większy, że o zbrodniach dowiadywano się wyłącznie z plotek. Funkcjonował system — jeszcze w starożytności dobrze znany na Wschodzie — „uzunkułak” — czyli „długie ucho”. Ponieważ, jak dobrze wiadomo, w kraju przodującego socjalizmu przestępczość nie istnieje, gdyż nie ma dla niej bazy ekonomicznej — władze milczały. Zresztą jeśli nie ma przestępczości tym bardziej nie może być w Związku Sowieckim zbrodni na tle seksualnym. Takie zbrodnie popełniane są jedynie na Zachodzie, zaś prawdziwi sowieccy obywatele do tej pory wierzą, że to bociany przynoszą dzieci. Tym niemniej, pod naciskiem krążących pogłosek, zaczęła działać i oficjalna informacja. Jak to jest w zwyczaju — początkowo była rozpowszechniana jedynie w kręgach partyjnych: na zebraniach zabierali głos ludzie, mający dostęp do informacji i dawali do zrozumienia, że fala morderstw to sprawa bandytów, zbiegłych z etapu, przez który przechodzili z łagrów przyszli budowniczowie BAM-u. Tak więc półoficjalnie wymieniono zasadniczy skład armii budowniczych komunizmu.

Nie należy jednak zapominać, że takie oświadczenie nie uspokoiło moskwičan, którzy nie wątpili, że BAM będzie budowany rękami zeków.

W związku z tym, 3 listopada br., w najbardziej po temu od-

powiedniej porze dnia, wystąpił w telewizji gen. Samochwałow, który opowiadał ze szczegółami o niezwykłym wzroście przestępczości na Zachodzie, o setkach tysięcy morderstw, gwałtów, kradzieży itd. popełnianych w gnijącym świecie kapitalistycznym. Kończąc swoją pogadankę przyznał, że w ostatnich czasach i w Moskwie miały miejsce jakieś tam naruszenia porządku publicznego, że winowajcy zostali aresztowani, a kadry milicji zwiększone. Że, jeśli idzie o jakieś tam plotki, rozpowszechniane o jakichś morderstwach, to ich źródłem są korespondenci zagraniczni. A zatem to właśnie oni są prawdziwymi winowajcami.

5 listopada bież. roku — tym razem w prasie — w *Wieczerniej Moskwie*, zabrał głos płk Korniejew, który oświadczył, że krzywa przestępczości w Moskwie gwałtownie spada. Co prawda — dodał — 8 października br. w rejonie żdanowskim ktoś napadł na trzy kobiety, przy czym dwie z nich zmarły, ale *portrait-robot* mordercy został rozesłany do wszystkich komisariatów milicji, tak że przestępca wkrótce zostanie aresztowany. Tak samo jest prawdą — powiedział pułkownik — że 16 i 21 października br. miały miejsce napady na kobiety w windach. Sprawcami nie byli jednak zboczeńcy, a osobnicy działający pod wpływem alkoholu. Ludzie sowieccy odetchnęli z ulgą: wszystko jest zrozumiałe — swoje chłopaki.

Od tej chwili każdego dnia mieszkańcy Moskwy rzucają się na *Wieczerniuju Moskwu* (tworzą się nawet kolosalne ogonki, żeby ją zdobyć), chcąc dowiedzieć się o dalszym ciągu tej historii. Tym niemniej kobiety w dalszym ciągu same nie wychodzą wieczorem na ulicę.

Można by niewątpliwie przedstawić wiele argumentów, aby dowiedzieć że kobiet nie należy mordować. Jeśli jednak obywatela sowieckiego ogarnie tego rodzaju chętka, to czytając swoją rodzimą *Prawdę* znajdzie w niej obfity materiał, pobudzający go do takich czynów. Jak powszechnie wiadomo w XIX wieku handel niewolnikami został zniesiony. Mimo tego nigdy jeszcze handel żywym towarem nie przybrał tak wielkich rozmiarów jak obecnie: Amerykanie targowali się, naciskali i uzyskali zgodę rządu sowieckiego na wypuszczenie z ZSSR 60-ciu tysięcy Żydów. Po Kissingerze zjawił się w Moskwie Helmut Schmidt i wytargował 22 tysiące Niemców. W Polsce NRF chce kupić 50 tysięcy Polaków niemieckiego pochodzenia, lub Niemców pochodzenia polskiego. Naturalnie, potencjalny morderca nie znajdzie w *Prawdzie* szczegółów o tym handlu ludźmi. W gazecie pisze się jedynie o handlu bawełną, czy zakupie maszyn. Ale mówi o tym szczegółowo radio zagraniczne, które coraz częściej jest słuchane. Rozumowanie potencjalnego mordercy jest bezbłędne: jeśli ludźmi można handlować, to można ich także zabić. Rozmowaniu nabywców także nie można odmówić racji: dobry uczynek zawsze będzie policzony. Schmidt sprzedał 10 tysięcy ciężarówek do budowy BAM-u i oprócz pieniędzy otrzymał 20 tysięcy Niemców. Czy to źle? — Ciężarówki pomogą więźniom w pracy, Niemcy pojedą do NRF. Co prawda w swoim

czasie Eichmann gotów był oddać 100 tysięcy Żydów za 10 tysięcy ciężarówek, ale obecnie — w związku z inflacją... Amerykanie tym bardziej są zadowoleni, że wyjeżdżający z ZSSR Żydzi nie udają się do USA.

Najlogiczniej zachowują się przywódcy sowieccy. Przekonawszy się, że nie można obejść się bez zachodniej technologii, jak prawdziwi kupcy i właściciele niewolników chcą za każdego sprzedanego niewolnika uzyskać najwyższą cenę.

Akademik Sacharow, komentując amerykańsko-sowieckie porozumienie podkreśla, że „każde porozumienie, które pozwala urzeczywistnić konkretną kontrolę nad polityką sowiecką jest krokiem naprzód”. Ale akademik Sacharow jednocześnie mówi, że to porozumienie jest ze strony władz sowieckich „prezenterem z 60 tysięcy ludzi, zamiast przyznania praw wszystkim sowieckim obywatelom do swobodnego poruszania się”.

Trzeba uznać za pozytywną uchwałę Kongresu USA domagającą się by po 18-tu miesiącach skontrolować obietnicę Breżniewa o uwolnieniu sprzedanych Amerykanom niewolników.



Dzień 7 listopada bież. roku — rocznicę Rewolucji Październikowej — obchodzą — jak wiadomo — wszystkie narody świata. Ich kierownicy wysyłają tego dnia gratulacyjne depeche. W toku tych depech, które zajęły całą stronę *Prawdy*, zwraca uwagę jedna — od chińskiego kierownictwa. Zwraca uwagę przede wszystkim dlatego, że jest jedyną zamieszczoną nie w całości, a w streszczeniu. Z pełnego tekstu, ogłoszonego w Pekinie wynika, że Chiny proponują swemu sąsiadowi zawarcie porozumienia dotyczącego utrzymania terytorialnego *status quo*, niedopuszczania do użycia siły w spornych zagadnieniach i rozpoczęcia pertraktacji zmierzających do rozwiązania wszystkich problemów granicznych. Pierwszą odpowiedzią Związku Sowieckiego jest właśnie odmowa opublikowania depechy w całości. Jeszcze jest za wcześnie, by mówić o tym, jaki będzie rozwój wydarzeń. Można jednak założyć, że jeśli nawet rozpoczną się jakieś sowiecko-chińskie rozmowy, to na ich rezultat trzeba będzie czekać dość długo. Dowodem tego jest antychińska literatura, zapełniająca strony gazet, periodyków i książek. Określam tę literaturę jako antychińską, gdyż w rzeczywistości jest ona skierowana nie przeciwko ideologii Mao, a przeciw samym Chinom. Warto dodać, że w muzeum wojsk pogranicznych w Moskwie znajdują się trofea, zdobyte na dwóch wrogach Związku Sowieckiego: na Niemcach — co jest zrozumiałe — oraz na Chińczykach. Antychińska propaganda idzie w trzech kierunkach: udowadnia odwieczną przynależność do Rosji terytoriów Syberii i Dalekiego Wschodu, odwieczną miłość do Rosji narodów Środkowej Azji, żyjących na pograniczu sowiecko-chińskim, i wreszcie niekulturalność „rewolucji kulturalnej”.

W pouczającym artykule „O historii zewnętrznej polityki Ro-

sji na Dalekim Wschodzie w XIX wieku" L. G. Biezkrownyj i akademik A. Narocznickij* (*Woprosy Istorii* nr 6 z 1974 r.) stwierdzają, że 1) Syberia i Daleki Wschód były ziemiami niezamieszkałymi, które Rosjanie zajęli „jako odkrywcy”, 2) że zawarte w 1860 roku układy „definitywnie określiły granicę między Rosją a Chinami na Dalekim Wschodzie”. Tezy te są uzasadniane powoływaniem się na różnego rodzaju akty dyplomatyczne i teksty. W artykule „Środkowa Azja w politycznych planach caratu” N. S. Kiniapina (*Woprosy Istorii* — nr 2 z 1974 r.) wykłada sens kampanii znacznie otwarciej: „Posuwając się w głąb Środkowej Azji i zagarniając nowe terytoria, samodzierżawie rozwiązywało ogólnopaństwowe zadanie — umocnienie siły wojenno-politycznej imperium rosyjskiego. Metody jakimi rządy przyłączały Środkową Azję do Rosji były zarówno pokojowe, jak i wojenne... Ale przy wszystkich nieszczęściach, które przynosił carat pracującej ludności Azji Środkowej przyłączenie do Rosji miało dla jej dalszego rozwoju charakter postępowy”.

Kazachski pisarz, Anuar Alimżanow, w powieści „Goniec” (*Prostor* 1, 2, — 1974 r.) literacko opisuje jak to — dbając o „umocnienie wojenno-politycznej siły imperium rosyjskiego” — najlepsi synowie narodu kazachskiego w 1728 roku zwyciężyli Dżungarów (związanych Chinami), a następnie dobrowolnie zaczęli przyłączać się do Rosji. Nie jest ważne, że nie ma to nic wspólnego z prawdą historyczną, nie jest ważne, że w 1731 roku Kazachowie cytują *Prawdę*, oświadczając: „Mamy z Rosjanami wspólną ziemię, jesteśmy braćmi w naszej wspólnej ojczyźnie, dlatego też dobrowolnie chcemy ich opieki”. Ważne jest stwierdzenie: Chiny to odwieczny wróg narodów środkowo-azjatyckich, Rosja zaś — odwieczny przyjaciel. Samodzierżawie obiektywnie było siłą postępu.

Znaczną rolę w propagandzie antychińskiej odgrywa demaskowanie „niekulturalności” rewolucji kulturalnej. Artykuły poświęcone temu tematowi są specjalnie ciekawe. Freud analizował sny, by wyjaśnić tkwiące w podświadomości pragnienia, strachy i nadzieje pacjentów. Dla ujawnienia podświadomych pragnień i obaw sowieckich propagandystów trzeba czytać ich antychińskie artykuły. A. Żełochowcew w artykule „Pogoń za Konfucjuszem” (*Nowyj Mir* nr 7 z 1974 r.) oburza się, że w Chinach prześladowane się filozofa Konfucjusza, który wydawany jest w centrum światowej kultury — w Moskwie. A. Żełochowcew z prerażeniem przytacza cytate z Mao: „Szy-huang-ti* żywcem zakopał tylko 460-ciu wyznawców Konfucjusza. Jakże mu daleko do nas! W okresie czystki rozprawiliśmy się z dziesiątkami tysięcy ludzi. Postąpiliśmy jak 10-ciu Szy-huang-ti”.

Należy przypuszczać, że A. Żełochowcew zapomniał o przy-

* To on właśnie był przewodniczącym sowieckiej delegacji na Zjeździe Sławistów w Banff (Kanada). Patrz *Kultura* nr 11/325 z 1974 roku.

* Założyciel dynastii Cin — 246-210 r. p.n.e.

wódcach sowieckich „postępujących jak tysiące Szy-huang-ti”. Wystarczyłoby mu otworzyć *Prawdę* z 20 października br., aby się przekonać, że dzieło Szy-huangów żyje w Moskwie. Stary chiński cesarz kazał palić te książki, które nie odpowiadały zatwierdzonej przez niego nauce. Miało to miejsce ponad dwa tysiące lat temu. Krytyk literacki Ju. Niechoroszew, występując po 20-tu wiekach po Szy-huang-ti, stwierdza to samo: „Surrealizm i abstrakcjonizm prowadzą wścieklą walkę z rewolucyjnym ruchem marksizmu-leninizmu”, pop-art „cynicznie utwierdza drobnomieszczański realizm”. Wszystkie zblizone do nich modernistyczne i dekandekcyjne ruchy są „wrogie demokratycznemu i socjalistycznemu kierunkowi” i „są szkodliwe z tego powodu, że wpływają na młodzież i na chwiejne umysły”.

Wniosek Ju. Niechoroszewa: Socrealizm jest niezbędny do życia — jak powietrze, wszystko pozostałe — zniszczyć (spalić). Artykuł ten — napisany po wystawie, zorganizowanej przez wolnych moskiewskich malarzy w Izmaïłowie — to ostrzeżenie. A sekretarz rejkomu partii, który buldożerami rozegnał w Czeremuskach niezależnych malarzy, awansował: został mianowany posłem w Ghanie.

Byłoby jednak niesprawiedliwym twierdzenie, że w Związku Sowieckim naśladuje się chińską rewolucję kulturalną. Uczą się jednak na jej błędach. W Związku Sowieckim palenie książek i niewygodnych autorów będzie prowadzone bardziej kulturalnie. W pierwszym rządzie — jak uczył towarzysz Stalin — trzeba przygotować kadry, gdyż — jak to określił — „kadry decydują o wszystkim”.

Kadry będą obecnie przygotowywane w Akademii. 2 września br. rozpoczął się rok akademicki w Akademii M.W.D. ZSSR. Platon, spacerując w okolicach Aten w ogrodzie — Akademii, nie podejrzewał na pewno, że to słowo stanie się tak popularne w środowisku pracowników M.W.D. W warunkach rewolucji naukowo-technicznej (NTR — jak piszą w *Prawdzie*) M.W.D. wprowadziło rozgałęziony system kształcenia: istnieją średnie specjalne szkoły, wyższe uczelnie, wojskowo-naukowe instytuty M.W.D. W piśmie *Krasnaja Zwiezda* (3. 9. 1974) mówi się o nowym wyższym zakładzie naukowym prawie lirycznie: „Program nauczania jest w nim obszerny i wszechstronny. Słuchacze otrzymają głęboką wiedzę z dziedzin: teorii marksistowsko-leninowskiej, pedagogiki, psychologii, dyscyplin prawnych i specjalnych... Będą kształceni w umiejętności analizy socjalnej, przyzwyczajani do decydowania w zakresie zawiłych i kompleksowych problemów, zdobędą doświadczenie w kierowaniu konkretnymi operacjami, przeprowadzanymi przez organy M.W.D.”.

W skład wykładowców wchodzi: dwóch akademików, sześciu członków korespondentów Akademii Nauk ZSSR, trzydziestu doktorów nauk. Można mieć nadzieję, że za kilka lat absolwenci zajmą w kraju kierownicze stanowiska. Któż będzie umiał lepiej połączyć teorię z praktyką?

W poprzednim numerze *Kultury* w „Wydarzeniach miesiąca” była już wzmianka o genialnej inicjatywie kierowników sowieckiej kultury, ale chcę wrócić do tej idei, która — jak mi się wydaje — zostanie podchwyciona przez wszystkich kraje socjalistyczne. Ale najpierw trochę o historii literatury. Na początku lat dwudziestych Wiktor Szkłowski zaproponował wprowadzenie do literatury pojęcia „hamburskiego obrachunku”. Pisał: gdy w końcu XIX wieku walka francuska uzyskała bardzo szeroką popularność — zapaśnicy zaczęli oszukiwać: poddawać się, umawiać zawczasu co do zwycięstwa, itd. Oszustwo osiągnęło tak wielkie rozmiary, że sami zapaśnicy przestali się orientować, kto rzeczywiście jest silniejszy, a kto słabszy i umówili się, że raz do roku będą się zbierać w hamburskiej knajpce i walczyć naprawdę, bez publiczności. Wprowadzili „hamburski obrachunek”. Wiktor Szkłowski zaproponował wprowadzenie takiej autentycznej oceny w literaturze: bez brania pod uwagę stanowiska, przynależności partyjnej, zamówień społecznych itd. W tym okresie pomysł Szkłowskiego został odrzucony jako reakcyjny. I oto jesienią 1974 roku został on wprowadzony w życie w Związku Sowieckim. Spowodował to brak papieru. W najbliższym czasie ukaże się 7 książek o nakładzie po 500 tysięcy egzemplarzy każda. Ale otrzymać książkę będzie można jedynie oddając 20 kilogramów makulatury. Obliczono, że na wyprodukowanie tych 7-miu książek będzie potrzeba około 1500 ton papieru, a państwo otrzyma za nie około 70 tysięcy ton makulatury. Przy przetwarzaniu makulatury traci się mniej więcej 25 %. Czysty więc dochód wyniesie 50 tysięcy ton. A to stanowi około 13 % rocznej produkcji papieru w ZSSR.

Genialność tej koncepcji polega na tym, że taką operację można powtarzać bez końca. W rezultacie obywatele zaczynają skwapliwie zakupywać książki na makulaturę. Na przykład wyszły teraz dwie ciężkie cegły — przemówienia Breżniewa. Kto przedtem chciałby je kupić? A teraz będą na nie polować: sprzedawane są bardzo tanio i z miejsca ma się 3-4 kilogramy makulatury. I państwo na tym korzysta — bo nie tylko dostanie makulaturę, ale i kupujący książkę, który choćby przypadkowo do niej zajrzy. A to już jest korzyść — ideologiczna!

Do pierwszej „żelaznej siódemki” (te książki będą niewątpliwie upowane) weszły: „Bajki” Andersena, tom powieści Simenona o komisarzu Maigret, „Pies Baskerville’ów” Conan Doyle’a, „Kobieta w bieli” W. Collinsa i „Owod” E. Wojnicz, oraz jedna sowiecka powieść — „12 krzesel” Ilfa i Pietrowa. Wybór jest niesłychanie charakterystyczny i dlatego że ukazuje prawdziwe — w hamburskim rozrachunku — gusty sowieckiego czytelnika, i również dlatego, że jedyny utwór pisarzy sowieckich, to powieść o żuliku i aferzyście, który widocznie natchnął autorów planu.

Adam KRUCZEK

Kronika ukraińska

W znanym miesięczniku ukraińskim *Suczasnist'* (nr 9/165 z sierpnia 1974) ukazała się następująca wypowiedź Wasyla Wytwyckiego w sprawie ukraińsko-polskich wzajemnych stosunków:

„Z zaciekawieniem i poczuciem ulgi przeczytałem rozważania Józefa Łobodowskiego i Konstancy Zelenki na temat polsko-ukraińskich wzajemnych stosunków (*Suczasnist'*, czerwiec 1974). Moim zdaniem zagadnienie tych stosunków stało się jednym z najbardziej aktualnych, żeby nie powiedzieć palących. Jeśli przyrzeć się grze sił we współczesnym świecie, staje się jasne, że zgrana współpraca nie tylko polskiego i ukraińskiego, ale także innych sąsiednich narodów jest jedyną drogą ich samozachowania. Jest to konieczność, której szerokie zrozumienie jest jednym z najważniejszych zadań współczesności.

Pierwszym krokiem w upragnionym kierunku powinna być zmiana dotychczasowych postaw, pozbycie się ciężaru historycznej przeszłości. Nie powinni nas przy tym zniechęcać recydywy dawnych uprzedzeń, jakie wciąż (co prawda coraz rzadziej) występują po obu stronach. Nie ma takiej różdżki czarodziejskiej, która by za jednym zamachem mogła odmienić to, co narastało w ciągu wieków. Byłoby wskazane nawiązanie, a z czasem też ożywienie kontaktów kulturalno-społecznych — w szczególności z udziałem przedstawicieli młodszej generacji. Już teraz konieczna jest większa uwaga ze strony prasy wobec tego, co się dzieje u sąsiadów. Tego typu rubryka od dawna prowadzona jest w polskim czasopiśmie *Kultura*, ukazującym się w Paryżu.

Musimy z większą niż dotąd uwagą unikać wszystkiego, co stoi na drodze naszych dobruśędzkich stosunków. Przy innej okazji pisałem o konieczności porzucenia takich szkodliwych anachronizmów jak śpiewanie „Ne pora”*. Redakcje naszych gazet w żadnym przypadku nie powinny dopuszczać do wyskoków tych jednostek, które jednym zamachem pióra kreślą granice Ukrainy o paręset kilometrów poza naszym terytorium etnograficznym, lub kwestionują odrębność niektórych sąsiednich narodów.

Na terenie amerykańskim nie raz byliśmy świadkami solidarności między oboma narodami (ukraińskie poparcie dla polskich kandydatów w wyborach, udział w akcjach protestacyjnych przeciw zniesławianiu imienia polskiego na tutejszym terenie i inne akcje). Warto, aby te przypadkowe przejawy przekształciły się w stałe i ścisłe kontakty.

(Tłumaczył Stefan Michnik)

* Chodzi o ukraińską pieśń nacjonalistyczną „Ne pora, ne pora moska-łewi, lachowi służył...” (tłum.).

Sprawy i troski

Golgota

Z tłustego grzbietu pękatej ciężarówki spływa asfalt. Zapach smoły wsiąka w ubrania, twarze, włosy. Sierpniowe słońce zbrudzone kurzem londyńskich spalin grzeje ciała siedzących. Pora herbacianej przerwy. Inżynier Romanek nie cierpi zapachu smoły. Pan Irek też, inspektor Świąć w ogóle nie patrzy w stronę ciężarówki. Nie dla mnie ta robota — powie później, już po pracy i po wypłacie, piątek właśnie i zgodnie z tradycją haracz szefowi należy płacić stawiając przepisową kolejkę w pubie za rogiem.

Siedzą w milczeniu. Niechętni sobie i innym. Żli na los co pchnął ich tutaj, prosto w to bagno kapitalistycznej harówki. Siłą prawie wygnął z kraju nadwiślańskiego, mlekiem i miodem płynącego, gdzie spokój, należyte i godne ich indywidualności posady, gdzie BHP i rada zakładowa, komórka POP, ośmiogodzinny dzień pracy i premie za wnioski racjonalizatorskie przez innych zgłaszane, do kieszeni ot tak, bez problemu, wpadają od czasu do czasu. Inżynier Romanek z dumą obnoszący sygnet szlachecki, nazwany teraz, przez resztę bilderskiej braci, hrabią, w ojczyźnie nie męczył ducha, ani mięśni. Odrabiał za biurkiem w przytulnym i bezpiecznym kącie komórki inwestycyjnej Instytutu intelektualne zaległości, syćąc trzewia obfitością powieści detektywistycznych — głównie autorów zachodnich. Być może treść tych powieści zrodziła w umyśle inżyniera Romana tęsknotę bliższego kontaktu z zachodnią cywilizacją. — Chociaż, bo ja wiem? — zastanowi się głośno wieczorową porą w pubie przy piwku, melancholijnie wspominając uroki pozostawionego nad Wisłą Instytutu. — Może to raczej inne elementy zadecydowały, tam miałem spokój ale nic więcej, tu — inżynier Romanek zniży

głos w obawie podsłuchu — nigdy nic nie wiadomo — powie, lustrując twarze pijanych Irlandczyków, stałych bywalców bilderskiego pubu. — Ja tak zawsze — z dumą w głosie podkreśli swoją czujność wykształconą w Instytucie. — Konstrukcyjne myślenie nie jest mi obce, przeanalizowałem zjawisko, auta to bym się tam za Boga nie dorobił a tu, kto wie?

Wiatr popycha fale smolnych perfum. Pan Irek podnosi się dyskretnie, wyższy od innych, z daleka wypatrzył nadchodzącego formana, więc nic nikomu nie mówiąc, bo po co? rusza w kierunku walca. Refleks rzecz ważna. Jest pierwszy. Walec należy do niego. Przez resztę wolno sunącego dnia, on, pan Irek, pragmatyk — jak powie — bez narażania na szwank zdrowia i mięśni ugniatać będzie łopatami rozsypywany przez inżyniera Romana, inspektora Świącia, magistrza Cieciorę, Adasia zwanego kołkiem — wredny, kleisty asfalt.

Pochyla się z dobrze wyreżyserowaną troską na twarzy. Fachowo obmacuje silnik walca demonstrując reszcie, że właśnie on, ex-student drugiego roku politechniki, ma prawo i predyspozycje zając się tym oto instrumentem, tak by go nie uszkodzić i należyście wykorzystać. Oni, inżynier Romanek, inspektor Świąć, magister Cieciora z łódzkiej Wifamy, wściekli z powodu jaskrawej porażki, zagapienia własnego, upału i smrodu, ostentacyjnie zmieniają pozycję by choć tym gestem pokrzepić nadwątlone samopoczucie. Więc leżą już wszyscy na gorze piachu żółtego, a wilgoć i chłód bijący od środka łagodzi nieco wrzenie rozkołatanych nerwów.

Szczytem ceglanego wiaduktu w febrze hałaśliwych drgawek mkną pociągi metra; do jego widoku tęsknił rolnik Adaś ze wsi Zawady w powiecie kieleckim. On jeden nie uczestniczy w milczącym wyścigu o lepsze miejsce pracy. Przynajmniej jak dotąd. Jeden ma tylko problem, b a n i a k i. Smakuje mu to słowo, i leżąc teraz na przyźmie wilgotnego piachu, z niepokojem większym niż inni oblicza gorączkowo zielone baniaki za siedem ostatnich przepracowanych dni. Nie łatwe to rachowanie. Szef coś mówił o jakimś bonusie? A i godzin w tym tygodniu też było więcej, co w ostatecznym rozrachunku przynieść powinno sumę okrągłą, za którą Adaś kupi i kremplinę i laminat wiśniowy z deseniem złotym na wierzchu. Problem tylko na kogo te paczki wysłać? Na przewodniczącego poszły już dwie. Sama kremplina. Chłop wykształcony, od lat twardo siedzi w komitecie powiatowym, już on tam będzie wiedział, gdzie, komu i za ile opchnąć towar, na który Adaś nie szczędzi zdrowia, i pierwszy szefowi stawia kolejkę, żeby broń Boże roboty nie stracić, bo baniaków coraz więcej potrzeba, dom z pustaków przed wyjazdem zaczął sobie Adaś stawiać, tam u siebie w Zawadach,

o materiał nie łatwo, smarować trzeba na lewo i prawo. — Z rok jak bym tu pobył — marzy się Adasiowi, miesięczna wiza skończyła się właśnie wczoraj. — Roczek, jak Bóg da, tu popracuję, to na wszystko wystarczy — pociesza się Adaś wygodnie rozciągnięty na kupie piachu, z ręki do ręki go sobie przesypuje. Słońce. Upał. Smród. — Smoła? — myśli Adaś — też dla ludzi, a kupić nie łatwo, towar reglamentowany, ani w Zawadach, ani w powiecie, do Końskich pewnie będzie trza się kopnąć...

— Ja widzę, pany, że baniaków to dzisiaj nie będzie — bez cienia sympatii oznajmia forman Jasio, zlizując z wąsów krople ostatniej pinty piwa — za leżenie to my płacić nie będzie. Tarmak kurde balans stygnie, a wy se majówkie urządzać.

Zaskoczenie pełne. Nie widzieli kiedy nadszedł. Pan Irek tyłko, grzebiąc zapamiętałe w bebechach maszynierii, zaoliwioną dłonią dawał spóźnione znaki ostrzeżenia. Oj aktor, z pana Irka... — Nie wierzę w ludzi — pochwali się wieczorem. — Na siebie samego powinien tylko człowiek liczyć. Inteligenckich cwaniaczków kupa. Nikomu nie chce się robić.

— Ruk cuk chopaki — zachęca gorliwie inspektor Świąć, zbierając kubki po wypitej herbacie, jako że za *tea-boy'a* on tutaj, na tym placyku posiekanych wykopami. A wiedzieć trzeba, że funkcja mistrza herbacianej ceremonii to urwana prawie godzina z dnia na roboczym poligonie. Bo trzeba i do sklepu po cukier, herbatę i mleko skoczyć. Czajnika elektrycznego przypilnować. Umyć kubki. Zaparzyć esencję. Rozlać to wszystko w proporcji odpowiedniej esencjo-mlecznej, tak by nie urazić gustów murarza Johna, czy Irlandczyka Patta. Forman Jasio też do pubu nie pójdzie bez wypicia kubka herbaty. Tak więc, pozycja *tea-boy'a* wymaga inteligencji i należytego smaku, a że inspektor Świąć rodem jest z Poznania, grodu mocnej herbaty, on pierwszy usilnie od samego początku budowy o funkcję tę zabiegał. Wieczorem, w pubie, wśród oparów kilkunastu opróżnionych przez brygadę kufla, zwierzy się w tajemnicy, że jeszcze przed wyjazdem z Polski poinstruowany został przez szwagra dziennikarza, który świat zwiedził i rok temu właśnie budowlanką się parał w Londynie po cichu, więc tenże szwagier, dziennikarz, poradził inspektorowi, że być *tea-boy'em* warto pod każdym względem, a zdrowotnym najbardziej. Bo minuta zaoszczędzonego na budowie wysiłku to już coś, nie mówiąc już, że przy ruchach zwolnionych i inteligencji lekko godzinę można urwać z każdego dnia roboty.

— Ty, Świąć bracie, zostaw te kubki, łap się za łopatę póki co bo tarmak stygnie, zębem go potem nie ruszycie — pokrzykuje forman Jasio rozgrzany trzema pintami. Okrzyk budzi zrozumiałe zadowolenie u reszty. Solidarność to solidarność. Zawsze

łatwiej tak w gromadzie, wspólnym wysiłkiem, szuflą, co zagarnia towaru kilogramów dwadzieścia pięć, ten parszywy, lepki, śmierdzący asfalt rozrzucac, bez kolca zawiści w mózgu, że my tu, a on tam, w kantorku wolniutko kubek po kubeczku opłukuje, spoglądając ukradkiem, na zegarek i kpiąc w duchu, że reszta w tym właśnie momencie napina supły mięśni aż do bólu, bo tarmak stygnie i zębem go potem nikt nie ruszy. A tarmak rzecz droga. Kupa baniaków za kupę tego świństwa. Tak więc, okrzyk forman Jasio wywołał ogólny aplauz. Pan Irek jedynie zamąca obrazek, bo co tu dużo gadać, każdy mu zazdrości cholernie.

Magister Cieciora w szczególności, zapalony entuzjasta zachodniej techniki. Przeklina głośno brak refleksu własnego, przecież i on politechniczne wykształcenie odebrał a tu łopata ciężka, lepka sakramencko i góra parująca przed oczami, którą rozrzucić trzeba łopatami w szybkim tempie po całej powierzchni uprzednio wycementowanego podwórka — na które też łopatami cement rozrzucali — i nie kto inny, tylko pan Irek kierował walcem bez prawdziwego wysiłku; analizując całą sytuację później, po pracy, inżynier Romanek i magister Cieciora doszli zgodnie do wniosku, że wysiłek na twarzy pana Irka był zwyczajną aktorską maską, gdyż obsługa tak przemysłnie skonstruowanej maszyny nie wymaga potu ani grymasów.

Dużo różnych opinii padało tamtego wieczoru. Analizowali poczynania wszystkich z wyjątkiem samych siebie, czyli inżyniera Romanka i magistra Cieciora. A wnioski były jednoznaczne; reszta to cwaniacy, obiboki... — Nasz ustrój to u nich wykształcił — w przystępie nieostrożnej szczerości dodał magister Cieciora... Ja bym się tego nie odważył powiedzieć — stwierdził w duchu, nie bez satysfakcji, inżynier Romanek.

Takie rekreacyjne wieczorynki narodowej szczerości, ubarwione bimberkiem pędzonym w wielkiej tajemnicy przez magistra Cieciorę, zdarzają się często i jak powiedział inżynier Romanek, nie marnotrawiąc czasu na czcze gadulstwo, dbają o elitarność. Adaś „kołek” nie będzie zaproszony nigdy. Jest on, inżynier Romanek, matka z domu Cierplikowska, magister Cieciora potomek starej wołyńskiej szlachty, rotmistrz Misiak właściciel domu na Wapping, w którym bez lęku o oparów woń pędzi bimber magister Cieciora. Tron damskiej gwiazdy okupuje z wdziękiem generałowa Wolska, zwana Zadrą. Panowie przywiązują dużą wagę do jej sądów i opinii.

— Pan, panie Irek, to wiesz co pan masz robić. Walcuj pan równo, na guzy pan uważaj, musiem dziś skończyć te uklepywankie — bez złości pogania forman Jasio suchy już w środku, żar z nieba, ukrop wali od smolnej skarpy... trzy pinty — myśli — co to w końcu jest? Nic...

— Ja panu żadnej lewej niespodzianki nigdy nie wytnę — lojalnie zapewnia pan Irek, włączając silnik walca. — Niech reszta tylko szybciej rusza łopatami — dodaje, zniżając głos, nie warto narażać się tamtym. Ale, swoje zdanie pan Irek ma i zawsze jest gotów podzielić się nim z naczałstwem w osobie formana Jasia i Cesia szefa.

Forman Jasio, dziecko Powiśla, powstaniec warszawski, emigrant od zakończenia wojny — „taksu i inzuransu”, pany, to ja od dwudziestu lat nie płaciłem i nie zapłacę — formanem przez Cesia szefa zrobiony nie dawno Jasio Rutka, życiowy gambler bez fartu, sto a czasem dwieście funtów tygodniowo zarabiający, z pustą kieszenią biega już od poniedziałku. Życie jednak zna. Wie co jest grane. Chłopcy chętnie pożyczą formanowi, zaszczyt a i korzyść płynie z takiego zbliżenia płaszczyzny stosunków osobistych, więc nie musi zbytnio zabiegać o pożyczki forman Jasio. Inspektor Świąć sam pyta ile pan Jasio potrzebuje, i pan Irek i Adaś, wiejskie chłopię, też. Dają, i nawet nikt nie pyta, kiedy on, forman, zwróci dług. A zwraca zawsze. Budowa dopiero ruszyła. Czasu dużo w perspektywie. Żyć nie umierać. Każdego piątku, zachowując głęboką tajemnicę, wywołuje kolejno poszczególnych bankierów, Irka, Świącia, Adasia, czasem i Cieciorę i Romanka, i oddaje co do grosza zaciągnięty w ciągu tygodnia dług. Mają chłopcy zaufanie. Adaś głowę daje, że roboty nie straci — przecież un w mojej kieszeni siedzi — zapewnia siebie i innych, szczerzy, prostolinijny. Tamci milczą na ten temat, widać znają kulisy życia. I tak wszyscy o tej słabości formana wiedzą, ufni w siłę i skuteczność kapitalistycznej waluty. Czasem nawet wieczorem, po wielu wypitych kolejkach, ktoś zartem strzeli na ten temat. Śmieją się chłopcy a Jasio najgłośniej, bo wie dobrze, że ten się śmieje co się ostatni śmieje. Ma czas forman Jasio. — Niech no tylko robota będzie się miała ku końcowi, już ja im wytnę szpasa — myśli — tym inteligentom pieprzonym, co nas starych emigrantów za kółków mają.

Na własnej skórze odczuje brygada życiowe credo formana Jasia. Wszyscy stracą. Cieciora najwięcej. U jednego Boga będą mogli szukać porady. Pracują nielegalnie, oni, kwiat świeżej nadwiślańskiej inteligencji z turystycznymi paszportami w kieszeniach.

Stąpając ostrożnie, tak by nie zbrudzić nowych „skoków” kupionych ostatnio za pożyczone od Adasia baniaki, rusza Jasio forman na obchód budowlanej rubieży, trzydzieści jardów na trzydzieści raptem. Napinają mięśnie chłopcy. Granatowa czerń lepkiej mazi. Wbijasz w nią szufłę, walisz, pchasz, nic, ledwo ledwo drga trzonek, ni w te, ni wewte nie chce się posunąć. Niebem z łoskotem suną odrzutowce... Metropolia — myśli inży-

nier Romanek, rzucając okiem w kierunku ulicy, roznegliżowanych panienek, właścicielek brytyjskiego paszportu, o którym w skrytości ducha marzy.

Generałowa podsunęła pomysł. — Zróbcie ślub chłopcy. Świat stanie niejako otworem. Otrzymacie istotne przywileje, skończy się vegetacji hańba. Każdy z was będzie mógł rozpocząć nowe życie, kontynuując swoje prawdziwe zainteresowania.

... Pomysł raczej konkretny — przytakuje w myśli inżynier Romanek — bariera językowa, ot szkopuł nie ma co, trzeba wracać do kraju, tu bez języka ani rusz, a w Instytucie laba.

— Powiem ci szczerze Zenek — przerywa Romankowe myślenie magister Cieciora — powiem ci zupełnie szczerze, twoje ciągłe zamyślania się w przeliczeniu na czas i „kubiki” tego lepkiego świństwa, to świetna forma dyskretnego wypoczynku.

— Róbta chłopcy, róbta, forman was obcina — syczy szepem Adaś, dźwigając pełną szufłę asfaltu.

— A gdzie się Świąć podział? — inżynier Romanek dyskretnie zmienia temat. Nie warto, i zgoła niebezpiecznie, stać się ośrodkiem zainteresowania innych..., a swoją drogą Cieciora ostatnio coraz bardziej się wychyla — przytomnie rejestruje Romanek — już ja mu dam popalić.

— Świąć poszedł się odlać. — Adaś wierzchem dłoni wyciera pot.

— Nie ma go cholernie długo — dociekliwie stwierdza Cieciora.

— To powiedz formanowi, nikt za nikogo nie będzie pracował — lojalnie podpowiada inżynier Romanek.

... Powiem — myśli magister Cieciora — żebym skonał, że powiem.

I tak, dzień po dniu, w harmonii i ciepłej mgiełce towarzyskiej konwersacji ulatują przepracowane godzinki. Teżęją mięśnie. Kwitną pagórki pęcherzy na białych dłoniach szlacheckiej maści. Chmury cwaniackich kalkulacji wiszą nad głowami budowlanych koneserów. Apologia „gry”, drobnego kantu, dyskretnego oszustwa, donosu — te nieodzowne rekwiizyty wiślanych karier — pulsują w umysłach całej brygady. Ich transplantacja na grunt zachodni nie nastęrcza zbyt wielu trudności.

Inspektor Świąć sunie cicho śladem formana Jasia. — Mam intuicję i doświadczenie zdobyte na polu walki z przestępczością, jaka panoszy się w każdym powiecie, w szczególności w sklepach i gospodach GS-ów, które znam aż za dobrze z pracy w charakterze inspektora kontroli. Żadnych magistrów, ani inżynierów się nie boję — powie z emfazą w głosie, tego wieczoru po wypłacie, w bilderskim pubie za rogiem.

Tak więc inspektor Świąć nie traci czasu, szczególnie w situa-

dzieści dolarów, czternaście tysięcy na tydzień i gdzie, ja się pytam, lepiej? No gdzie? Tu..., czy tam? O Jezusiku najdroższy, daj mi, Panie Boże, całe życie tak, a przynajmniej roczek jeden, jedyny...

Lecz naiwnego szeptu prostolinijnej duszyczki rolnika ze wsi Zawady na wyspie Jej Królewskiej Mości nie usłyszy nikt. Utonie w nurtach inflacji, zgiełku strajkowych procesji, w oparach rozpolitykowanego lenistwa.

I gdzie tu szukać prawdy...? Gdzie?

Robert REY

KSIEGARNIA POLSKA W PARYZU

123, BLD ST-GERMAIN, 75006 - PARIS

Tel.: 326-04-42

zaprasza na zorganizowany od 7 do 31 grudnia

DOROCZNY KIERMASZ GWIAZDKOWY

książek, albumów, płyt (kolędy i inne),
oryginalnych kart świątecznych.

Atrakcją kiermaszu będzie

WYSTAWA KSIĄŻEK POLSKICH I FRANCUSKICH
specjalnie wybranych na upominki gwiazdkowe.

Kraj

Statystyka ludziom na pociechę

Ktoś kiedyś powiedział (może ja?), że im jakaś sprawa poważniejsza, tym staje się śmieszniejsza. Ostatnio coraz zabawniejsi są ekonomiści i statystycy. Najlepsze kawały można znaleźć w rocznikach statystycznych.

Już Lenin zwrócił uwagę na rolę jaka spadnie na socjalistyczną statystykę: władza sowiecka + elektryczność, potem kogo.

Sowiecki rocznik statystyczny *Narodnoje Choziajstwo 1972* wyszedł w ub. roku w nakładzie 40.000 egzemplarzy, czyli jeden przypadek na 6.000 mieszkańców, a więc na Moskwę wypaść powinno było ca 1230 sztuk. Taka ilość starczyłaby ledwie dla Biura Politycznego i KC, dla premiera i wicepremierów, ministrów i wiceministrów — może zostałoby trochę dla związków zawodowych, kilkunastu czołowych dziennikarzy i paru ważnych profesorów. A więc za mało, Moskwa, wielkie centrum Kraju Rad, musiała zatrzymać dla swoich urzędów przynajmniej połowę nakładu, reszta kraju (urzędy państwowe i partyjne, przedsiębiorstwa, szkoły i uczelnie itd.) musiała zadowolić się 20.000 egzemplarzy w myśl sprawdzonej zasady, że im kto mniej wie, tym mniej zdradzi.

W PRL Rocznik Statystyczny 1974 wyszedł w 30.000 egzemplarzy to znaczy 1 egzemplarz na ponad 1.100 osób, dla Warszawy według tego klucza przypadłoby niewiele ponad 1.300 sztuk (wskaźniki lepsze niż w Związku Sowieckim i w Moskwie), oczywiście też za mało. Stolica z pewnością zatrzymała co najmniej jedną trzecią, resztę „rzucano w kraj”. Komu się dostało nie wiadomo, bowiem w roczniku pisze: „Ministerstwo Oświaty i Wychowania zatwierdziło niniejszą publikację do bibliotek szkół

ogólnokształcących, zakładów kształcenia nauczycieli i pozostałych szkół zawodowych". Ze zrozumiałych względów pominięto uczelnie wyższe, zresztą na szczęście, bo i tak by nie starczyło. Ale do szkół rocznik i tak nie dotrze, w każdej z blisko 11 tys. znajduje się biblioteka, nauczycieli tych szkół jest 140 tys. — niechby każda biblioteka zamówiła tylko po dwa egzemplarze byłoby już po roczniku. A komitety partyjne — wojewódzkie i powiatowe? A Związki zawodowe? A zjednoczenia gospodarcze? A instytuty naukowe? A cały front ideologiczno-propagandowy? Co?, stać w kolejce do bibliotek szkolnych?

Pewien szlachetny ekonomista próbował mnie kiedyś przekonać, że statystyka wschodnia nie może być „aż tak bardzo” zakłamana, bowiem współczesne państwo, zwłaszcza gospodarka, nie mogłyby sprawnie funkcjonować w oparciu o fałszywe; w każdym kraju setki tysięcy ludzi nie uczyni kroku bez statystyki. „Więc jak to może być?” Miałem na to tylko jedną odpowiedź: „Nie wiem... nie wiem...”.

Kto przoduje na świecie

...A jednak — fałszuje się! Mam przed sobą wspomniany sowiecki rocznik statystyczny i czytam:

„MIEJSCE, ZAJMOWANE PRZEZ PRZEMYSŁ SOWIECKI NA ŚWIECIE I W EUROPIE WEDŁUG WIELKOŚCI PRODUKCJI”. Spróbowałem czytać tablicę nie jak ktoś, kto wie że fałszują, ale oczami zachodniego lewaka, dla którego statystyka zachodnia jest klasowa, reakcyjna; również oczami agitatora sowieckiego wierzącego, że narody sowieckie, wykonujące swój internacjonalistyczny obowiązek, podkarmiają co najmniej połowę ludzkości. Żeby więc przyswoić sobie serwowaną w tablicy prawdę statystyczną, musiałem wyłączyć ze swojej pamięci istnienie i znaczenie dla nowoczesności przemysłu takich gałęzi, jak elektronika i komputery, włókna syntetyczne i tworzywa sztuczne, motoryzację, konteneryzację transportu, technologię przetwarzania stali i dziesiątki innych spraw z dziedziny przetwórstwa komsumpcji, opakowań, papieru toaletowego itd., itp. Musiałem zapomnieć o tym wszystkim i zachować jedynie kryteria serwowane przez sowiecki rocznik, plasujące przemysł sowiecki na mapie gospodarczej świata. Rocznik wymienia 22 podstawowe, jego zdaniem, wyroby, w których Związek Sowiecki 15 razy zajmuje pierwsze miejsce i 7 razy drugie miejsce na świecie; w Europie kraj ten wodzi prym we wszystkich 22 pozycjach. Jest wśród nich m.in. gaz, ropa naftowa, ruda żelazna, węgiel, koks, stal, traktory, cement; a z konsumpcyjnych — tkaniny wełniane, cukier i tłuszcze zwierzęce... Zresztą są to wszystko dane o produkcji globalnej a nie na 1 mieszkańca. W tej samej tablicy specjalna rubryka pokazuje miejsce Związku Sowieckiego w 1913 roku tu i ówdzie dumnie nadmieniając: „W przedrewolucyjnej Rosji nie produkowano”.

Znaczna część porównań międzynarodowych ma na celu pogiębienie USA, wykazanie wyższości ekonomicznej ustroju sowieckiego. Ten „amerykański kompleks”, ta obsesja w dościganiu i prześciganiu gdzie się da i jak się da jest więcej niż symptomatyczna, wzorce odrzucane przez ideologię — są drogowskazem i kryterium postępów Związku Sowieckiego. Kto kogo? Już przesądzone!

Czyj przemysł spożywczy szybciej zaspakaja potrzeby konsumentów? Proszę bardzo: w latach 1950-1972 amerykański zaledwie podwoił swoją produkcję, a sowiecki wzrósł prawie czterokrotnie!

Jaki ustrój lepiej troszczy się o potrzeby obuwnicze mas? Jasne! Przyrost produkcji obuwia skórzanego średnio w roku wynosił w dwudziestoleciu: w Związku Sowieckim 20,2 mln par — w USA zaledwie 0,1 mln par. O całkowitych rozmiarach produkcji obuwia rocznik milczy, o imporcie obuwia również, a komentarz zostawia propagandzistom.

Która gospodarka wytwarza więcej traktorów? Sowiecka! W 1972 roku aż 478 tys. sztuk, podczas gdy amerykańska zaledwie 216 tys. sztuk. Pośrednio — również plus dla rolnictwa sowieckiego! Ale w przypisie drobnym maczkiem rocznik dodaje, że w USA wyprodukowano ponadto 458 tys. małych traktorów ogrodowych i sadowniczych, jakich nie wytwarza się w Związku Sowieckim. Dlaczego, kto tu górą — to sprawa również dla propagandzistów. W dużych traktorach górą jednak władza sowiecka.

Lenin powiedział, że zwycięży ustrój o wyższej wydajności społecznej — no i kto przoduje? Wydajność pracy przemysłu sowieckiego wzrosła w 1972 roku w stosunku do 1950 roku o 278 %, a w przemyśle amerykańskim zaledwie o 111 %. Nic więc dziwnego, że coraz więcej fachowców amerykańskich przyjeżdża do Związku Sowieckiego, po naukę, radę i wzór.

W jednej tylko dziedzinie Związek Sowiecki pozostaje jeszcze w tyle za USA, ale nie na długo — mam na myśli dochód narodowy — a rocznik wcale tego nie ukrywa. Jak wiadomo, kraje socjalistyczne stosują sowiecką metodologię statystyki dochodu narodowego, która różni się od metodologii zachodniej. Otóż autorzy rocznika zadali sobie trud i przeliczyli amerykański dochód narodowy według swojej metodologii a otrzymane wyniki porównali z dochodem sowieckim. W ten sposób otrzymali godny uwagi wynik: dochód narodowy Związku Sowieckiego w 1972 roku stanowił już tylko 66 % dochodu narodowego USA. Żeby jednak zachować pozory obiektywizmu, w roczniku podano poziom dochodu narodowego na 1 mieszkańca w USA według metodologii zachodniej — 4.510 dolarów. Oczywiście nieprawda, nawet polski GUS nie wytrzymał i podał w swoim roczniku 5.000 dolarów; ale to też kłamstwo, bo faktycznie było o jeszcze paręset dolarów więcej. Obok owych 4.510 dolarów rocznik sowiecki

podał kilka „prawdziwych” wersji według własnych przeliczeń. I tak w Związku Sowieckim dochód narodowy „według oficjalnego kursu” wyniósł 1.537 dolarów, w USA — 3.090 dolarów, a według „stosunku cen” w obu krajach relacja wyszła jeszcze korzystniej odpowiednio: 1.717 i 3.090 dolarów... Z takiej pozycji pościgi za Stanami Zjednoczonymi stają się łatwiejszy.

Dużo nowego wnosi sowiecki rocznik do naszej wiedzy o metodach statystycznych, jak wolno przypuszczać, w całym Komekonie. Jak wiadomo, każdy kraj socjalistyczny wykazuje jakieś tam wydatki na obronę, ale według roczników statystycznych ani armia, ani policja nie istnieją. Tylko w jednym miejscu rocznik sowiecki zdradza tajemnicę i to w następujących okolicznościach. Otóż przy porównaniu wydajności pracy w przemyśle sowieckim i USA wprowadzono pewne zmiany. I tak z liczby zatrudnionych w przemyśle sowieckim odjęto wszystkich *czasowo nieobecnych*, a więc również „*wykonujących państwowe obowiązki*”, czyli służących w armii, w policji itd. I dopiero tak oczyszczone dane porównano z amerykańskimi i w efekcie wydajność pracowników przemysłu sowieckiego w 1972 roku wyniosła 54 % poziomu przemysłu USA. A odjęto nie tylko armię i policję, także delegowanych na różne kursy, tych, co otrzymali urlopy dla złożenia egzaminów itp. Rocznik nie wspomina, czy pominięto także, jakże liczny w zakładach, personel partyjno-związkowy, osoby na zwolnieniach lekarskich (przecież nieobecni!), bumelantów itd.

Wylimowanie wielomilionowej armii sił zbrojnych spośród liczby zatrudnionych w przemyśle nasuwa wiele pytań, na które niełatwo odpowiedzieć. Czy np. płace wojska i policji są wliczane do funduszu płac przemysłu? Czy statystyka przeciętnych płac miesięcznych w przemyśle oparta jest również na płacach wojska i policji? Czy liczba wypadków przy pracy obejmuje wypadki w siłach zbrojnych (np. na granicy z Chinami)? Czy zużycie energii elektrycznej na 1 zatrudnionego obejmuje również energię elektryczną dla armii? Czy koszty postępu technicznego w przemyśle zawierają również nakłady na postęp techniczny w uzbrojeniu armii? Pytania sypią się jak z rogu obfitości i wątpli, czy ktokolwiek potrafi wykazać z ołówkiem w rękę, jak jest naprawdę.

Rocznik sowiecki poradził sobie również z rolnictwem amerykańskim. Wprawdzie przoduje, jednak nie tak bardzo, jeśli dokończyć pewnych poprawek. Otóż w latach 1966-1970 w rolnictwie USA zatrudnionych było średnio nie 4,8 mln ludzi, jak to podaje fałszywie statystyka amerykańska, lecz 7 milionów, amerykańska nie uwzględnia członków rodzin farmerskich zatrudnionych mniej niż przez piętnaście godzin tygodniowo w badanych jednostkach czasu, a statystyka sowiecka ich dopisała. Byłoby to może i słuszne, gdyby rocznik sowiecki zwiększył liczbę zatrudnionych w rolnictwie sowieckim o miliony uczniów, studentów, urzędników i żołnierzy, którzy rok w rok śpieszą z pomocą kołchozom i sowchozom. Te miliony jednak przeoczono (amerykańskie dostreżono) no i wyszło, że tam 7 milionów, tu — tylko 30 milio-

nów, wydajność rolnictwa sowieckiego znów poszła w górę... Jeszcze jeden sukces ustroju, jeszcze jedno zwycięstwo Lenina.

Kawał solidnej roboty odwalił rocznik w dziedzinie narodowościowej, prezentując przy okazji niebywałą dokładność zważywszy, że trzeba było zbadać prawie ćwierć miliarda ludzi, rozrzuconych na 22 mln km² powierzchni kraju! Mała notka informuje, że podczas spisu ludności narodowość i język zapisywano na podstawie osobistego oświadczenia zainteresowanych, a narodowość dzieci notowano w oparciu o oświadczenia rodziców. Dzięki takiej uproszczonej procedurze nie trzeba było zaglądać do dowodów osobistych, ani do akt cywilnych — każdy mógł sobie w danej chwili wybrać taką narodowość i taki język, jakie mu najbardziej odpowiadały. Demokratycznie i internacjonalistycznie.

Najpierw poszukałem w tablicy Polaków. Są! Ale coraz mniej: w 1959 roku było ich jeszcze 1,380 mln., w 1970 roku już tylko 1,167 mln., zresztą wielu jakichś dziwnych, zaledwie 32,5 % uważało polski za swój ojczysty język — reszta inny, może rosyjski albo angielski, nie wiadomo. Sąsiadujących z Polakami Baszkirów darowałem sobie, rozejrzałem się za Żydami. Ich liczba również zmalała (z 2,7 mln na 2,1 mln), czy wyemigrowali albo się przechrzcili, nie wiadomo, w każdym razie ze świadomością narodową musi być u nich jeszcze gorzej niż u Polaków, bowiem zaledwie 17,7 % przyznaje się do swojego ojczystego języka. A swoją drogą cała sprawa jest dość dziwna, już Lenin, a potem Stalin, uporczywie twierdzili, że Żydzi nie są żadnym narodem czy narodowością, jeśli tak — dlaczego w ogóle znaleźli się w roczniku statystycznym? Może przeoczenie, może polityka... Od Żydów przeskokiem przez Tadżyków i wprost trafitem na Niemców. Tym to chyba wiedzie się lepiej niż Polakom i Żydom, przede wszystkim ich liczba wzrosła z 1,6 mln na 1,8 mln; są zapewne i mniej strachliwi — aż 66,8 % przyznało się do języka niemieckiego, ale na wszelki wypadek mają wyższy niż u Polaków i Żydów wskaźnik procentowy mówiących po rosyjsku...

Statystyka sowiecka jest dokładna — narodowościowa szczególnie. Rocznik zanotował 400 (!) Aleutów, z których 18,8 % mówi po rosyjsku; jest 1.300 Eskimosów, z nich 50,5 % (!) uprawia rosyjski. Są Albańczycy, Czesi, Słowacy, Rumuni i inni przedstawiciele krajów Komekonu, znaczny ich procent ciągle jeszcze, obok rosyjskiego, mówi ojczystym językiem, co w tych krajach powinno być poczytane za swoiste ostrzeżenie: gdzieś tam na Syberii, istnieje rezerwowa kadra Rokossowskich i Bilaków.

Najlepsza, jak się wydaje, jest tablica o strukturze ludności według wieku życia. Roczники wielu krajów poprzestają na ogół na granicy „60 lat i więcej” albo „70 lat i więcej”. W sowieckim roczniku granica długowieczności jest przesunięta na „90 lat i więcej” i wiadomo nawet, ilu takich mężczyzn przypada na 1.000 takich kobiet — tylko 304, co niewątpliwie stwarza niemałe problemy seksuologiczne. Ważne jednak co innego, i to chyba

rocznik chciał podkreślić, że chociaż ustrój sowiecki trwa już ponad pół wieku — *to jednak tylu staruszkom udało się go przeżyć*. I to jest dla oceny całego rocznika sowieckiego okoliczność nie bez znaczenia.

Polacy nie gęsi...

Rocznik polski jest o całe niebo lepszy od sowieckiego, kłamie tylko tam gdzie *musi*. Np. rocznik sowiecki nie podaje cen detalicznych towarów i usług, tylko na jednej stroniczce indeks (procentowy) wzrostu od 1940 roku. GUS zamieszcza obszerny wykaz cen, więc nie może nie kłamać. Zanim do tego dojdę, na usprawiedliwienie GUS-u muszę dodać, że sytuacja statystyki w kraju, gdzie wszyscy kłamią, jest nie do pozazdroszczenia. Wszyscy autorzy sprawozdań statystycznych — od najmniejszej gminy do najwyższych władz — fryzują sprawozdania według upodobań odbiorców, a nie według stanu faktycznego. „Czy pani chce wiedzieć jak jest naprawdę, czy tak dla sprawozdania?” — pytał się referent dziennikarki *Życia Warszawy* w lipcu 1972 roku. Gomulce nie zadawano takich pytań, referenci dobrze wiedzieli, co gospodarz lubi, a czego nie. A za Gierka?

... Ponad miliard złotych strat wykryli w jednym tylko roku kontrolerzy Głównego Inspektoratu Kontroli Finansowej. Straty te, to wynik złego gospodarowania i niedbalstwa. *Wieczór Wrocławia* zapytywał jakie wykryto by straty, gdyby kontrolerów było więcej *niż tysiąc* i gdyby trafili do wszystkich zakładów. Jak ukrywa się te straty, co pisze się o nich w sprawozdaniach dla GUS-u? Ujawnia to z kolei *Głos Wybrzeża*, według którego huty zlikwidowały braki jednym pociągnięciem pióra — po prostu braki przekwalifikowano na tzw. produkcję towarzyszącą.

... W Krakowie zbudowano znaczną ilość domów bez ścian. Przedsiębiorstwa oddawały budynki „w stanie surowym” i szły gdzie indziej budować. Dzięki temu zmalał koszt mieszkań, wykonano plan budownictwa, a władze mogły pochwalić się w sprawozdaniach nowymi domami, które dziś jeszcze „stoją” w roczniku GUS-u.

.. W jednym z Wojewódzkich Przedsiębiorstw Hoteli Komunalnych w sprawozdaniu statystycznym podano, że pracownicy umysłowi — mężczyźni opuścili w ciągu roku 142 dni robocze z powodu urlopu macierzyńskiego.

... W wydziale Przemysłu i Handlu pewnego PRN podano w sprawozdaniu, że ostatnimi laty wpłynęły tylko dwie skargi od mieszkańców. Resztę skarg zarejestrowano jako podania i prośby ludności.

... Statystyki GUS wykazują stały rozwój bibliotek związkowych. Przed dwoma laty — według statystyk — w woj. katowickim miało być 695 bibliotek przyzakładowych i 990 punktów bibliotecznych. Faktycznie było tylko 328 tych placówek, reszta

była wynikiem „nieporozumień” — dopisywano nawet księgozbiory spakowane w skrzyniach, pochowane po magazynach i korytarzach zakładowych.

... Ze sprawozdań statystycznych wynika, że emisja gazów w woj. warszawskim zmalała ze 177 tys. ton w 1971 roku do 91 tys. ton w roku następnym. Tymczasem emisja gazów z samych tylko Mazowieckich Zakładów Petrochemicznych w Płocku znacznie przekracza tę ilość i wyniosła w 1972 roku 145 tys. ton. Łączną emisję gazów szacuje się w tym województwie na 270 tys. ton, ale całej prawdy nikt nie zna — również GUS.

... Niebываłe fałsze mają miejsce od lat w dziedzinie statystyki wypadków przy pracy. W roku 1953 przy 6 mln zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej zanotowano 70 tys. wypadków drobnych (tzn. do 3-ch dni niezdolności do pracy); w 1970 roku, przy ponad 9 mln zatrudnionych, wypadki te miały się zmniejszyć do 16 tys. Szacuje się, że w wielu przedsiębiorstwach statystyka wypadków jest zaniżona o 30-40 procent. W 1972 roku *Polityka* alarmowała: „Doszło do tego, że w statystykach liczba wypadków najłżejszych jest czterokrotnie (!) niższa od liczby wypadków najcięższych, co kłóci się ze zdrowym rozsądkiem”. Słusznie, słusznie!

Mógłbym ten zestaw ciągnąć w nieskończoność, zaprezentować przebogaty asortyment prymitywnych i przemysłnych fałszów statystycznych i nikt mnie nie przekona, że prawo wielkich liczb ratuje sytuację niwelując odchylenia od stanu faktycznego. Statystyka GUS-u rejestruje, że enta ilość nawozów „poszła na wieś”, ale faktycznie nie dotarły do chłopa; według GUS-u wiejski handel otrzymał tyle a tyle różnych towarów — faktycznie znaczną ich część przechwycił handel miejski; zdaniem GUS-u po drogach polskich jeździ tyle a tyle autobusów PKS — faktycznie znacznie mniej chociażby z braku części zapasowych; GUS komunikuje społeczeństwu ile nowych wyrobów wprowadza przemysł w danym roku na rynek — w rzeczywistości po paru miesiącach przemysł wycofuje nowości i zapycha sklepy starzyzną. *Nic się nie zgadza, nikt nikomu nie wierzy, wszyscy się kontrolują a jednocześnie większość nie mówi prawdy*. Jedni się boją, innym to „gdzie wisi”, trzecim chodzi o własny interes, albo interes zakładu. *Ten klimat nie jest spuścizną po sanacji, ta atmosfera nie powstaje pod wpływem wrogiej propagandy zachodniej — psychoza zbiorowego samooszukiwania jest immanentną chorobą socjalizmu!* GUS posiada absolutny monopol na statystykę, nie jest jednak w stanie utrzymać monopolu na fałsze statystyczne. Oczywiście, GUS robi to dużo lepiej i z rozmachem.

Czas ważności rocznika

Każdy instytut statystyczny ma prawo sobie zastrzec w swojej publikacji, że niektóre dane mogą jeszcze ulec uściśleniu, korekcie. Nie może to jednak dotyczyć podstawowych agregatów,

wskaźników ważnych i stosunkowo łatwych do agregacji. Ponadto każdy kolejny rocznik statystyczny powinien mieć wagę dokumentu historycznego, do którego zawsze można sięgać bez potrzeby sprawdzenia, czy statystyczni „kronikarze” w późniejszych wydaniach nie wprowadzili zmian do „historii”. Z rocznikami GUS-u dzieje się coś niedobrego, coś, co przypomina kolejną edycję sowieckiej encyklopedii a w ostatnich latach również encyklopedii polskiej. Porównałem dwa roczniki: jeden z 1966 roku i drugi ostatni, z 1974 roku — zestawilem niektóre dane z obu roczników za *jedne i te same dwa lata: 1960 i 1965*. Poczekajmy z wnioskami, zobaczmy, co oba roczniki mają do powiedzenia o latach 1960 i 1965. Dla uproszczenia pierwszy rocznik nazwałem „starym”, drugi — „nowym” i tak będę dalej je nazywał. A więc porównajmy...

*„Wydobycie węgla kamiennego na 1 dniówkę
robotnika zatrudnionego na dole”:*

	1960	1965
Według „starego”	1793 kg	2164 kg
Według „nowego”	2076 kg	2535 kg

Są to różnice niebagatelne zwłaszcza, że w obydwu rocznikach nie wspomina się nawet słowem o jakiejś szczególnej metodzie liczenia, czy szacunkach etc. Po prostu „nowy” podaje dane mniej więcej o 20-30 % wyższe i kropka. Nie wiadomo, czy „nowy” pomniejszył wstecznie liczbę górników i uzyskał przez to wyższą wydajność; jeśli nie, czy górnicy otrzymali w owych latach płace za wydajność osiągniętą według rocznika „starego” czy „nowego”? A jeśli liczba górników się zgadza, czy ówczesna produkcja globalna węgla wynosiła: górnicy \times 1793 kg w roku 1960 i górnicy \times 2164 kg w 1965 roku, czy też według mnożnika „nowego”?

Najdziwniejsze może są korekty dokonane z mocą wsteczną w cenach towarów obowiązujących w latach 1960 i 1965. Czytajmy:

- W „nowym” cena chleba wynosi 4 zł.
- W „starym” występują chleby różne: po 3,00 zł, 3,50 zł i 4,00 zł.

Z kiełbasą podobnie:

- W „starym” są kiełbasy w cenie od 36 do 70 zł.
- W „nowym” dołączono krakowską za 74 zł.

Jeśli chodzi o karpia żywego, to cena została w ogóle zmieniona, bo w „starym” kosztował 20 zł, w „nowym” 22,50 zł. Podkreślam — w jednych i tych samych minionych już latach! Sprawdźmy jeszcze trochę odzieży:

- W „starym” płaszcz męski kosztował 700 zł.
- W „nowym” cena płaszcza — 1540 zł.

- W „starym” ceny koszul męskich wynosiły: 64 zł, 156 zł i 194 zł.
- W „nowym” znikły koszule za 156 zł, doszły za to koszule po 400 zł...

Po co i dlaczego dokonano tych i wielu innych pozornie dziwnych korekt — przecież lata 1690 i 1965 już przeminęły i nie wrócą. Przytoczone przeze mnie przykłady są oczywiście zbyt ubogie, żeby silić się na jakieś daleko idące wnioski. Należałoby przebadać rocznik za rocznikiem, rubrykę po rubryce, żeby odkryć istotę rzeczy. Ale jeden wniosek już można zaryzykować i to na przykładzie żywego karpia oraz męskiego płaszcza. W 1973 roku karp kosztował 30 zł, to znaczy więcej o 7,50 zł w stosunku do ceny z roku 1965 według rocznika „nowego”, ale o 10 zł więcej w porównaniu do ceny rocznika „starego”! Płaszcz męski kosztował w 1973 roku 1.700 zł, a więc tylko o 260 zł więcej według rocznika „nowego”, jednak o całe tysiąc złotych więcej w stosunku do rocznika „starego”! Powiem dość zrozumiale, że nie będę zdziwiony jeżeli się okaże, że to ja właśnie pierwszy wpadłem na trop metody fałszowania statystyki wzrostu kosztów utrzymania w PRL!

Zadania socjalistycznej statystyki

Na początku artykułu załamałem się na zenująco mały nakład roczników statystycznych w Związku Sowieckim i w PRL. Niepotrzebnie. Ilość ta w zupełności zaspakaja cele wytknięte przed statystyką socjalistyczną. Przed rokiem odbyło się spotkanie przedstawicieli publikacji statystycznych Komekonu, na którym delegacja czechosłowacka przedstawiła szczegółowy referat na temat *roli statystyki i organów statystycznych w propagandzie*. Czechosłowacy wyłożyli kawę na ławę i bez żenady powiedzieli:

„Jednym z ważniejszych źródeł propagandy ekonomicznej są organy statystyki państwowej, dysponujące mnóstwem udokumentowanych danych liczbowych i analiz, przydatnych do opracowywania konkretnych, ciekawych i skutecznych informacji dla społeczeństwa”.

Dalej referenci ujawnili, że ze środkami masowego przekazu współpracuje regularnie 25 % ogółu pracowników organów statystycznych. W jednym tylko 1972 roku pracownicy ci opracowali dla prasy, radia i telewizji ponad 8 tys. artykułów, notatek informacyjnych, scenariuszy, audycji (!) itp. materiałów. Niestety, nie dotarły do mnie wypowiedzi przedstawicieli polskich, ani sowieckich, chociaż na pewno nie wypadli gorzej od Czechosłowaków. Narada Komekonu postawiła kropkę nad „i” — statystycy z jeszcze większą wolą walki ruszyli na propagandowy front, by szereg chwałę wydajności polskiego górnik, ofiarności żywego karpia i wytrzymałości płaszcz męskiego.

Antoni GUTOWSKI

Gierek w Ameryce

Umowy handlowe, które podpisał Gierek w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych¹, nie wymagały oczywiście jego wizyty w Waszyngtonie. Można je było podpisać albo w Ambasadzie PRL w Stanach lub w Ambasadzie Amerykańskiej w Warszawie. Gierek nie przybył do Ameryki, aby wynegocjować umowy, które wynegocjowano już przedtem, ale po to, aby swą wizytą zamianifestować zbliżenie polityczne między Polską a Stanami i podnieść tym samym międzynarodowy prestiż PRL. Faktu, że złożył wizytę i że został przyjęty przez prezydenta Forda, nie należy bynajmniej lekceważyć, ponieważ prezydent Stanów Zjednoczonych nie przyjmuje wszystkich oficjalnych lub nieoficjalnych szefów państw. Nie przyjąłby na pewno prezydenta Ugandy, gen. Amina, tak jak jego poprzednik Nixon nie miał czasu dla prezydenta Zambii, Kennetha Kaudy, który przecież się liczy, bo choć nie ma nafty — ma miedź.

Ponieważ jednak wizyta szefa PZPR nie wypada mierzyć probieżem konferencji z prezydentami czarnych krajów Afryki, trzeba pobyt Gierka ustawić w innej skali. A wówczas okaże się że efekt polityczno-propagandowy — bo o to głównie chodziło — był nikły albo zgoła żaden. Oceniając swoją wizytę z tego właśnie punktu widzenia, Gierek powinien był wyzbyć się z góry wszelkich złudzeń. Wizyty szefów państw satelickich mierzy się ich politycznym ciężarem gatunkowym na arenie światowej, z uwzględnieniem ich głosu w międzynarodowych przetargach. Pod tym względem waga PRL jest równa niemal zeru. Gdyby pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Rosją panowały napięte stosunki tak jak w czasie „zimnej wojny”, wizyta I-go Sekretarza byłaby otwartym wyzwaniem wobec Moskwy. Obecnie, przy obowiązującej oficjalnie doktrynie *détente* i przy zbliżającym się spotkaniu Breżniewa z Fordem, Edward Gierek był dla prezydenta Stanów tylko jednym z namiestników Sekretarza KC KPZS. Gierek może mieć jakiś margines swobody w wewnętrznych sprawach Polski, ale w Waszyngtonie, gdzie jego wizyta określona była kryteriami polityki międzynarodowej, nie liczył się wiele więcej od sekretarza Komunistycznej Partii Republiki Białoruskiej, która ma przecież też osobne miejsce w ONZ. Tyle tylko, że głosuje zawsze jak ZSSR. Pod tym względem delegacja PRL również nie „wychyliła” się nigdy. Nawet w gorących dniach listopada 1956 roku, gdy na wokandzie ONZ stała sprawa potępienia inwazji sowieckiej na Węgrzech.

1. Informacje o zawartych umowach znajdzie Czytelnik w rubryce „Wydarzenia miesiaca” w bieżącym numerze.

Gdy około półtora roku temu przybył do Stanów Sekretarz Partii Rumuńskiej — Ceausescu, wizyta jego stała się sensacją, bo choć Rumunia należy nadal do Paktu Warszawskiego, ciężar gatunkowy tego kraju jest nieporównanie wyższy od PRL². Należy też ze smutkiem podejrzewać, że gdyby któregoś dnia pojawił się z oficjalną wizytą w Waszyngtonie Sekretarz Partii Albańskiej — Enver Hodža, np. w asyście Mijala, zostałyby obłożony przez fotoreporterów prasowych i telewizyjnych.

Edwarda Gierka nikt nie oblegał. Opinia amerykańska nie dostrzegła go prawie zupełnie. Gomułka nie życzył sobie, żeby o Polsce za dużo mówiono w świecie. Uważał że status „myszy pod miotłą” dogadza interesom Polaków. Gierek patrzy na te sprawy inaczej, ponieważ — jak powiadają niektórzy — jako „człek bywały we świecie” jest bardziej „Europejczykiem” od zaściankowego Gomułka. Niestety, niewiele mu ta „europejskość” pomaga, ponieważ swego satelickiego statusu wobec Rosji strzeże jak żrenicy oka, a groźnego marsa na czołe Leonida Breżniewa obawia się bardziej niż jego poprzednik.

Gierek przybył do Stanów w asyście ministra spraw zagranicznych Olszowskiego, członka Sekretariatu Frelka i ministra Jagielskiego. Poza tym towarzyszyła mu 150-osobowa grupa dziennikarzy, ochrony osobistej, techników radiowo-telewizyjnych i szeregu osób o niesprecyzowanych funkcjach. Przyleciał w niedzielę 6 października, ale ani do Waszyngtonu ani do Nowego Jorku. Dwa dni przebywał w Stanach jako turysta, odwiedzając Williamsburg i Jamestown, do którego podobno ponad 3½ wieku temu przybyli pierwsi polscy osadnicy. Przyczyna tej dwudniowej nieobecności w siedzibie ONZ Nowym Jorku i stolicy Stanów mogła być dwojaka. Niedziela 6 października obchodzona jest w Ameryce jako „Dzień Pułaskiego”. Przy całych nurtujących Polonię amerykańską „ciągotech” do PRL, Gierek nie chciał być tego dnia w Nowym Jorku, nie będąc zaproszony na trybunę na 5-tej Avenue, przez którą defilowała parada z okazji polonijnego święta. Tego, by znaleźć się wśród notabli miejskich i polonijnych, żadną miarą nie mógł się spodziewać. I słusznie. Bo wiem na czele pochodu w dniu przybycia Gierka do Ameryki niesiono długi transparent: „Gierek służy Sowietom — nie Polsce”. Dlatego najlepszym rozwiązaniem dla Gierka, który na swe przybycie wybrał niefortunną datę „Dnia Pułaskiego”, była turystyka i wizyta w Jamestown, gdzie Polacy wprawdzie też byli, ale 350 lat temu. Miało to pokazać Polonii jak to I-szy Sekretarz ceni sobie pierwszych polskich pionierów. Przyjazd do Nowego Jorku miał nastąpić później — po Waszyngtonie. W międzyczasie konsul

2. 4 listopada 1974 roku sekretarz Stanu Kissinger, mimo gwałtownego pogorszenia się sytuacji na Bliskim Wschodzie w wyniku „arabskiego szczytu” w Rabacie, wyjechał z wizytą do Rumunii. Po Rumunii na nastąpić pobyt w Belgradzie. Ten ostatni może mieć pewien związek z nowym bliskoschodnim kryzysem, ponieważ w czasie ostatniej wojny arabsko-izraelskiej Sowiety starały się uczynić z Jugosławii „pomost” w próbach przerzucenia dywizji spadochronowych z Węgier do Egiptu.

generalny PRL p. Cias zwrócił się do burmistrza Nowego Jorku p. Beame'a, aby przyjął Gierka oficjalnie jako gospodarz miasta. Beame załatwił Ciasia szybko i odmownie. Konsul Cias już więc nie próbował i miał rację. Nie oczekiwano większych demonstracji nowojorskiej Polonii, która na sprawy PRL jest dość zubożona, dlatego to, co się zdarzyło, było niespodzianką i dla p. Ciasia i dla Gierka. Kilkaset osób, które pojawiły się przed Konsulatem Generalnym PRL i przed gmachem ONZ były czymś w rodzaju anty-„Forum 1974”, które kilka miesięcy temu zorganizował dla prominentów polonijnych w Polsce Wincenty Kraśko. W pewnym momencie demonstranci przed budynkiem konsulatu PRL stali się bardziej agresywni, co zmanifestowało się próbą obrzucenia okazałego gmachu kamieniami. Natychmiast pojawiła się dodatkowa rezerwa kilkunastu policjantów miejskich, celem utemperowania demonstrantów. Tak więc burmistrz Nowego Jorku, p. Beame, choć nie powitał Gierka tak jak sobie tego I-szy Sekretarz życzył, uczcił jego wizytę przy pomocy ochrony policyjnej.

Nowy Jork, po Jamestown i Waszyngtonie, w którym odbywały się rozmowy oficjalne, był drugim etapem podróży Gierka. Podobno w planie było jeszcze Buffalo i Chicago, które Gierek kazał później skreślić. Nie z braku czasu, ale z braku humoru. Niewątpliwie odbija się to na wiceministrze Adamskim i Wincentym Kraśko, którzy kierują sprawami zbliżenia Polonii zagranicznej z PRL. Ci najwidoczniej zbyt już optymistycznie poinformowali Szefa o gorących uczuciach Polonii Amerykańskiej, która tylko czekała, by wpaść w szerokie górnicze ramiona I-go Sekretarza.

Przyjęcie Edwarda Gierka w Białym Domu odbyło się zgodnie z protokołem. Był obiad, przyjęcie, toasty i rozmowa z Kissingerem, dla którego przy wszystkich jego europejskich i bliskowschodnich kłopotach wizyta Gierka stanowiła przystawienie piąte koło u wozu. Może zresztą — nie. Może po uciążliwych rozmowach z królem Saudii-Feisalem, Jordanii — Husseinem oraz premierem Izraela gen. Rabinem, szef polskiej partii stanowiąc dla sfatygowanego sekretarza stanu pewnego rodzaju odprężenie, jako, że z tej rozmowy nic właściwie nie miało wynikać ani nie wynikać. Po podpisaniu umów handlowych Gierek został zaproszony na obiad do Klubu Prasy Amerykańskiej. W dniu obiadu, który był zarazem prasową konferencją Gierka, Związek Polskich Kombatantów w Waszyngtonie zamieścił w *Washington Post* wezwanie do uczestników konferencji, sugerując jakie pytania powinni dziennikarze amerykańscy zadawać Gierkowi.

Spotkania pomiędzy dziennikarzami zachodnimi a dygnitarzami komunistycznymi odbywają się zwykle według schematu rozmowy głuchych. Konferencja prasowa Gierka na ogół nie odbiegała od tej normy. Amerykańscy dziennikarze pytali o przyczyny braku wolności prasy w Polsce, co było o tyle bezprzedmiotowe, że ani Gierek nie mógł na to odpowiedzieć, ani też odpowiedź nie była potrzebna, ponieważ amerykańscy dziennikarze

przy całej swojej ignorancji wiedzą, że w totalitarnych krajach nie ma i nie może być wolnej prasy. Z równie dobrym skutkiem mogli się byli zapytać Gierka dlaczego w Polsce jest komunizm.

Zamiast więc odpowiedzieć na pytanie dotyczące braku wolnej prasy, Gierek stwierdził, że rady robotnicze są głosem opinii publicznej. Na taką odpowiedź można było tylko ziewnąć, zastaniając sobie grzecznie usta.

W dyskusji na temat wolnej wymiany myśli między PRL-em a Zachodem, I Sekretarz oświadczył dumnie, że „my nie lękamy się niczego z Zachodu, ale nie wiemy czy wy chcielibyście wymienić wszystkie nasze myśli”. Najwyraźniej w tym momencie honorowy gość Klubu Prasy Amerykańskiej dostał ostrego ataku politycznej amnezji i zapomniał, że to on sam po niechwalebny odejściu Gomułki i kilkunastoletniej przerwie wznowił w maju 1971 roku zagłuszanie zagranicznych stacji. Ale cóż o tych sprawach mogą wiedzieć amerykańscy dziennikarze? W toku dalszej dyskusji min. Olszowski — udzielając odpowiedzi w sprawach stosunków polsko-niemieckich, stwierdził, że prawem każdego Polaka jest odszkodowanie za pobyt w obozach, przy czym poprawił się szybko, że miał na myśli wyłącznie obozy hitlerowskie. Ale już było za późno. Słowo się rzekło. I tu trzeba przyznać że Olszowski postawił bardzo ważny problem. Dlaczego do odszkodowań za pobyt w kacetach mają mieć prawo tylko ofiary hitlerowskiego terroru, a nie setki tysięcy żyjących jeszcze byłych więźniów „Archipelagu Gułag”? Podniesienie tej sprawy przez Olszowskiego (choć zrobił to biedak bezwiednie) jest niewątpliwie poważnym krokiem naprzód w zadośćuczynieniu za zadane przez system sowiecki krzywdy i zasługuje na szerokie spopularyzowanie w prasie.

Mimo to wizyta Gierka znalazła bardzo słabe echa w prasie, radio i telewizji amerykańskiej. CBS zignorowało Gierka całkowicie. W *New York Post* ukazały się dzień po dniu dwa zdjęcia Gierka, trącającego się kieliszkiem z prezydentem Fordem, ale bez żadnych komentarzy. NCB pokazało go w Waszyngtonie. *New York Times* wydrukował krótkie podsumowanie wizyty szefa Partii na ćwierć szpalty. Swojego rodzaju osobliwością był natomiast artykuł redaktora warszawskiej *Polityki* Mieczysława Rakowskiego, zamieszczony w dziale artykułów wstępnych w *New York Times*'ie 16 października z okazji wizyty Gierka. Artykuł Rakowskiego — wbrew opinii zręcznego dziennikarza, którą cieszy się w Polsce — był tym razem słabutki, mglisty i ogólnikowy. Coś w rodzaju wypracowania, tyle, że bez „humoru z zeszytów szkolnych”. Pewien szczególnie smaczek nadały mu jedynie dwa ustępy: „W przeszłości — pisał Rakowski — Polska miała liczne kłopoty ze swymi sąsiadami. Gwałtowne pasje doprowadzały do wybuchu krwawych wojen”. Dotąd całkiem nieźle. Rakowski — marksista zniżył swój lot do poziomu czytelników *New York Times*'a, przedstawiając im w idealistyczno-historycznej pigułce dzieje wojen niepodległej Polski. Kilka wierszy dalej redaktor Rakowski, zostawiając za sobą smutne minione czasy

tak obfitujące w kłopoty z sąsiadami, przechodzi tryumfalnie do chwili bieżącej: „... Obecnie — pisze pogodnie — Polska nie jest już kłopotliwym członkiem międzynarodowej wspólnoty. Nie odczuwamy, by nasza niepodległość była w jakikolwiek sposób zagrożona. Nie mamy żadnych kłótni z naszymi bezpośrednimi sąsiadami”.

Rzeczywiście. Nie mamy. Tak jak nie miała Czechosłowacja i jak nie miały Węgry. Z kłopotami — koniec. Nic nie grozi naszej niepodległości.

Artykuł Rakowskiego zabrzmiał jak epitafium, które redaktor warszawskiej *Polityki* wydrukował Polsce i Polakom na łamach słynnego z liberalizmu amerykańskiego dziennika.

New York, listopad 1974

Zbigniew BYRSKI

Kronika PRL

W ramach wprowadzonej przez Gierka decentralizacji administracji, ministerstwo Górnictwa i Energetyki ulokowano w Katowicach, pod bezpośrednią kontrolą Grudnia, przyjaciela i zaufanego Gierka. 24 września br. doszło do wielkiej awantury, której konsekwencją było usunięcie Mitręgi ze stanowiska ministra Górnictwa i Energetyki (zachował stanowisko wicepremiera, czysto formalne), oraz wszystkich wiceministrów z wyjątkiem Dryzka, który uprzednio był wiceministrem Spraw Wewnętrznych i szefem „techniki”, tzn. odpowiedzialnym za podstęp, nasłuch, kontrolę korespondencji itp., jak również usunięto kilku dyrektorów departamentów. Przyczyną był „pomnik” jaki sobie Gierek postanowił wnieść w Katowicach. Ponieważ Lenin ma już hutę pod Krakowem, a Bierut w Częstochowie, więc Gierek — licząc na dalszą koniunkturę stali na rynkach światowych — postanowił zbudować jeszcze większą i najbardziej nowoczesną hutę stali w Katowicach. Przeciwno temu projektowi wystąpiła właśnie większość kierownictwa ministerstwa (Mitręga był przeznaczony, nieobecny), motywując to dwoma przyczynami:

1. Linia kolejowa dowożąca rudę krzyworoską jest przeciążona, Medyka nie może podołać przeładunkom i już obecnie powstała konieczność zbudowania drugiej, równoległej linii kolejowej tylko dla zaspokojenia potrzeb Nowej Huty i Śląska. Dodatkowe zaopatrzenie huty w Katowicach byłoby nawet przy drugiej linii kolejowej niemożliwe i powstałaby konieczność budowania trzeciej linii.

2. Tymczasem w lubelskim i to niedaleko granicy sowieckiej, odkryto wielkie pokłady węgla, tak że wystarczyłoby przeprowadzić około 12 km linii szerokotorowej, żeby unikając przeładunku rudy sowieckiej, zapewnić dostawy do nowej huty, która — zdaniem fachowców — powinna być zlokalizowana właśnie na tym terenie.

3. Dodatkowym argumentem była duża ilość siły roboczej na miejscu, co oszczędziłoby sprowadzania robotników na i tak już przeciążony Śląsk.

Wszystkie te argumenty nie przekonały jednak Gierka, który „pomnik” swój chce mieć na Śląsku a nie w lubelskim. W konsekwencji, po wielo-

dzinnej bardzo burzliwej dyskusji, usunięty został ze swego stanowiska Mitręga i wszyscy wiceministrowie (z wyjątkiem Dryzka, który ma w tym resorcie inne zadania — obejmujące problemy bezpieczeństwa i zagwarantowania dostaw najszlachetniejszej stali dla Wielkiego Brata) oraz kilku dyr. departamentów. Ze kosztą będą wielokrotnie większe, że sama koncepcja lokowania huty w pozabawionym rudy żelaznej, wody i niedostatecznie już gwarantującym dostawy węgla Śląsku jest bez sensu, nie ma większego znaczenia. Huta im. Gierka stanie na Śląsku, a na wniosek jego przyjaciela, I sekretarza w Katowicach Grudnia, otrzyma też nazwę jej „twórcy”.

Następcą Mitręgi został Jan Kulpiński, dotychczasowy dyrektor zjednoczenia węglowego w Bytomiu, przyjaciel i zaufany Gierka.

W ostatnich tygodniach wzrosła rola i znaczenie PAX'u, przy czym tym razem inicjatywa wyszła nie z Moskwy ale z Komitetu Centralnego. Gierek bowiem zamierza wykorzystać PAX do nowej kampanii antykościelnej. Prawdopodobnie Piasecki odejdzie, a na czele organizacji stanie albo Jankowski albo Stefanowicz.

Sztandar Młodych zamieszcza wywiad z sekretarzem KC Komsomołu, Władimirem Grygoriewem, który m.in. powiedział, że w Ust Ilmsku rozpoczyna się budowa kombinatu celulozowego, powstającego przy udziale RWPG, a przede wszystkim Polski. *Sztandar Młodych* i p. Grygoriew przewidują międzynarodowy udział młodzieży przy budowie obiektu — przewidywane są udziały 400 do 500 „ochotników” polskich. Praca jest obliczona na 2 lata. P. Grygoriew apeluje o kierowanie ludzi silnych i zdrowych ze względu na problemy aklimatyzacji (mrozy dochodzą tam do 50 stopni).

Trybuna Ludu podaje: „To, czegośmy dokonali w minionym 30-leciu pozwoliło wyprowadzić Polskę z grona najbardziej zacofanych krajów Europy do grona państw zaawansowanych w rozwoju opieki społecznej. Przeciętna długość życia w Polsce przed drugą wojną światową, wynosiła ok. 50-ciu lat, a obecnie kształtuje się w granicach ok. 70,5 roku. *No comment.*”

Wolna trybuna

Dylemat komunizmu

Być antykomunistą z zasady i przy każdej okazji to znaczy być dogmatykiem, a właśnie komuniści są dogmatykami i na tym polega cała trudność porozumienia. Z dogmatykiem — jak z chorym — trzeba obchodzić się ostrożnie, a więc czujność jest wskazana.

Socjalizm i komunizm wywodzą się z Manifestu Komunistycznego Marksa i Engelsa. Mają wspólne źródło. Socjaliści pozostali wierni pragmatyzmowi i cierpliwie budowali polityczną, ekonomiczną i społeczną potęgę ruchu robotniczego na Zachodzie. Komuniści niecierpliwi, postanowili przeskoczyć pewne etapy rozwojowe. Wyniki widzimy: nowe klasy, nowy podział władzy, nowe przywileje. Do najwyższej klasy należą najważniejsi funkcjonariusze partyjni, którzy mają maksymalne dochody i pełnię władzy politycznej i gospodarczej. Następna klasa, to technokraci, biurokraci i intelektualiści, posiadający monopol administrowania i specjalne przywileje. Trzecia klasa, to urzędnicy i kwalifikowani robotnicy. Najniższa, ale liczebnie największa, to klasa robotników miejskich i wiejskich, nie posiadających zawodowego wykształcenia. To jest klasa alienowanych.

Czy byłoby inaczej, to znaczy lepiej, gdyby nie było rozłamów, wzajemnych oskarżeń i głębokiej nienawiści, a panowała solidarność i jedność klasy robotniczej? Inny byłby wówczas ciężar gatunkowy zjednoczonych sił, niezależnie od tego, czy wybrano by program reform czy program rewolucji. Trzeba przyznać, że historia to mądrze wyreżyserowała. Istnienie rewolucyjnego komunizmu pomogło socjalizmowi w zdobyciu obecnych pozycji na Zachodzie. Świat boi się komunizmu i nie ma zaufania do komunistów. Rosyjskie wyniki są tylko w niewielu dziedzinach zachęcające. Socjalizm demokratyczny w ramach ustroju parlamentarnego wykorzystał sytuację i przedstawił alternatywę do przyjęcia przez wszystkich, albo niemal wszystkich. To jest konstruktywna zasługa socjalizmu.

Na początku przy stworzeniu Kominternu (rok 1919) wprowadzono zasadę centralizmu i żelaznej dyscypliny wobec poleceń, wydawanych przez moskiewskie centrum. To była zasada wzorca sowieckiego, który należało imitować zawsze i wszędzie bez względu na odmienne warunki historyczne, polityczne, społeczne i ekonomiczne. Jeszcze na emigracji, a następnie po rewolucji, w głowach rewolucjonistów powstawały różne koncepcje, które często nie pasowały do Rosji, a więc jakże mogły pasować do innych mniej lub więcej rozwiniętych narodów. Komintern przyjął również zasadę, że główny wróg znajduje się na lewicy, tzn. że głównym wrogiem są socjaliści, których należy zwalczać wszystkimi środkami. To był obłąd, jak to się okazało w Niemczech w momencie rozstrzygającej walki z hitleryzmem, obłąd, który stał się przyczyną katastrofy.

Rozbicie paraliżowało masy i uniemożliwiało wspólne wystąpienia. Byli komuniści, którzy to rozumieli i usiłovali protestować. Głową za to zapłacili. Socjaliści widzieli niebezpieczeństwo od początku, ale nie mogli dogadać się z fanatykami i dogmatykami, którzy uważali za zdradę wszelki kompromis w ramach ustroju kapitalistycznego. Dzisiaj szukają go sami komuniści. Socjaliści starali się wytłumaczyć komunistom, że nie może istnieć jeden wzorzec dla wszystkich, że trzeba uwzględnić odmienne warunki środowiska i że żelazna dyscyplina w dziedzinie myślenia i inicjatywy politycznej jest zabójczą. Wychodząc z tego założenia proponowali kongresowi Międzynarodówki Socjalistycznej w Wiedniu w roku 1931 stworzenie w porozumieniu z Międzynarodówką Komunistyczną wspólnego instytutu celem badania możliwości wspólnej realizacji socjalizmu w różnych warunkach. Nadaremnie. Stalin i Manuilski nie chcieli o tym słyszeć.

Właściwym celem Stalina było oderwanie mas od przywódców socjalistycznych i dobrowolne, lub przymusowe włączenie ich do organizacji komunistycznych. Ta taktyka zastosowana została z powodzeniem po rewolucji „październikowej” i powtórzona po ostatniej wojnie w krajach demokracji ludowej. Przywódców organizacji socjalistycznych, jak i zresztą innych stronnictw politycznych, wytepliono (jeszcze za życia Lenina) lub zesłano na wyspy Sołowieckie. Pozostały masy bez przywódców, które można było stosunkowo łatwo opanować przy pomocy demagogicznych haseł, terroru i kromki chleba. Operacja powtórzona w krajach demokracji ludowych nie dała pożądanego wyniku. Przywódców zneutralizowano względnie przekupiono stanowiskami, ale mas nie zdobyto. Masy nie zapomniały eksperymentów sowieckich, a więc przymusowych kołchozów, eksploatacji robotnika, procesów lat trzydziestych, przymierzania z Hitlerem itp. Wiadome było, jak niski jest poziom życia robotnika sowieckiego. W obecnej Polsce brak socjalistycznego uświadomienia, ale istnieje poczucie krzywdy, niesprawiedliwości i alienacji. Wrogość w stosunku do komunistów tkwi w masach i co pewien czas wybucha głośnie.

W rozumieniu robotnika zachodniego eksperyment sowiecki

nie powiódł się. Za wielka jest różnica poziomu życia. Niejeden robotnik francuski powracając z wycieczki do Rosji stwierdza, że dokonano tam pewnego postępu, ale mieszkać w Rosji nigdy by nie chciał. Zawsze mówiliśmy, że robotnicy francuscy i włoscy powinni na pewien czas jechać do Rosji, by przekonać się o tym na miejscu. Jeżeli takie są wyniki w Rosji i w republikach demo-ludowych, to nasuwa się logiczny wniosek, że trzeba komunizm na Zachodzie izolować, by uniknąć powtórzenia eksperymentu sowieckiego, związanego z nim ubóstwa, chaosu gospodarczego i rządów biurokracji partyjnej. Chyba, że w partii coś się zmieni naprawdę.

Pod tym kątem widzenia należy rozpatrywać liberalizacyjne akcje Chruszczowa, który zdawał sobie sprawę z tego, że jest coraz gorzej, że coraz głębsza jest przepaść pomiędzy Rosją i Zachodem, że na dłuższą metę nie można trzymać mas w nędy, a jednocześnie zachęcać do wysiłku na rzecz uzbrojenia i przy tym zatajać jaka jest prawdziwa sytuacja w kraju. Stalin praktykował to przez lat 30 stosując metody terroru. Tym mniej udawało się to w republikach demo-ludowych, które zawsze miały kontakt z Zachodem i były dokładnie poinformowane, jak robotnik żyje na Zachodzie.

Z tego wynika również słabość większości partii komunistycznych na Zachodzie i ich izolacja oraz getto polityczne we Francji i we Włoszech. W obu tych krajach reprezentują one około 25 % wyborców, a więc mają organizację bardzo poważną.

Po 25 latach izolacji, kiedy kontrola centrum moskiewskiego ulega rozluźnieniu, wzorzec sowiecki przestał obowiązywać na 100 %, zachodni przywódcy komunistyczni zrozumieli, że bez porozumienia z socjalistami nie można budować socjalizmu, że trzeba walczyć w ramach ustroju kapitalistycznego, że trzeba również zdobyć poparcie drobnego mieszczaństwa i inteligencji, że nie wystarczy 51 % głosów dla przeprowadzenia głębokich reform społecznych i że akcja przemiany społecznej musi być wyrazem potrzeb i woli poważnej większości narodu i dziełem szerokiego frontu partii politycznych.

W ten sposób komuniści na Zachodzie przeszli powoli na pozycje socjal-demokratyczne, przestali się niecierpliwić, złożyli hasło rewolucji do muzeum (Marchais) i stali się partnerem do rozmów i układów. Od razu nasuwa się zastrzeżenie, dlaczego ta zmiana nie obejmuje republik demo-ludowych? Odpowiedź brzmi: republiki demo-ludowe to są kolonie, tereny łowieckie Związku Sowieckiego, który uważa je za swoje przedpole strategiczne i nie dopuści do osłabienia tam swoich wpływów. Tam obowiązują tradycyjne koncepcje. Inaczej na Zachodzie. Jeżeli sowiecka partia komunistyczna pozwala francuskiej partii komunistycznej zaakceptować demokratyczny pluralizm, podczas gdy w bloku sowieckim partia komunistyczna zachowuje monolitność, to może to oznaczać albo, że partie komunistyczne nie mają już tej samej bazy ideologicznej, albo też że ten typ sto-

sunków wynika z taktyki dla ułatwienia przejścia do systemu wzorowanego dokładnie na sowieckim.

W Chile komuniści byli czynnikiem miarkującym radykalne tendencje socjalisty Allende i lewackiej organizacji MIR. Podobne stanowisko zajęli ostatnio komuniści hiszpańscy, włoscy, greccy i — może — portugalscy: przeciw gwałtownej rewolucji i przeciwni chaosowi, na którym wygrać mogą tylko faszyci, lewacy i anarchiści. A tego boją się komuniści oficjalni. Takie jest ich stanowisko na bieżącym etapie.

Mam wrażenie, że w przyszłości komuniści pójdą raczej na prawo niż na lewo, ale doświadczenie uczy, że nie należy im dawać do ręki broni i kluczowych stanowisk w rządzie, z czego zresztą obecnie sami rezygnują. Zaznaczam i podkreślam, że taka sytuacja panuje tylko na Zachodzie i że w Rosji i w republikach demo-ludowych komuniści, w myśl zasady, że zdobytej władzy nie wypuszcza się z rąk, są w dalszym ciągu monopartyjni, tradycyjni i reakcyjni. Na tym polega sprzeczność wewnętrzna w obozie komunizmu orientacji sowieckiej, sprzeczność, która jest przyczyną nieufności do politycznego „nepu” na Zachodzie.

Na Zachodzie sytuacja jest niejednolita, ale w obecnym stanie rzeczy nasuwa się spostrzeżenie, że komuniści za wszelką cenę — może w obawie przed faszyzmem a może w obawie przed utratą wpływów na rzecz socjalistów — wzywają wszystkie „siły robotnicze i demokratyczne” do rozwinięcia wspólnych akcji i popierają szerokie przymierze wszystkich sił demokratycznych, postępowych i pokojowych dla „przebudowy społeczeństwa a jutro dla budowy socjalizmu”. Tak mówią uchwały dwudziestu europejskich partii komunistycznych, których delegaci zebrali się w styczniu 1974 roku w Brukseli celem omówienia aktualnej sytuacji. A więc ogłaszają, że idą po linii pokojowych reform. Czy można im wierzyć? Mitterand zawierzył im i na tym przymierzu wygrała odnowiona francuska partia socjalistyczna, która wyprzedziła wpływami francuskich komunistów. Francuzi mają większe zaufanie do socjalistów w dziedzinie socjalizmu reformistycznego.

Brukselski program znalazł zastosowanie. Hiszpańscy komuniści (Dolores Ibarruri i Santiago Carilo) wzywają do pojednania narodowego i do „zjednoczenia narodowego, obejmującego jak najszerszy wachlarz sił politycznych w Hiszpanii”. Francuska oferta jest bardzo rozciągliwa: „zjednoczenie narodowe bez żadnych ograniczeń”. Co to oznacza? To oznacza również wolne pole dla radykalnych haseł organizacji lewackich, które atakują komunistów od lewa w imię zdrady rewolucji proletariackiej i grożą przelicytowaniem i oderwaniem rozczarowanych elementów. Lewacy stosują teraz wobec komunistów tę samą taktykę, którą komuniści stosowali wobec socjalistów za kominternowskich czasów. Wewnątrz partii nastąpiła pewna liberalizacja. Pierre Daix nie wyrzucono z partii, mimo że w książce o Sołżenicynie cytuje opinię Elzy Triolet o komunistach rosyjskich: „To są hitlerowcy”. Sam wystąpił.

Oznacza to wyjście poza ramy zjednoczenia lewicowego (*union de la gauche*) i wspólnego programu wyborczego i rządowego (na wypadek zwycięstwa), podpisanego przez socjalistów, komunistów i lewicowych radykałów. Teraz zaprasza się do udziału nawet gaullistów. Wspólny program może być przedmiotem pertraktacji i kompromisu. Edward Bernstein obraca się w grobie wobec nadmiaru rewizjonizmu. Wydaje się, że komuniści gotowi są zrezygnować, przynajmniej na razie, z projektowanych nacjonalizacji, uznać udział Francji w budowie politycznej Europy. Oznacza to uznanie obecnego ustroju demokracji parlamentarnej z rozstrzygającymi uprawnieniami prezydenta i wpływów prywatnego kapitału, które uległy znacznemu ograniczeniu na rzecz potęgi firm wielonarodowych.

W imię czego to wszystko? Przede wszystkim w dobrze zrozumianym interesie Związku Sowieckiego. Następnie w obawie przed faszyzmem i przed awanturami lewackimi, które mogą doprowadzić do wojny domowej. Robotnik francuski dobrze — choć gorzej od niemieckiego — płatny, broniony przez silne związki zawodowe, posiadający samochód, często motorówkę i willę za miastem oraz inne ułatwienia „społeczeństwa spożycia” ma wiele do stracenia i do zasadniczych zmian się nie pali, choć naturalnie pragnie reform, jak zresztą większość Francuzów, które w ograniczonym zakresie przeprowadza Giscard d'Estaing.

W tej sytuacji lewica złożona z komunistów, socjalistów i małej grupki radykałów musi prowadzić konstruktywną opozycję, bo uznaje ustrój i jego instytucje i nie chce ściągnąć na siebie zarzutu demagogii, który w oczach Francuzów może podważyć jej *préstitige* i osłabić szanse w przyszłych wyborach parlamentarnych i prezydenckich.

Sytuacja kryzysowa, inflacja i groźba bezrobocia nakazują spokój i roztropność. Przy stopie wzrostu produktu narodowego brutto 2% i przy inflacji 16% w skali rocznej nie można bawić się w eksperymenty, które mogą wywołać ucieczkę kapitałów i ogólny chaos. Zresztą nacjonalizacja i rygorystyczne planowanie nie są istotnymi elementami postępu i socjalizmu. Istotnym elementem jest człowiek, jego wolność, jego potrzeby, jego możliwości rozwojowe i stosunki międzyludzkie. „Najcenniejszym kapitałem jest człowiek”, oto leninowskie hasło, którego się nie realizuje w Rosji.

Nie ma o tym mowy, by komuniści we Francji uzyskali w najbliższej przyszłości kluczowe stanowiska. Znaczna większość Francuzów jest antykomunistyczna. Mitterand ma łatwą grę: co drugi Francuz jest socjalistą tej czy innej maści, jeden na czterech jest komunistą. Czy komunistyczna konfederacja związków zawodowych (C.G.T.) jest bardzo groźna? Chyba nie, gdyż jest ona tubą partii komunistycznej i nie wychyla się, a ponadto istnieją w kraju inne konkurencyjne centrale zawodowe, które prowadzą czysto teoretyczne dyskusje na temat, czy kluczowe przemysły należy oddać w zarząd robotników (*autogestion*) czy też biurokracji (*nationalisation pure et simple*).

A więc komuniści oficjalnie rezygnują z bardzo odpowiedzialnych stanowisk. Komuniści płacą za grzechy Rosji Sowieckiej, za Stalina, za archipelag Gułag, za Jagodę, Jeżowa i Berię i *last but not least* za doktrynę interwencji Breżniewa. *Per saldo* okazuje się, że największym wrogiem partii komunistycznych na Wschodzie i na Zachodzie jest Związek Sowiecki.

Socjaliści mogą sobie pozwolić na radykalizm, komuniści — nie. Tak było zresztą w Chile, niestety z tragicznym wynikiem.

Jeżeli uszeregować partie lewicowe we Francji to na skrajnej lewicy znajdują się trockiści (Arlette Laguiller i Krivine), następnie zjednoczona partia socjalistyczna P.S.U. (Rocard), dalej partia socjalistyczna (Mitterand) i na lewym skrzydle centrum grupa radykałów (Fabre) i komuniści (Marchais). Z tym zastrzeżeniem, że ta konfiguracja odbywa się na bieżącym etapie. Aby nie zaciemniać obrazu pomijamy bardzo lewicowe grupy prochińskie itp.

We Włoszech sytuacja jest bardziej skomplikowana, ale podobna. Monetarna i budżetowa katastrofa, spowodowana kryzysem energetycznym, może sprzyjać rozwojowi faszyzmu. Tylko wspólny front chadecji, socjalistów i komunistów może uratować kraj. Komuniści przygotowują się do uczestnictwa w rządach. W Portugalii i w Grecji jeszcze nie wiadomo jak rozwinie się sytuacja. Sytuacja ekonomiczna jest wszędzie krucha. Strajki mogą doprowadzić do katastrofy. Partycypacja komunistów odgrywa wielką rolę. Neutralizuje wpływ central zawodowych i redukuje niebezpieczeństwo strajków.

We Francji obiecywano sobie zahamowanie fali strajkowej, jeśli prezydentem zostanie przy poparciu komunistów Mitterand. Ale wtedy groziła ucieczka kapitałów, galopująca inflacja i kryzys polityczny, gdyż Mitterand nie mógłby rządzić z parlamentem, w którym gaulliści są najsilniejszą partią. Wybór Giscarda, który przeszedł minimalną większością (50,2%) złagodził ostrość tych problemów i lewica była bodajże zadowolona, że Mitterand nie został prezydentem, bo to nie był moment odpowiedni do realizacji wspólnego programu. W tych wyborach partia socjalistyczna zdobyła, o ile chodzi o lewicę, największe wpływy, podczas gdy komuniści utrzymali stan posiadania. To wynika z analizy rezultatów głosowania.

Pan Aurelo Pecei, prezydent sławnego klubu rzymskiego oświadczył w tygodniku „Europolitique”: „Z punktu widzenia ściśle europejskiego nasi (włoscy) komuniści są bez wątpienia lepsi niż nasi chadecy”. Pecei ubolewa nad nieudolnością polityków europejskich i mówi: „Myślę, że we Włoszech taki człowiek jak Berlinguer może dużo łatwiej niż ktokolwiek inny spośród niesocjalistycznych przywódców naszego państwa określić dla Europy cele dostatecznie szerokie, aktualne i na daleką metę”.

W ten sposób znikają bariery równocześnie w Paryżu, w Rzymie, w Madrycie i w Lizbonie, już nie tylko w Helsinkach. Jest to wynikiem pewnej konieczności i pewnej obawy.

Komuniści są w zasadzie dogmatykami i demagogami, ale czasem mają rację, opartą na właściwej analizie i ocenie stosunków produkcyjnych, układu sił i analogii historycznych. W obecnej sytuacji zwyciężyło u komunistów przekonanie, że wobec niemożliwości rewolucyjnego działania trzeba iść na ustępstwa, by wydobyć się z izolacji.

Zresztą innego wyjścia nie było. Kompromis jest koniecznością, skoro robotnik nie chce pozostać robotnikiem i walczyć o dalsze zdobycze i przywileje klasowe i skoro rozwój techniki o dalsze wydatnie liczebność proletariatu, który z dnia na dzień uzyskuje na Zachodzie lepsze warunki bytu i większy wpływ na administrację państwem (Anglia) i na zarządzanie przedsiębiorstwem w postaci partycypacji w dochodach w formie akcji i kontroli ksiąg (Francja i Niemcy), współzarządu (Niemcy) i zamierzonego w przyszłości pełnego samorządu po uspołecznieniu (program francuskich socjalistów), o czym na razie komuniści słyszeć nie chcą, broniąc zaciekle ostatniej reduty partyjnej biurokracji.

Na podstawie kompromisu doszło do milczącego układu pomiędzy kapitałem a komunistami. Ratuje się bardzo zagrożony ustrój w zamian za dopuszczenie (ograniczone) komunistów do głosu. Kapitałiści sami rozumieją, że konieczne są pewne reformy społeczne i techniczne (zmiana systemu pracy, bezpieczeństwo pracy, gwarancja pracy, rozszerzenie uprawnień związków zawodowych) pod warunkiem zachowania prawa własności. W toku walki z inflacją na skutek restrykcji kredytowych i obciążeń fiskalnych, duża ilość małych i średnich przedsiębiorstw ulegnie likwidacji. Firmy wielonarodowe wyjdą wzmocnione. Cały ten proces musi być kontrolowany, aby nie wywołał zaburzeń i nie przerodził się w faszyzm. Kryzys ekonomiczny 1929 roku był pożywką, która karmiła europejskie faszyzmy. Komuniści o tym dobrze pamiętają.

Klasy pośrednie nie mogą ponosić kosztów walki z inflacją. Komuniści francuscy i włoscy podzielają tę opinię. Ich celem jest skupienie „wszystkich społecznych warstw pracujących” przeciwko „temu samemu wielkiemu kapitałowi”. Chodzi o izolowanie „feudałów finansów, przemysłu i ich kapitanów” mówi rezolucja Komitetu Centralnego Francuskiej Partii Komunistycznej z 11 czerwca 1974 roku. Ani słowa o firmach wielonarodowych.

Komuniści hiszpańscy są gotowi „zasiąść do rozmów z wszystkimi grupami społecznymi i politycznymi, z wszelkimi reprezentantami instytucji, z osobistościami, które posiadają realne albo potencjalne wpływy w życiu publicznym”. Alians panów Serera i Carillo jest wymowny przykładem tej linii politycznej.

Na zakończenie należy zastanowić się nad skutecznością walki przeciwko firmom wielonarodowym i nad stanowiskiem Rosji sowieckiej wobec powyższych problemów. Zaczniemy od tego ostatniego zagadnienia.

Rosja w toku prezydenckiej kampanii wyborczej we Francji

dała niedwuznacznie do zrozumienia, że popiera kandydaturę p. Giscarda. Ambasador sowiecki Czerwononko pod jakimś pretekstem złożył w tym właśnie czasie wizytę ówczesnemu ministrowi finansów, Giscardowi. Cała opinia publiczna dobrze wiedziała o co chodzi. Socjaliści byli wściekli, komuniści oburzeni i podobno protestowali w Moskwie. Lecz Rosja nie życzy sobie żadnych gwałtownych reform i zmian społecznych we Francji, nie życzy sobie tego w całej Europie Zachodniej. To nie znaczy, że rezygnuje z opanowania Europy. Nastąpi to w innym czasie i innymi środkami. Obecnie na bieżącym etapie Rosja życzy sobie pełnego spokoju na Zachodzie. Absolutnie nic jej nie mówi kwestia socjalizmu we Francji lub we Włoszech, bardzo jej natomiast zależy na konsolidacji stanu posiadania w Środkowej i Wschodniej Europie i w związku z tym na pozytywnym zakończeniu Konferencji dla spraw Bezpieczeństwa i Współpracy. Wobec tego Rosja popiera we własnym interesie *new look* zachodnio-europejskich partii komunistycznych. Jiří Pelikan podaje, że na naradzie członków paktu warszawskiego w Dreźnie w marcu 1968 roku w sprawie Czechosłowacji, Gomułka (ówczesna tuba Moskwy) oświadczył: „Rewolucja socjalistyczna na Zachodzie nas nie interesuje. Europa jest zamrożona najmniej na 50 lat. Co nas interesuje, to obrona tego co posiadamy: naszych granic”.

Firmy wielonarodowe, każda oddzielnie, są potęgami na miarę wielkich państw dzięki koncentracji kapitałów, specjalistów, laboratoriów i *know how*. Na własną rękę prowadzą politykę i wywiad. Mianują i utracają prezydentów. To są potężne i niebezpieczne organizacje o planetarnym zasięgu. Jedyne międzynarodowa federacja pracowników przemysłu chemicznego potrafiła w obronie robotników i urzędników stawić im czoło i wygrać w niektórych przypadkach w swojej dziedzinie. Rosja wie, że tylko przy zainteresowaniu firm wielonarodowych może zmodernizować i rozwinąć przemysł, górnictwo i komunikację i zaspokoić potrzeby 250 milionów obywateli ZSSR. Walka z tymi firmami jest niezmiernie skomplikowana i podobnie trudna, jak odcyfrowanie ich konstrukcji prawnej, zasięgu i powiązań. Rosja potrzebuje w tej chwili pomocy z tej strony i to na wielką skalę. Rosja zawarła długoterminowe umowy z firmami z NRF, ze Stanów Zjednoczonych, z Francji i z innych krajów. Jeżeli nastąpiły w tych krajach gwałtowne zaburzenia i przemiany, wszystkie rosyjskie plany inwestycyjne wezmą w łeb. Dlatego partie komunistyczne na Zachodzie delikatnie mówią o „feudałach” tj. o kapitalistach starego typu, których można bez trudności wywłaszczyć, bo są przestarzali organizacyjnie i słabi finansowo.

W tej chwili w obozie kapitalistycznym odbywa się wielka dyskusja na temat celowości zaangażowania wielkich kapitałów w Rosji. Jedni uważają, że są to inwestycje samobójcze i że wzmocnią one niebezpiecznego w przyszłości konkurenta, którego cele są nie tylko gospodarcze ale i ideologiczne. Inni twierdzą, że właśnie należy angażować kapitały w Rosji, gdyż w ten sposób uzależnia się Rosję od dostaw zachodnich i ułatwia prze-

nikanie koncepcji wolnościowych. Faktem jest, że kapitały płyną do Rosji wartkim strumieniem, gdyż kapitaliści czują możliwości wielkiego *bussines'u*.

Nie ulega wątpliwości, że partie komunistyczne na Zachodzie zdają sobie sprawę z właściwego stanu rzeczy i z przymusowego powiązania z interesami sowieckimi, co jak wiadomo nie zawsze wychodzi im na korzyść. Politycy komunistyczni nie chcą Rosji szkodzić, ale chcieliby też wyjść cało z tej opresji, to znaczy z błędnego koła odpowiedzialności za cudze grzechy, uniezależnić się w miarę możliwości i ewentualnie zbudować inny ustrój komunistyczny, wolny od błędów i wypaczeń sowieckich i satelickich.

Partie komunistyczna włoska i angielska oświadczają wspólnie, że walczą o socjalizm, który „uznaje wolność osobistą i jej gwarancje, wielopartyjność, autonomię central zawodowych, wolność religii i wolność kultury, sztuki i nauki” (*L'Unità* z 1 lipca 1974 roku). Ta ewolucja może tylko ułatwić komunistom wyjście z getta i zadwoić ich ewentualnych aliantów, mimo wciąż istniejącej (i zrozumiałej) nieufności w niektórych partiach socjal-demokratycznych.

Można zaryzykować przypuszczenie, że rodzi się nowy typ komunizmu: komunizm zachodnio-europejski, przyjazny dla Rosji sowieckiej, ale dążący do emancypacji. Policentryzm i polimorfizm komunizmu (określenia Adama Ciołkosza) nie są rzeczą nową. Można powiedzieć, że są koniecznością historyczną. Jugosławia, Chiny, Kuba są przykładem.

Partie komunistyczne Zachodniej Europy są coraz bardziej odważne, starając się przystosować do indywidualnych warunków narodowych. Wydaje się, że ta tendencja będzie trwała, ale trudno przewidzieć jej wszystkie skutki.

Na bieżącym etapie tendencje te są korzystne dla Rosji, a w każdym razie zgodne z jej interesem. Interes Rosji rozstrzyga. Czy ta „europejskość” odpowiada Rosji w 100%? Na pewno nie. Jest zbyt atrakcyjna dla Polski, Ukrainy i innych narodów kolonialnych. Czas jest antykolonialny, lecz Rosja stoi na straży swego imperium. W Moskwie nie ma mowy o socjalizmie ani o humanitaryzmie a tylko o interesie Rosji sowieckiej. Wszelki polimorfizm jest dla zwartości bloku niebezpieczny.

Nic dziwnego, że Rosja śledzi z uwagą rozwój sytuacji i jej echa we własnym imperium. Podczas ostatniego spotkania p. Marchais z p. Breżniewem 27 lipca bież. roku w Moskwie problemy międzynarodowego ruchu komunistycznego pominięto milczeniem. Coraz rzadsze są spotkania włoskich komunistów z politykami sowieckimi. Dylemat ujawnia się w sposób coraz widoczniejszy.

Evian, 31 lipca 1974.

Feliks MANTEL

P.S. *Le Monde* z 18. 10. 1974 pod tytułem „Partia Komunistycz-

na” rozumie „pana Agnelli” donosi: Pan Giorgio Amendola, członek dyrekcji Włoskiej Partii Komunistycznej udzielił wywiadu *Newsweek*, w którym nieoczekiwanie podkreśla wyrozumiałość dla pana Agnelli, generalnego dyrektora „Fiata”.

Le Monde cytuje:

„Światowy kryzys monetarny i ekonomiczny jest dla Włoch kryzysem produkcji. My, komuniści, wiemy, że to jest prawdziwy kryzys a nie manewr ze strony pracodawcy, pana Agnelli. Pragniemy kompromisu. Nie chcemy nacjonalizacji „Fiata”. Chcemy pomóc panu Agnelli w rozwiązaniu problemów. W ramach demokracji znajdziemy rozwiązanie”.

Od siebie przypominamy, że pan Agnelli zorganizował w Związku Sowieckim, w mieście Togliatti, gigantyczną fabrykę samochodów typu „Fiata”.

F. M.

FRAGMENTS (FRAGMENTY)

publikują w języku angielskim niektóre artykuły
z *KULTURY*

Ukazuje się rocznie 10 numerów. Cena prenumeraty:

\$ 8,50 rocznie łącznie z przesyłką pocztową.

Redaktor: Charles JOEL;

Wydawca: CORRESPONDENCE HOME STUDY
OF LANGUAGES.

Dotychczas ukazały się przekłady:

- 1) *Gorzkie zboże* — Brukselczyka;
- 2) *Białe noce w Helsinkach* — Brukselczyka;
- 3) *Archipelag Gułag* — M. Hellera;
- 4) *Milczenie nie jest złotem* — J. Mieroszewskiego;
- 5) *W sowieckiej prasie* — A. Kruczka;
- 6) *Miraże i Fantomy* — Brukselczyka i wyjątek z *Sowieckiej Prasy* — A. Kruczka;
- 7) *Od Maltusa do Mansholta* — Brukselczyka i wyjątek z *Sowieckiej Prasy* — A. Kruczka.

Powyzsze numery są do nabycia po cenie \$ 0,60 za numer
(wraz z przesyłką).

W przygotowaniu: J. Mieroszewskiego: *Materiały do refleksji i zadumy*.

Korespondencję i zamówienia na prenumeraty wraz z czekiem należy kierować na adres:

CORRESPONDANCE HOME STUDY OF LANGUAGES,
P. O. BOX 744, SUTTER CREEK, CAL. 95 685 (USA).

Kronika kulturalna

Wydział Prawa U. J.

Nie chciałbym, by ten artykuł był jeszcze jednym przejawem „wspominkarstwa”. Chcę nie tylko spróbować wskrzesić sylwetki bez wyjątku już nieżyjących ówczesnych profesorów najstarszej naszej Wszechnicy, rzucić jakieś światło na nastroje ówczesnej studenterii — sprzed zamachu majowego! — ale także, po spędzeniu niemal całego życia poza Polską, wypowiedzieć moje osobiste zdanie o programach Wydziału Prawa w owych czasach. Przy całym sentymencie, który dotąd żywię dla dostojnej uczelni, w której zdobyłem tak szacowny tytuł „Dr. Utriusque Juris”, i złożyłem — w todze i fraku, oczywiście — na ręce ówczesnego Rektora, profesora medycyny Maziarskiego, dziekana wydziału Prawa, prof. Estreichera, i mego promotora, prof. Adama Krzyżanowskiego, przepisana łacińską przysięgę zachowania godności i powagi tego tytułu „Spondeo ac Polliceor”, nie mogę niestety twierdzić, by dzisiaj ten program studiów wydawał mi się celowy i właściwy.

Nie bardzo wiem, dlaczego po maturze w Warszawie, w gimnazjum Staszica, skąd olbrzymia większość moich kolegów poszła na studia na Politechnikę, postanowiłem studiować prawo. Nie wiem tym bardziej, dlaczego zdecydowałem udać się na studia do Krakowa, którego prawie nie znałem, gdzie nie miałem absolutnie żadnych znajomych, z którym absolutnie nic mnie nie wiązało. Ale słyszałem, że tam studia prawnicze mają stać najwyżej; byłem pilny, ambitny, i wierzyłem od dzieciństwa w naukę, studia i dyplomy. Nic mnie nie ciągnęło ani do sądownictwa, ani do adwokatury, i właściwie nie miałem pojęcia, co z moim dyplomem z prawa zrobię.

W ten sposób przyjechałem koleją do Krakowa 30 września 1921 roku, z małą walizką, bez pieniędzy, bez fachu, bez stosunków. Jakimś cudem znalazłem pokój na Batorego 14, u prze-

miłej i bardzo dystygowanej wdowy, pani Komierowskiej, która miała trzy piękne córki, starsze ode mnie; byłem zresztą skromny i nieśmiały, i poza głębokimi ukłonami nie wymieniłem z nimi bodaj że nigdy ani słowa. Znalazłem też, jak wszyscy niemal studenci w owych czasach, ucznia gimnazjalnego, któremu dawałem korepetycje. Był to wałkoń, i nie mam pojęcia co się z nim później stało; musiał utonąć, jak tylu innych, w zupełnym anonimacie.

Mój pierwszy kontakt z Uniwersytetem wypadł fatalnie. 7 października zaczęły się zapisy na nowy, pierwszy rok studiów, i kandydaci musieli osobiście zjawiać się z maturą i metryką u Dziekana. Owym dziekanem w roku 1921/2 był Kazimierz Kumaniecki, profesor prawa administracyjnego. Był to tęgi blondyn, raczej ryży, średniego wzrostu, z podkreślonym ryżym wąsikiem, trochę à la Wilhelm II. Czasy były ciężkie, wszystkiego brakowało, więc Kumaniecki nosił wówczas żakiet koloru jasnoniebieskiego. Był to jego strój urzędowy z czasów wojny, kiedy, zmobilizowany od pierwszej chwili, spełniał przez cztery lata funkcje szefa dworca kolejowego w Krakowie; stąd dowcipnie wśród studentów nazywali go często „Bahnhoffkomandant”. Z tym wszystkim był to zacy człowiek, i dobry, seryjny profesor, dobry i uczciwy bakałarz. Gdy dostał się przed groźne oblicze Dziekana, który przyjmował kandydatów pojedynczo, i wręczyłem mu moje papiery, moja matura zrobiła na nim dobre wrażenie, ale gdy spojrział na moją rosyjską metrykę, którą jakimś cudem wywoziołem z Ukrainy, zawrzał straszliwym gniewem: „Jakim prawem Pan się spodziewa, że ja mogę znać ten barbarzyński język, że mogę czytać ten ohydny alfabet?”. Przerazony, jak mało kiedy w życiu, wybełkotałem, że to nie moja wina, że w Rosji, i na Ukrainie, wszystkie metryki były po rosyjsku, że jestem gotów zrobić, na mój koszt, tłumaczenie. Kumaniecki ochłonął z gniewu, chwilę jeszcze sapał i prychał, a wreszcie powiedział: „No, niech pan mi pomoże przeczytać tę ohydę, porządna metryka powinna być po łacinie, od biedy po polsku, ale po rosyjsku! W jakich czasach żyjemy!” Kumaniecki z trudem sylabizował, ja mu podpowiadałem i gdy dojechał do zwrotu „dzie-dziczna szlachta I-ej kategorii” bardzo się uspokoił, i rzekł: „Jest Pan przyjęty, ale swoją drogą, niech pan zrobi oficjalne notarialne tłumaczenie swej metryki i dołączy je do aktów”. Tak zrobiłem. Oryginał mojej metryki powinien być dotąd w Dziekance Wydziału Prawa U.J. w Krakowie, bo nigdy jej nie odebrałem. Sam o tę metrykę nie dbam, a kogóż poza mną może interesować? Później z Kumanieckim miałem dobre stosunki, ale jego specjalnością nie interesowałem się, na jego wykłady chodziłem rzadko, na jego seminarium chyba nigdy. Byłem, jak wszyscy w Krakowie, zdziwiony, gdy Kumaniecki został w roku 1922 ministrem oświaty w gabinecie Nowaka (Juliana); oczekiwaliśmy wszyscy, że teka ta przypadnie Estreicherowi; podobno veto Narodowej Demokracji spowodowało w ostatniej chwili tę zmianę, na pewno dla oświaty w Polsce niekorzystną. Estreicher nie-

skończenie górował nad Kumanieckim, i to pod każdym względem. W ten sposób zapoznałem się już w zaraniu życia z jedną ze stałych i najmniej sympatycznych cech naszego polskiego życia, i to we wszystkich dziedzinach: z wrodzoną skłonnością Polaków faworyzowania znacznych nicości nad ludźmi o wybitnej inteligencji i większym formacie. Krótkotrwała kariera ministerialna Kumanieckiego dała w każdym razie jeden skutek: gdy wrócił do Krakowa, tytułowałem go zawsze, oficjalnie i prywatnie, Excellencją, co mu robiło szaloną przyjemność, dużo wolał „Excellencję” od „Pana Ministra”. *La politesse coûte peu, et on peut acheter beaucoup avec* — mawiał Talleyrand.

Rozpoczęły się wykłady; pamiętam pierwszy pochód inauguracji nowego roku szkolnego, z procesją Rektora, Profesorów i bedeli, a za nimi tłum studentów, zwanych w Krakowie „akademikami”, z kościoła św. Anny do Collegium Novum, do Auli, gdzie nowy Rektor, Stanisław Estreicher, wygłaszał mowę doroczną, zakończoną tradycyjnym „*Quod felix, faustum, fortunatumque sit*”. Na tle szarej Polski, już sproletaryzowanej i potwornie ubogiej, gronostaje Rektora, togi i birety profesorów były jakby dalekim echem starych tradycji i szczęśliwszych czasów. Rozpoczęły się wykłady, pierwsze seminaria, pierwsze poznania się. Byłem straszliwie samotny. Krakowianie znali się nieraz ze szkół, albo z wakacyj, ja byłem wszystkim obcy. Ale zamiast opisywać moje *états d'âme* — jak mawiał pogardliwie śp. Georges Pompidou — co nikogo nie obchodzi, nawet u poetów, literatów i mężów stanu, a cóż dopiero u wyrobnika dziennikarskiego, — wolę omówić program studiów. Była to wówczas na wydziale Prawa wielka innowacja. Studenci na tzw. „starej ordynacji”, czyli zapisani PRZED jesienią 1921 roku, zdawali u końca studiów tylko trzy tak zwane rygoroza, i to jednocześnie, z całego programu studiów; to znaczy nie było dorocznej kontroli studiów, a dopiero po ukończeniu całości cyklu studiów; w rezultacie studenci prawa nic nie robili przez trzy lata, a „kuli” tylko przez rok ostatni. Cały ten system, zdaje się że odwieczny, nie miał cienia sensu, tym bardziej w okresie powojennym. Nasi koledzy, o rok albo dwa starsi, byli zapisani przeważnie jeszcze na „starą ordynację”, a ci, którym wojna przerwała studia, więc prawie wszyscy Legioniści, a także ci co służyli w wojsku austriackim, albo w wojsku polskim w latach 1918-20, korzystali z reguły z przywilejów „starej ordynacji”, gdzie trzy rygoroza dawały automatycznie tytuł Dr. Praw, bez konieczności pisania i bronięcia tezy doktorskiej. Studia na „starej ordynacji” były mało co warte nawet w najlepszych wypadkach, a w wypadku kolegów byłych wojaków — specjalnie oficerów, specjalnie Legionistów, którzy byli w Krakowie przez profesorów faworyzowani — były czystą formalnością. Pamiętam taki egzamin z prawa rzymskiego jednego z naszych dobrze od nas wszystkich starszego kolegi, bardzo zresztą sympatycznego, doskonałego żołnierza, inwalidy, inteligentnego człowieka, poza tym miłego i koleżeńkiego, który przybył na egzamin z prawa rzymskiego w mundurze, z Vir-

tuti i całą baretką innych odznaczeń. Prof. Stanisław Wróblewski, brat naszego pośła w Londynie, prezes (późniejszy) Akademii Umiejętności, prezes (późniejszy) Komisji Kodyfikacyjnej, z reguły bardzo wymagający, zwrócił się do kandydata słodko i uprzejmie: „Panie Majorze, czy mógłby pan coś powiedzieć o Pandektach Justyniana?”. „Pandekta Justyniana, to kodeks prawa rzymskiego” — odparł dziarsko i z entuzjazmem kandydat. „Doskonała odpowiedź” — replikował z miejsca Wróblewski — „a byłoby oczywiście kodeks jakiego prawa?” — kontynuował. „Prawa cywilnego” — znowu dziarsko i stanowczo odpowiadał kandydat. „Świetna odpowiedź” — mówił Wróblewski — „widzę, że się pan wybornie orientuje w prawie rzymskim, dalszy egzamin byłby zbyteczny, jest pan przyjęty, życzę panu wszelkich sukcesów w życiu. Do widzenia”. Kandydat stuknął obcasami, czerwony z radości, zasalutował, uściśnął rękę profesora, i na tym się skończyło. Ten Doktorat przydał się później w życiu temu jakże sympatycznemu kandydatowi. O ile nagradzanie dzielnych żołnierzy stanowiskami ministrów czy dygnitarzy jest zawsze bardzo złą polityką, o tyle dawanie im sutych emerytur i ułatwianie im dyplomami „przejścia do cywila” jest obowiązkiem społeczeństwa wobec swych obrońców. Dotąd uważam, że stanowisko profesorów UJ. wobec Legionistów i żołnierzy 1920 roku zasługiwało na całkowite poparcie; ale dla mojego, już powojennego rocznika, zupełnie inne, dużo surowsze podejście do studiów było absolutnie konieczne.

Tzw. Nowa Ordynacja, którą właśnie na nas wypróbowywano, stanowiła poprawę w stosunku do poprzedniej, ale dzisiaj, *ex post*, wydaje mi się błędna; nie wyrobiła ona w niepodległej Polsce klasy naprawdę poważnych prawników, szczególnie w administracji, w sądownictwie, w prokuraturze, w polityce — klasy, której każde państwo potrzebuje. A i to sytuacja w Krakowie była bez porównania lepsza, niż na innych uniwersytetach, zwłaszcza w byłym zaborze rosyjskim, gdzie żadnej tradycji prawa, jako reguły nadrzędnej, obiektywnej, niezależnej od partii u władzy, ani też tradycji państwa, jako związku prawnego, ani praworządności nie było. Była Galicja była prowincją praworządną, Królestwo, tym bardziej, Kresy — nie. Gdy byłem studentem, antagonizm prawników galicyjskich do prawników byłego zaboru rosyjskiego był niesłychanie silny, i to nie tylko wśród profesorów, ale także w sądownictwie, w prokuraturze, w Komisji Kodyfikacyjnej. Wróblewski, Fierich, Zoll mogli godzinami rozprawiać, ile się namęczyli, by polemizować z prawnikami z byłego zaboru rosyjskiego o „domowym wykształceniu”. „Politycy”, a więc Jaworski, Estreicher, Krzyżanowski wołali co dzień o „niepraworządności”, o nieuctwie, o pomieszaniu wszystkich pojęć prawnych, o pisaniu konstytucji, ordynacji wyborczej, ustaw, rozporządzeń na kolanie. Dotąd jestem najgłębiej przekonany, że najgorsze skazy naszej historii prawnej międzywojnia — jak Brześć i Bereza — były wynikiem nie tyle jakiejś specjalnej złej woli czy sadyzmu marszałka Piłsudskiego, ile faktu, że i on sam,

i jego ministrowie, sprawiedliwości czy spraw wewnętrznych, pochodzili z zaboru rosyjskiego, czyli z zaboru, gdzie NIKT i NIGDY, od cara w dół, od czasów Monomacha, nie miał i nie ma najmniejszego pojęcia o prawie i o praworządności. Co dopiero musi dziać się dzisiaj, po blisko 30 latach rządów rosyjskich w Polsce! I po 30-tu latach uczenia rosyjskich ustaw i pojęć prawnych w szkołach i na uniwersytetach! Całe życie polityczne w Anglii, we Francji, w NRF, we Włoszech, w Szwajcarii etc. jest oparte na założeniu, że i politycy, i cała biurokracja, to są doskonali, wytrawni prawnicy, mający we krwi majestat prawa; a któż w krajach rządzonych przez Rosję może nawet mówić o majestacie prawa, gdy w nadstolicy wielkorządcy tego imperium rządzą tylko sadyzm satrapów, albo intrygi ich otoczenia.

Nowa ordynacja studiów na wydziale prawnym opierała się na wykładach, a w dużo mniejszym stopniu — w praktyce tylko dla nielicznych wybrańców, znikomej ilości studentów — na seminariach i na pracach seminaryjnych; na czterech dorocznych, publicznych egzaminach, wyłącznie ustnych, a nie piśmieniowych; na programie zbyt obszernym, obejmującym nie tylko wszystkie domeny prawa, co i tak jest za dużo, ale i ekonomię, która powinna była stanowić wydział oddzielny; na braku asystentów, których pod koniec moich studiów było trzech, a powinno było ich być od początku co najmniej 10 razy więcej; na absolutnym braku jakiegokolwiek praktyki prawnej w czasie studiów. W ciągu czterech lat studiów w Krakowie (doktorat zrobiłem, jako ekstern, nie mieszkając w Krakowie) ani razu nie byłem w sądzie, czy na rozprawie sądowej, ani razu nie zwiedziłem więzienia, ani razu nie pracowałem w kancelarii adwokackiej, czy w starostwie, czy w jakimś Trybunale, czy w magistracie. Podobnie wyglądał los wszystkich moich kolegów. Najpilniejsi z nas, najzdolniejsi, byli nafaszerowani książkami, podręcznikami, studiami, wykładami, egzaminami, ale z konkretną praktyką i życiem prawnym nikt z nas nie zapoznał się na ławie uniwersyteckiej. Każdy z nas, magistrów i doktorów prawa — nie byłby w stanie napisać pozwu, czy sprawozdania komisarza policji, czy rekursu przeciw decyzji administracyjnej. Byliśmy *de facto* kandydatami na nowe pokolenie profesorów i wykładowców, ewentualnie ludzi, jak to się mówi kulturalnymi, o pewnej kulturze ogólnej, często znacznej, szczególnie historycznej. Mnie osobiście ogólna znajomość zasad prawa w mojej późniejszej pracy, głównie dziennikarskiej, przydała się, ale nie jestem żadnym fachowym prawnikiem, *un homme du métier*. Nasze studia były przede wszystkim przeładowane historią. Osobiście mogę się z tego cieszyć, bo gust do historii zachowałem po tych studiach krakowskich na całe życie i znajomość historii dała mi dużo więcej przyjemności, wiadomości i korzyści, niż lektura poezji czy powieści.

Oto jaki był program I-go roku Prawa. Trzy podstawowe przedmioty: Prawo Rzymskie, Historia Prawa Polskiego, i Historia Prawa Zachodnio-Europejskiego. Do tego, na przyprząskę,

„Filozofia Prawa”, pod którym to terminem każdy wykładowca rozumiał co chciał; czego innego „uczył” Jarra w Warszawie, a czego innego stary, poczciwy Brzeziński w Krakowie. Ten ostatni zawsze dość mierny bakałarz, był już bardzo stary, więc w praktyce nikt jego wykładów nie słuchał, tym bardziej, że nikogo przy egzaminie nie ścinał. Adam Heydel miał rację, gdy twierdził, że zamiast „filozofii prawa”, pojęcia mętnego, trzeba było wprowadzić nauczanie logiki, a poza tym pojęć filozoficznych o roli państwa, jednostki, przymusu, ustroju społecznego; tutaj wykłady o marksizmie (i, oczywiście, o heglizmie, z którego i marksizm i faszyzm się wywodzą) byłyby znacznie bardziej na miejscu, niż przy nauce Ekonomii, do której Marks nic konkretnego i realnego nie dodał, choć był na pewno wielkim filozofem i bardzo nowatorskim teoretykiem historii. W każdym razie nasz pierwszy rok studiów był poświęcony w praktyce wyłącznie studiom historycznym. Otóż *ex post* uważam, że był to błąd; Prawo Rzymskie ma rzeczywiście kolosalne znaczenie, jako gimnastyka umysłowa, i jako pra-źródło każdego prawa cywilnego na świecie; ale historia ustroju polskiego nie miała w XX wieku żadnego praktycznego znaczenia, a tym bardziej polskie prawo cywilne w Polsce przedrozbiorowej, czy w czasie zaborów. Podręcznik i wykłady Kutrzeby zajmowały się np. bardzo obszernie kwestią uwłaszczenia chłopów w XIX wieku, co w roku 1922 już nie miało najmniejszej aktualności. Katedrę Kutrzeby, i jego asystenta Grażyńskiego, trzeba było przenieść od zaraz na wydział „filozoficzny”, jak wówczas (błędnie) mówiono, czyli na wydział humanistyczny, jakbyśmy powiedzieli dzisiaj. Studenci prawa, interesujący się tymi sprawami, mogliby oczywiście uczęszczać także na wykłady czy nawet seminaria Kutrzeby, ale bez konieczności studiowania i zdawania egzaminów z tego przedmiotu. Ja sam napisałem długą pracę seminaryjną dla Kutrzeby o prawie zastawu w Statucie Litewskim, bo byłem jednym z bardzo rzadkich studentów, którzy znali cyrylicę i mogli czytać ów „volapück” białorusko-polski, w którym ten Statut został spisany. Całe to studium i cały ten Statut, nic mi absolutnie nie dał; dla prawnika nie miał on nigdy żadnego znaczenia; był to folklor i ciekawostka regionalna, nic więcej. Prawo Zachodnio-Europejskie wykładał Streicher, który był wielokrotnie lepszym stylistą, mówcą i większą posiadał inteligencję od Kutrzeby. Te wykłady, to była po prostu zmieniona nazwa nauki prawa niemieckiego, która obowiązywała w Austro-Węgrzech. Obejmowały one pół-na-pół średniowieczne prawo germańskie, względnie francuskie, następnie historię ustroju, poglądy Rousseau i Monteskiusza etc. Tak więc była to znowu historia, która powinna być wykładana razem z innymi przedmiotami z zakresu historii. Moim zdaniem dla kultury prawniczej duże znaczenie ma prawo rzymskie, a średniowieczne żadnego. Ale Kraków był pod wpływem niemieckim, przepojony mediewalistyką. Te studia, umiłowane przez romantyków, na pewno nie ułatwiały zrozumienia czasów nowoczesnych. W każdym razie poświęcenie roku czasu

na studia czysto historyczne, niepotrzebne w życiu praktycznym *pour apprendre son métier*, wydaje mi się dzisiaj dobre dla nielicznej elity (a i to bez prawa polskiego i zachodnio-europejskiego), ale zbędne dla tych, którzy chcieli z dyplomu prawniczego żyć i zarabiać. Nasi biedniejsi koledzy — inteligencja w pierwszym pokoleniu — gorzko się skarżyli na te studia na I-ym roku. „Panie, chleba to prawo rzymskie mi nie da, a o tych statutach litewskich, to w ogóle nie warto mówić”, skarżyli mi się koledzy polscy i żydowscy, którzy na wykłady nie chodzili, a studiowali do egzaminów z „bryków” i dojeżdżali do Krakowa tylko na do- roczne egzaminy. Jedynym plusem było to, że na końcowych egzaminach 1. roku wielu tych młodych ludzi, którzy nie wiem jakim cudem załapali maturę i nie dorastali do poziomu uniwersyteckiego — odpadało; zwłaszcza Estreicher ścinał niemiłosiernie, i arcy-słusznie dodawał: „Pan nie ma umysłu prawniczego, pan się na prawnika nie nadaje, niech pan poszuka uczciwego rzemieślnika, żadna praca nie hańbi, ale raz jeszcze: na prawnika się pan nie nadaje”. Święte słowa. Było nas tysiąc słuchaczy na I-ym roku Prawa; już na drugim roku tylko 250, doktorat z mego rocznika uzyskało najwyżej 50-ciu, a wybiło się może 20-tu, chyba nie więcej.

Na drugim roku obowiązującym przedmiotem było prawo kościelne — znowuż ważne dla specjalistów, dla historyków, ale w XX wieku właściwie nieaktualne i niepotrzebne. Pamiętam, że sobie kupiłem kodeks Prawa kanonicznego, ogłoszony przez Papieża Benedykta XV w roku 1917, oczywiście w tekście łacińskim, i brylowałem cytowaniem po łacinie bodajże całego prawa małżeńskiego, ale to była zabawa, która nie miała nic wspólnego z poważną nauką prawa. Poza tym na II-im roku studiowaliśmy prawo konstytucyjne i prawo międzynarodowe; konstytucję wy- kładał wielki Władysław Leopold Jaworski, głównie w domu, bo ciągle chorował, a ja byłem jego głównym i ulubionym uc- zniem. Nigdy większego i lepszego prawnika w życiu nie spotka- łem, i nigdy nie uwierzę, by w Polsce można było jakiegokolwiek prawnika z nim choćby z daleka porównać. Jaworski już w roku 1922 przewidywał, i ogłosił to drukiem, że konstytucja marcowa z roku 1921, uniemożliwiająca jakkolwiek rząd, a ordynacja wy- borcza jakkolwiek większość, musi doprowadzić do zamachu wojskowego, co się sprawdziło. Prawo międzynarodowe wy- kładał Michał Rostworowski, który nie dorównywał Jaworskiemu subtelnością umysłu, ale był znakomitym pedagogiem; jego wy- kłady miały dar prostoty, jasności i zwięzłości. Ale na II-im roku już królowała ekonomia, którą wykładał Adam Krzyżanowski. Od II-go roku prawa zdradziłem prawo na rzecz ekonomii, i już nigdy do prawa nie powróciłem. *Ex post* uważam, że nauki ekono- mii i prawa trzeba rozdzielić; ekonomiści muszą znać elemen- ty prawa, podstawowe pojęcia prawne, ale nie ma żadnego po- wodu, by im faszerować głowę artykułami kodeksu cywilnego czy procedury cywilnej. W nauce ekonomii, historia doktryn ekonomicznych znowu zajmowała dużo za dużo miejsca; nauki

były zanedo teoretyczne, żadna praktyka nie uzupełniała w cza- sie wakacyj studiowania teorii. Na swoich seminariach Adam Krzyżanowski skłaniał nas do studiowania polityki ekonomicznej czołowych państw Zachodu, z Anglią na czele, bo Krzyżanowski był wielkim anglofilem i jej politykę ekonomiczną uważał za naj- lepszą — co w okresie ówczesnej galopującej inflacji w Niem- czech, w Polsce etc. było stokrotnie słuszne. Poza tym Krzyża- nowski cenił wysoko ministra skarbu czeskiego, Raszina, i był pe- ten uznania dla stabilizacji waluty austriackiej pod egidą Ligi Narodów. Pamiętam, jak kiedyś chciałem się popisać na jakimś seminarium Krzyżanowskiego moją znajomością spraw ekono- micznych w Rosji, i coś bąknąłem na temat Wittego. Krzyżanow- ski spojrział na mnie ze zgorzeniem, i powiedział: „Panie, któż może się interesować polityką dziczy rosyjskiej?”. Dałem spokój na całe życie.

Na III-im roku studiowaliśmy prawo karne, skarbowość, pra- wo administracyjne, statystykę, procedurę karną, prawo handlo- we i czekowe, a cały IV rok był poświęcony prawu cywilnemu i procedurze cywilnej. Oczywiście cały porządek powinien być być odwrotny; już pierwszy rok studiów powinien być być po- święcony studiom, obok prawa rzymskiego, kodeksu cywilnego i procedury cywilnej; ostatecznie cywilistyka jest podstawą pra- wa, a procedura podstawą całego ustroju sądowego.

W latach dwudziestych nikt na świecie nie zajmował się pro- blemem nadmiaru dyplomów, nadmiaru studentów, brakiem „ryn- ków zbytu” dla studentów i słuchaczy szkół wyższych. Istotnie brakowało Polsce inżynierów, techników, specjalistów, nawet nau- czycieli. Ale w Krakowie już istniał nadmiar prawników. Takiej ilości tabliczek z nazwiskami adwokatów, co w Krakowie, nie spotkałem nigdzie na świecie, poza Bułgarią, i to dopiero koło roku 1936. Za moich lat studenckich uważano, że wydział prawa wychowuje trzy kategorie słuchaczy: kandydatów na profesorów prawa i polityków — ci się rekrutowali z rodzin krakowskich, szlacheckich albo patrycjuszowsko-mieszczkańskich, i stanowili z miejsca elitę; potem szli kandydaci na sędziów i urzędników pro- kuratorii generalnej, następnie kandydaci na adwokatów. Tych adwokatów było wszędzie za dużo. I tak we Francji było ich 40 tysięcy przed wojną, jest ich 8 tysięcy dzisiaj. Moim zdaniem znaczenie sądów i adwokatów było u nas — i zresztą na całym świecie — grubo przesadzone. Rola adwokata cywilnego jest nie- wielka, nie wpływa on na decyzje sędziów; tak samo niewielka jest rola obrońców sądowych. Prawo karne zależy od ogólnych nastrojów: raz społeczeństwo jest wyrozumiałe, raz zbyt surowe, i wpływ obrońców na te nastroje jest niewielki. Właściwie praw- nicy są w olbrzymiej większości kandydatami na urzędników; od ich wykształcenia i wyczucia prawnego zależy wartość klasy urzędniczej, wartość biurokracji. Wszyscy urzędnicy minister- stwa spraw wewnętrznych, policji, samorządów, etc. powinni mieć ukończone studia prawnicze. Dostęp do hierarchii przerna- czony do wyższych stanowisk (we Francji te grupy stanowią

les grands corps constitués) powinien być uzależniony od zdania egzaminów wstępnych konkursowych, i egzaminów ostatecznych, również konkursowych, by być wreszcie do takich „ciał” przyjętym (*Corps préfectoral* we franc. min. spraw wewn., *inspecteurs des finances* w ministerstwie skarbu, etc.). We Francji ktoś kto nie należy do *Corps préfectoral* nie może dojść do rangi prefekta ani nawet podprefekta, a każdy, kto się do tego *Corps préfectoral* dostał, nie może być przeniesiony na emeryturę, zanim rangi prefekta nie otrzymał. Jeżeli zajmuje inne stanowisko — np. deputowanego czy ministra — lata starszeństwa i emerytury liczą mu się dalej; i co najważniejsze członkowie innych dykasteryj, także z wojska, nigdy nie mogą zajmować normalnych stanowisk hierarchicznych, zarezerwowanych dla danej kategorii. Tak np. pułkownik czy generał nigdy nie może być we Francji prefektem, albo szefem policji, itd. Państwo jest związkiem prawnym, jest istotą prawną, poza prawem państwa nie ma; państwo przemawia do obywateli, wydając ustawy i rozporządzenia; wszystkie inne deklaracje, to są pogaduszki kawiarniane, oto były zasady, którymi w Krakowie wielcy profesorowie inspirowali swych uczniów, dając im podstawy zachowania się i rozumowania na całe życie. Państwo prawne jest zaprzeczeniem państwa totalnego i państwa partyjnego. Każdy ustrój, w którym urzędnik ma być sługą partii u władzy, obojętne faszystowskiej, socjalistycznej, czy innej, nie jest urzędnikiem, nie jest sługą prawa, jest narzędziem bezprawia i tego, co Rosjanie tak świetnie nazywają *praizwoł*.

Studia prawne w Polsce dzisiejszej — albo raczej jutrzejszej, kiedy nasze programy będą wreszcie całkowicie wolne od barbarii rosyjskiej, będącej zaprzeczeniem wszelkiego prawa — powinny być ograniczone do lat trzech, podzielone na studia prawne i ekonomiczne, połączone z obowiązkowymi, bardzo ciężkimi praktykami w sądach, administracji, policji, więziennictwie, prokuraturze, samorządach, biurach adwokackich i radców prawnych, względnie, dla studiujących ekonomikę, w bankach, urzędach podatkowych, akcyzie, urzędach celnych, handlu, przemyśle, transporcie, ubezpieczeniach, w handlu zagranicznym itd. Żadnych wakacyj; ledwo egzaminy są skończone, od razu wio, do praktyki, i tam orać od świtu do późnej nocy. Poza tym każde studia uniwersyteckie muszą być uzupełniane poważną nauką co najmniej jednego zachodniego języka a raczej dwóch — w takim wypadku jednym z tych dwóch może być łacina, którą uważam za absolutnie nieodzowny instrument gimnastyki umysłowej i kryterium zachodniej kultury. Nikt kto zna łacinę i ją kocha — tak jak powinno się kochać źródło każdej europejskiej kultury narodowej, z wyjątkiem oczywiście rosyjskiej i tureckiej — nigdy się nie zgodzi z barbarzyńską reformą konowałów, którzy, pod wpływem, może bezwiednym, cyrylicy skasowali literę „x”, istniejącą po łacinie, i używaną zawsze przez Mickiewicza, nikt się nie zgodzi na barbarzyńskie pisanie „dr” zamiast ogólnoswiatowego „Dr.”, i na tysiące innych pomysłów, absurdalnych, wstrętnych,

pochodzących prosto już nawet nie z Ciemnogrodu, ale z Niznego Nowgorodu czy innego Tambowa czy Wierchnie-Udinska. Nie ma ludzi cywilizowanych, kulturalnych, wykształconych, którzy nie władają przynajmniej dwoma językami. Ludzie mówiący tylko po polsku, czy tylko po angielsku, albo tylko po polsku i po rosyjsku, to są kaleki.

Trzyletnie studia prawnicze czy ekonomiczne, to wyłącznie nauczanie się rzemiosła, to poziom technika; nie powinny dawać one prawa do jakiegokolwiek dyplomu naukowego; tylko do świadectwa zdania egzaminów. Odpowiednik francuskich *Grandes Ecoles* i studiów konkursowych celem dostania się do *corps constitués* — to konieczność dla Polski, jak zresztą dla całego świata. Szalona różnica między administracją i politykami we Francji przed wojną i po wojnie, to głównie rezultat *Grandes Ecoles. Licencié en Droit*, to dzisiaj nic; ale *Polytechnicien* albo *Normalien* — to młodzi ludzie, dla których wszystkie kariery, wszystkie zaszczyty, wszystkie dostojeństwa stoją otworem. Można to nazwać „mandarynatem”: O.K. Można twierdzić, że to „nie-demokratyczne”: O.K. Nowoczesne państwo wymaga elit; te elity nie mogą być rasowe, ani dziedziczne, bo nasza egalitarna epoka tego nie zniesie, więc pozostaje tylko selekcja egzaminów i dyplomów. Selekcja „wierności” takiej czy innej partii, partyjce, takiemu to czy innemu „zbawcy”, „geniuszowi”, „wielkiemu człowiekowi”, faszyzmowi, czy socjalizmowi czy innemu „izmowi”, to są bzdury niegodne nawet minuty uwagi ludzi serio. Prawników powinno być nie za dużo, ekonomistów też nie może być za wielu, tym bardziej „socjologów”, pod którym to terminem kryje się głównie demagogia i ignorancja, ale ci, co są, czy chcą nimi być, winni dostawać dużo bardziej wymagające wykształcenie od tego, które było moim udziałem; a w Krakowie wymagania na wydziale prawa były wielokrotnie większe, niż na innych uniwersytetach w Polsce, zaś ja sam zdałem wszystkie egzaminy uniwersyteckie *summa cum laude*. A jednak uczyłem się za mało, i przebałagałem masę czasu. Inteligencja, w tym prawnicza i ekonomiczna w pierwszym rządzie, musi i powinna zrozumieć, że jest uprzywilejowana, że jako klasa musi dostarczać państwu kadr wyższej biurokracji i elity politycznej, bo ani oficerowie, ani bohaterzy, ani literaci, ani „ideolodzy”, ani partyjnicy, tacy czy inni, elity prawniczej zastąpić nie mogą. Ale z drugiej strony robotnicy i technicy, którzy są głównymi agentami produkcji, nie zgodzą się by ich nadal obdzierano ze skóry celem utrzymania mrowia kadr inteligentów, biurokratów i pracowników biurowych; liczba inteligentów i biało-kołnierzykowców musi być ograniczona, a więc wydajność i celowość pracy tej kategorii ludzi musi szalenie wzrosnąć. Każda zbyt liczna i licha biurokracja i inteligencja zawsze ńędźnie ginie.

O profesorach krakowskich i o niektórych moich kolegach napiszę oddzielnie.

„Czapką błazeńską nie można się kłaniać”

(RZECZ O ST. J. LECU)

7 maja bież. roku minęło osiem lat od śmierci Stanisława Jerzego Leca. Jest to może okres zbyt krótki dla określenia miejsca i znaczenia pisarza w literaturze. Wydaje się jednak, że był zjawiskiem niepospolitym. Urodzony we Lwowie w 1909 roku znany jest przede wszystkim w kulturalnym świecie jako autor niezrównanych maksym i aforyzmów. Niedoceniony pozostaje jako poeta i twórca fraszek.

Jeśli by przeprowadzić ankietę wśród najlepiej nawet zorientowanych czytelników, która z książek polskich ostatniego okresu tłumaczona była na największą ilość języków obcych, wątpię czy wielu wskazałoby „Myśli nieuczesane”. Jak zapewniają jednak ludzie świadomi rzeczy, liczba przekładów dawno już przekroczyła — dwadzieścia.

Satyryczna fraszka i aforyzm to rodzaje pisarskie trudne niejako *same w sobie*. A czym dopiero jest uprawianie ich w systemie totalitarnym? Obowiązuje tam przecież zalecenie Leca: *Bądź realistą: nie mów prawdy*.

W tym sensie sam Lec na pewno realistą nie był. Chciał — w warunkach najmniej temu sprzyjających — być satyrykiem bezkompromisowym. Wiedział, że zniewolenie myśli powoduje skarleńnię każdej formy twórczości; przede wszystkim zaś satyry. Najwymowniej świadczy o tym poziom sowieckiego *Krokodila* i warszawskich *Szpilek*. Nawiasem mówiąc, trudno się dziwić, że ani buntownicze „Myśli” — właśnie dlatego, że nie przybliżane — ani jego fraszki, nie dostały wątpliwego zaszczytu druku w powojennych *Szpilkach*, chociaż przed wojną należał do stałych współpracowników tygodnika, który był wtedy naprawdę pismem satyrycznym.

W Polsce od laty utyskuje się na brak zakrojonej na szerszą skalę satyry. Niektórzy tłumaczą to powszechnym przekonaniem, że w państwie komunistycznym satyra jest orężem w walce... A czy można się śmiać z oręża?

Znacznie głębiej sięgnął Lec w czterowerszu, otwierającym tomik wierszy „Do Abła i Kaina” (1961):

*Tam gdzie hiena jest znawcą śmiechu,
tuczony on jest na padlinie,
echo niesie się nisko
i przypomina nam jęk.*

Wspomnienia — własne i cudze

„Do Abła i Kaina” otrzymałem w styczniu 1962 roku z dedykacją: „Filipowi Istnerowi, który mimo wszystko na pewno wierzy w istnienie Kaina”.

Powiedziałem wtedy Lecowi, że właściwie nie oddzielał Abła od Kaina. Współistnieją w każdym z nas. Kto miał słuszość nie wiem do dziś.

Znajomość nasza trwała trzydzieści pięć lat. Sylwetka poety rysuje mi się najwyraźniej na tle przedwojennego Lwowa. Spotkaliśmy się pierwszy raz w tzw. „Świetlicy” przy Placu Smolki. Przychodziła tam lewicowa młodzież studencka, skupiająca się w tych latach wokół *Życia*.

Był chyba rok 1931. Wakacje. Wróciłem z pierwszego roku studiów w Czechosłowacji. Właśnie ukazał się (drugi nakład po konfiskacie) miesięcznik *Tryby*. Obok utworów Jana Śpiewaka, Leona Pasternaka, Jana Wyki były w nim wiersze St. J. Leca: „Z okna” i „Plakat”. Pismo w wyniku represji policyjnych przestało wkrótce wychodzić, a Lec przeniósł się do Warszawy. Współpracował z tygodnikiem redagowanym przez Leona Pasternaka. Tytuł pisma określał jego kierunek polityczny — *Lewar* (Lewica artystyczna).

W tym czasie rozpocząłem studia na Wyższej Szkole Dziennikarskiej. Zetknąłem się wówczas z grupą młodzieży literackiej: Jerzym Kamilem Weintraubem, Konstantym Anselmem (zapomnianym autorem skonfiskowanej *Klepsydry* — o której głośno było wtedy w Polsce), jego kolegą z grupy „Płonia” — Jerzym Pietrkiewiczem (zanim zaczął drukować w *Prosto z mostu*) i zupełnie zapomnianą pisarką Haliną Karpowicz.

W domu Weintrauba częstym gościem bywał, cieszący się wówczas sławą, głównie w kołach lewicowych, Stanisław Jerzy Lec. Pamiętam doskonale ówczesne rozmowy i spory. Zdumiewało mnie w jaki sposób autor ostrych, satyrycznych fraszek antyrządowych, znany z lewicowych przekonań, może łączyć z najbardziej radykalnymi poglądami tak daleko posunięty sceptycyzm wobec wszystkich świętości marksizmu. Mało tego, Lec wypowiadał poglądy, które wydawały się nie tylko anachroniczne i absurdalne, lecz wręcz śmieszne.

Przyjaciele mówili o nim — jedni z irytacją, inni z rozbawieniem — że jest ostatnim osobistym poddanym austriackiego cesarza, Franciszka Józefa I. Kiedy Stanisław Jerzy z przejęciem i zachwytem opowiadał o cudownej epoce Habsburgów, wyidealizowanej i przedstawionej w tonacji sielankowej, zawsze odnosiłem wrażenie, że kpi sobie po prostu ze słuchaczy. Przecież trudno było uwierzyć, aby marksista — a za takiego uchodził — wielbił monarchię.

Przecież to on napisał później: *Czy można do platfusów nosić ostrogi? Można. Ale nie należy nimi dzwonić. A on dzwonił bardzo donośnie.*

Pisząc o Lecu, nie unikam pokazania niektórych rysów groteskowych autora „Barw” (1933) i „Zoo” (1935). Sam był zdecydowanym wrogiem wszelkiego brązownictwa. Bardzo sobie zawsze cenił rangę „błazna”, głosząc: *czapkę błazeńską nie można się kłaniać*. Warto zresztą tu wspomnieć, że jego najbardziej autentyczne nazwisko LEC znaczy po hebrajsku — wesołek, błazen. I Lec szczylił się tym, mówiąc: „W dowodzie osobistym mógłbym wpisać nazwisko w rubryce — zawód”.

Nie zawsze można się było zorientować kiedy kpi, a kiedy mówi serio. Do dziś też nie wiem na pewno jak to było z jego sentymentami dla CK-Austrii. Jan Śpiewak, który poznał Leca na kilka lat przede mną, i poświęcił mu wiele miejsca w swoich wspomnieniach (*Przyjaźnie i animozje* — Warszawa, 1965), zapewnia że ten kult Austrii wynikał po trosze z tradycji domowej, po trosze zaś ze zwykłego snobizmu i chęci epatowania.

Lec pochodził z zamożnej, lecz podupadłej po śmierci ojca, rodziny właścicieli ziemskich. Majątek, położony nad granicą rumuńską, po wojnie stopniowo rozplynął się, ale pewne specyficzne nawyki pozostały. W początkowym okresie studiów na Wydziale Prawa UJK Lec — jak większość studentów — nosił grubą laskę, pykał fajkę, a ponadto (co najbardziej zaintrygowało Śpiewaka) w oku przyszłego autora „Myśli nieuczesanych” błyszczał autentyczny monokl.

Znałem fotografie austriackich rotmistrzów — pisze Śpiewak — ci, owszem, obowiązkowo — z monoklem, wyższe sfery też z monoklem, ale po kiego diabła mając osiemnaście lat paradować ze szkiełkiem w oku, to już nie bardzo kapowałem. Lec tłumaczył, że to tradycja rodzinna: wuj, stryj, dziadek. Niewolnik snobizmu dwojga imion najwyraźniej chciał nam imponować.

Pozwolę sobie ten nieco groteskowy wizerunek znakomitego kpiarza uzupełnić wydarzeniem nie mniej charakterystycznym.

Otóż spotykam kiedyś Leca w kawiarence PIW'u — było to w roku 64 albo 65, a więc na rok lub dwa przed jego śmiercią — i jakoś zgadało się wtedy na temat nazwisk. I oto Lec — sławny już wówczas, niemal klasyk i olimpijczyk — powiada: — A wiesz, jestem nie tylko dwojga imion, ale mam i dwa nazwiska. To drugie obok Leca nawet z tytułem baranowskim „De”. — Myślałem, że kpi. Wyczytał to z mojej twarzy i jednym ruchem dobył z bocznej kieszeni marynarki dowód osobisty. Istotnie mogłem przeczytać „De Touche” — a może jakoś inaczej — za to nie ręczę. I pomyśleć: gdzie i kiedy? — W Polsce Ludowej, Roku Pańskiego 1965...

Więc, jak widać, można być doskonałym poetą, najprzedniejszym aforystą i satyrykiem, a mimo to nie rozstawać się do końca dni swoich z najzabawniejszym snobizmem. Sądzę, że można by obecnie napisać rozprawę doktorską o tym ile to *mistrz lapidarnego paradoksu filozoficznego* napisał „myśli nieuczesanych” na podstawie autoanalizy, niejako — przeciwko sobie. I chyba to zaślepienie, i mądrość, i talent niezwyčajny,

złożyły się na jedyny w swoim rodzaju stop, który w rezultacie przedziwnej alchemii dawał Leca.

Wymyślony życiorys autentyczny

Dla wydawnictwa, które zwróciło się do poety w 1959 roku z prośbą by nakreślił zwięzły życiorys do zbioru „Z tysiąca i jednej fraszki”, Lec napisał:

*Moja biografia?
Każdy „życiorys własny” człowieka, wymyślony przezeń, jest autentyczny.
Autor przeżywał go tworząc, może intensywniej niż gdyby go „żył”.
Zanim się urodziłem byłem na tyle przezorny, że zapytałem:
— Kto teraz panuje?
— Franciszek Józef I.
Wtedy odważyłem się przyjść na świat, lekkomyślnie zapomniawszy zapytać: — A ileż latków liczy sobie monarcha? — Liczył ich sobie wówczas siedemdziesiąt dziewięć.
Co stało się później — wiecie dobrze sami.
Właściwie nie ma biografii pisarzy, są jedynie życiorysy utworów.
U twórcy, którego dzieła umierają, nie zaistniała chwila urodzenia.
A w ogóle może w całej biografii ludzkiej najprzyjemniejsze jest słowo: „żyję”?*

Lec niejednokrotnie mówił o umiłowaniu życia. Zagrożony nieuleczalną chorobą, nie ukrywał rozpaczy. Kiedy przyszedł rozgłos i sława, był już o krok od końca.

O światowym rozgłosie, uzyskanym dzięki „Myślom nieuczesanym”, pisze następująco:

*Tajemnica mego istnienia „pekła” dla szerszej ludzkości właściwie w chwili ukazania się pierwszego zagranicznego wydania „Myśli nieuczesanych”.
Ale owe drobne, wyżej podane fakty zdawały się sugerować, że istniałem już wcześniej. Rzekł mi raz ktoś, nie pamiętam, może nawet ja sam: „Jak ty żyłeś, przecież tego nie będzie można zamknąć w kilkukwierszowej wzmiance encyklopedii”.*

Nie doceniał sprawności redaktorów Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN. Można się z niej jednak dowiedzieć — ponad to, co już tutaj zostało powiedziane — że podczas wojny, jako członek GL i AL redagował konspiracyjne pisma: *Żołnierz w boju*, *Wolny Lud* i brał udział w walkach partyzanckich w Lubelskim; że wydał — poza wzmiankowanymi już utworami — tom wierszy „Notatnik polowy” (1946), „Rękopis jerozolimski” (1956), zbiory satyr i fraszek: „Satyry patetyczne” (1936), „Spacer cynika” (1946), „Życie jest fraszką” (1948). Twórczość aforystyczną i epigramatyczną reprezentują cykle sentencji „Myśli nieuczesanych” (1957-64) (ostatnie, IV wydanie w 1972 roku — F.I.); zbiory poezji: „Kpię i o drogie pytam” (1959), „Do Abła i Kaina” (1961), „List gończy” (1961), „Poema gotowe do skoku” (1964).

Tom VI Encyklopedii ukazał się w sierpniu 1965 roku. W dzie-

więć miesięcy później Lec umarł w koszmarach męczarniach w szpitalu. Nad ranem znaleziono na nocnym stoliku szpitalnym karteczkę. Z trudem odcyfrowano ostatnie słowa, ostatnią fraszkę: *A to heca — nie ma Leca.*

Życie i fraszka

Tom fraszek i satyr, wydanych w 1948 roku ma tytuł „Życie jest fraszką”. Dla niego fraszką nie było. Wyrósł wprawdzie w dostatku, ale — chyba przez przekorę — nie wybrał najłatwiejszej drogi. I to zarówno w okresie międzywojennym, jak i w Polsce nazywanej „socjalistyczną”. Podobnie jak większość pisarzy obciążonych „pochodzeniem”, cierpiał z powodu zastarzałych kompleksów, do których — mimo całego poczucia humoru — nigdy się nie przyznawał. Niepokorny i buntownik, budził zawsze wrogość ugrzeczniionych lizusów. Dlatego właśnie usiłowano lekceważyć poetę i jego talent. Szczególnie po wojnie. Bagatelizowano go jako wesołka i pajaca.

Najświetniejsze fraszki i *Myśli nieuczesane* szlifował uporczywie, w udręce, niekiedy nieprzeświadczony o ich celności. Odczytywał je chętnie znajomym i sprawdzał — uważnie patrząc na twarze — jaki wywołują efekt.

Na dwa, albo trzy lata przed śmiercią zgubił gruby brulion szkolny, zapisany tymi „Myślami”, które zapisywał zanim ostatecznie dojrzały. Chodził kilka miesięcy po mieście jak struty; przysiadł się w kawiarni do stolików znajomych i zrozpaczony zapewniał, że nie jest w stanie przypomnieć sobie ani jednej ze straconych „Myśli”. Już nigdy ich nie odzyskał. Ale wynalazł nowe. Zawsze zaskakiwały genialną prostotą. Pytano go: — Jak przebiega proces twórczy? Ile czasu mu trzeba na narodzenie się „Myśli nieuczesanej”? Oto odpowiedź: *Pytasz się piękna pani, jak długo się lęgną moje myśli? Sześć tysięcy lat, o urocza.*

Wiersze jego, o których pisano że przesyczone są sceptyczną refleksją moralistyczną, miały przeważnie również charakter epigramatów czy maksym. We wspomnianym już pośłaniu „Do Abła i Kaina” napisał: *Po długich targach z sobą / człowiek postanawia być. / Równocześnie / z identyczną decyzją / powziętą przez śmierć.*

Z tego samego tomiku:

Jeśli poeta / szarpie kraty, / nie mów: / Jakże inaczej / dźwięczą harfy!

O sytuacji pisarza i człowieka w ogóle w warunkach reżymu totalitarnego pisano niejednokrotnie. Powiedział kiedyś Lec o człowieku: *Człowiek — persona non grata.* Odnosi się to w jeszcze większym stopniu do satyryka, który postanowił zachować niezależność.

W ciągu sześciu lat — między rokiem 1950 i 1956 — Lec był skazany na ostracyzm. Nie drukowano go, przemilczano, nie wspomniano nigdzie jego nazwiska. To gnębienie, albo według

fachowego określenia „gnojenie” pisarza, trwałoby zapewne znacznie dłużej, gdyby nie pełen nadziei — niestety niezrealizowanych — „polski pałdziernik”.

Przyczyną bojkotu Leca była nie tylko obrazoburcza twórczość pisarza, która spotkała się ze szczególną wrogością wśród pozbawionych wszelkiego poczucia humoru dygnitarzy partyjnych, ale również pewien znamieny incydent. Otóż poeta, łączący zawsze w przedziwny sposób z lewicowością kult Franciszka Józefa i monarchii habsburskiej, usiłując ująć przed panującą w kraju atmosferą, z początkiem lat pięćdziesiątych zdołał uzyskać dzięki poparciu starych przyjaciół i znakomitej znajomości niemieckiego, stanowisko *chargé d'affaires* w Wiedniu. Tymczasem w kraju stalinizm przybierał monstrualne kształty. Leca z Wiednia odwołano, lecz zamiast do Polski, pojechał z rodziną do Izraela. Po pewnym czasie opuścił Tel-Aviv. Na temat swojego powrotu nigdy nie chciał mówić. Nastąpiło to w tajemniczych okolicznościach i ten powrót pozostaje dla mnie po dzień dzisiejszy sprawą nie całkowicie wyjaśnioną.

Po powrocie do Warszawy rozpoczął się dla Leca jeden z najtrudniejszych okresów w jego życiu. Pozbawiony możliwości druku i jakiegokolwiek pracy był bliski rozpacz. Znajomi go nie poznawali; przyjaciele starali się go unikać. Najboleśniej odczuł „Niebieską kartkę” Adolfa Rudnickiego w *Świecie*. Opisuje w niej autor „Żywego i martwego morza” jak to ludzie na starość parszywieją. Jaki to był wspaniały młodzieniec ten Lec (oczywiście nie wymienia nazwiska) piękny, czarnooki, smukły i absolutnie ideowy. I oto, co się z niego zrobiło na starość, porośnięte sadłem i... zdradził. Stoi więc przed witryną kawiarni na Nowym Świecie Rudnicki i smutnie duma nad ułomnością ludzkiej natury.

Najbardziej wściekał się Lec o ten młodzieńczy portret. Uznał go za całkowicie zmyślony: Czy pamiętasz abym kiedyś był smukły i piękny? — pytał mnie. Jak on może tak łącać.

W tym, tak trudnym, okresie, pisze Lec najbardziej przenikliwie i odkrywcze aforyzmy.

Trzeci stopień luksusu

Znawcy stosunków panujących w PRL-u zapewniają, że istnieją tam trzy stopnie luksusu: I — samochód, II — willa (nie wyklucza pierwszego), III — posiadanie własnego zdania (wyklucza stopień pierwszy i drugi).

Stanisław Jerzy Lec nie miał samochodu, ani willi. Za posiadanie własnego zdania odcierpiał swoje. Dopiero po śmierci autora i przetłumaczeniu „Myśli nieuczesanych” na wiele języków powiedzą o Lecu ci sami, którzy go dawniej lekceważyli i nie dopuszczali na łamy czasopism, że to aforysta genialny, nie mający w naszych czasach równego sobie, a także świetny, chociaż niedoceniony, poeta i fraszkopisarz.

Pierwsze wydanie „Myśli nieuczesanych” pojawia się w Polsce w wydaniu książkowym dopiero w 1957 roku. Przedtem ukazywały się na łamach ekskluzywnego czasopisma *Dialog* i od razu wywołały żywy rezonans. Dopiero jednak zebrane w książce wzbudziły prawdziwą sensację. Tłumaczono je wszędzie — tylko nie w krajach „socjalistycznych”. Długo usiłowano Leca przemilczeć. Wreszcie dokonano wyboru „Myśli” mniej buntowniczych i możliwie jak najdalej położonych od strefy polityki. Pierwsi zaryzykowali Czesi. Wybór czeski okazał się jednak nie dosyć skrupulatny. Po dłuższych targach z moskiewskimi opiekunami zostali zmuszeni do zniszczenia nakładu.



Trudno właściwie wyjaśnić na czym polega magia oddziaływania epigramatów i sentencji lecowych. Niewątpliwie uderza ich paradoksalność, oryginalność połączona z prostotą, lecz chyba głównie — wieloznaczność. Chociaż związane z Polską i stosunkami w PRL, łatwo są zrozumiałe za granicą i budzą podziw nie mniejszy niż w kraju. Ciekawa jest również nieprzemijająca aktualność jego fraszek.

W latach zaawansowanej już odwilży odbył się na Krakowskim Przedmieściu, w Związku Literatów Polskich, wieczór autorski Leca. Czujny cenzor wyeliminował wszystkie teksty, które wydały mu się nazbyt zuchwałe. Publiczność przyjmowała dowcipne — jak zwykle — utwory Leca z dużym aplauzem. Ale po odczytaniu fraszki poświęconej „elicie”, sala zatrzęsała się od oklasków: *Niechaj pamięta o tym elita — że śmietanka na deser zawsze jest bita.*

Przyczyn długotrwałej owacji nie trzeba tłumaczyć. Ale jak się to stało, że cenzura przepuściła tę fraszkę? W sposób bardzo prosty — Lec napisał ją jeszcze przed wojną przeciwko sanacji. Ale okazało się, że do rządzącej w PRL-u „śmietanki” pasuje jak ulał.

Anatomia fałszu

Nikt w Polsce nie godził tak celnie i tak dotkliwie w ograniczenie, tępotę i nieuctwo rządzących ciemniaków. We „Fraszko-braniu” znajdujemy na przykład tytuł: „Bardzo czarne sylwetki” — *Nie mityczna to sylweta — półbóg półanalfabeta.*

Tępiciele talentów i tropiciele odchyłeń chętnie przybierają pozę mecenasów sztuki. Rezultat? — *Czasem taki jest mecenat, że z pupila wkrótce denat.*

Nad fraszką: *Gdybyś wtajemniczeń stopnie / nie trzeszczały tak okropnie* daje tytuł: „Na pewno są z drzewa braku wiadomości”.

Ze szczególną satysfakcją zdiera maski. Jest doskonałym anatomem obłudy i wiwisektorem fałszu. We fraszce „Z kardiologii”

stawia następującą diagnozę — *Nie u wszystkich serca bicie / inne w dole niż na szczycie.*

O karierowiczach: *Zawsze dzielna ariergarda / jest w obronie karier twarda.*

Zwykle ślepym kurkom trafiają się ziarnka, a widzące głodne muszą iść do garnka.

Niezbyt przyjemnie być satyrykiem w społeczeństwie zastrachanych i milczących. Zwraca się więc „Do bliźnich”: *Ach cóż to za nierówna gra! Ja myślę głośno — a wy cicho sza.*

Cokolwiek pisarz powie — nie bez racji — budzi podejrzenie. W każdym słowie wietrzy się aluzję. Lec więc ostrzega: *Boisz się aluzji? Nie patrz do słownika! Bo tam każde słowo o czymś napomyka.*

Na zakończenie dwa dwuwiersze „Z tysiąca i jednej fraszki” (1959), które brzmią dziś wyjątkowo aktualnie:

„O mowie polskiej”
*Drętwą mowa nie brzmi pięknie
nawet wtedy kiedy zmięknie.*

„Oblicze”
*Prawdziwe oblicze ładu
widać dopiero od zady.*

Filip ISTNER

JUŻ UKAZAŁ SIĘ NOWY TOM

“NA WYSOKIEJ POŁONINIE”

Stanisława Vincenza

pt. **NOWE CZASY**

Cena: £ 4.00; \$ 12,00; F.franc. 48,00; fr.szw. 32,50;
DM 28,80.

Prosimy zamawiać w księgarniach polskich lub wprost w wydawnictwie Oficyna poetów:

Poets' and Painters' Press, 146, Bridge Arch,
Sutton Walk, London, S.E.1., Wielka Brytania.

Książki

Krótko o książkach

We wrześniu br. minęła 10-ta rocznica usunięcia Nikity Chruszczowa i dojścia do władzy Breżniewa. Trudno znaleźć bardziej odpowiedni moment, by zapoznać się z pierwszą obszerną biografią generalnego sekretarza.

John Dornberg — *Breschnew Profil des Herrschers im Kreml*. (Praeger, München, 1973). Nie łatwo jest pisać o wodzach sowieckich. Być może jeszcze najłatwiej o Leninie, bo na przykład jeśli idzie o pierwsze 37 lat życia Stalina — do rewolucji, nie ma żadnych dokumentów. Także Johnowi Dornbergowi, amerykańskiemu dziennikarzowi, nie udało się niczego zebrać: ani dokumentów, ani konkretnych faktów o życiu Breżniewa, a specjalnie o pierwszych jego krokach po drodze „na szczyt” — chociaż lata te są nam znacznie bliższe niż początek XX wieku, kiedy to do rewolucji dołączył Stalin. Zresztą i co do dalszej biografii Breżniewa jedynym źródłem są oficjalne publikacje. Niemniej książka jest interesująca. Dornberg umiał pokazać jak dzisiaj pojawiają się w Związku Sowieckim wodzowie i jak funkcjonuje system osobistych związków, znajomości, wzajemnej zależności — na wszystkich szczeblach partyjnej drabiny, co można porównać jedynie z mechanizmem Mafii. Zresztą — jak pisze Dornberg — otoczenie Breżniewa określane jest w kręgach kierownictwa partyjnego jako „dnieprowska mafia”: kariera Breżniewa rozpoczęła się w Dnieprodzierżyńsku i Dniepropietrowsku i gdy doszedł do najwyższej władzy stamtąd ściągnął swoich starych towarzyszy.

Kompilatorzy książki *The Soviet Economy in Regional Perspective* (Edited by V.N. Bandera, Z.L. Melnyk. Praeger Publishers, New York-Washington-London, 1973) podkreślają dominujące wśród zachodnich uczonych „makroekonomiczne” podejście

w badaniach nad sowiecką gospodarką, to jest tendencję, by ją traktować jako całość. Recenzowana książka stawia sobie za cel wypełnienie luk i danie konkretnej analizy sytuacji ekonomicznej i ekonomicznego wkładu poszczególnych regionów Związku Sowieckiego. Do książki włączono np. prace — Gertrude E. Schroeder — *Regional Differences in Incomes and Levels of Living in the USSR*; F. Douglas Whithouse — *Demographic Aspects of Regional Economic Development in the USSR*; Oleg Zinam — *The Dilema of specialization Versus Autarky in the USSR: Issues and Solution*, Zapoznanie się z tymi pracami wykazuje zwłaszcza jak trudno jest zrozumieć problem narodowościowy w Związku Sowieckim nie mając pojęcia o sytuacji ekonomicznej poszczególnych republik i regionów. Książka ujawnia również jak powiększa się przepaść między „ideologicznym systemem rządów” a ekonomiczną efektywnością. Na specjalną uwagę zasługuje artykuł Wsiewołoda Hołubniczego *Rola przestrzeni w gospodarce sowieckiej*. Rozpatrując zagadnienie powojennego rozwoju Syberii, autor dochodzi do wniosku, że obecny masowy „ruch na Wschód”, na Syberię, wynika nie ze względów strategicznych — zagrożenia ze strony Chin — ale z błędu w perspektywicznym planowaniu Politbiura, błędu takich rozmiarów i tego rodzaju, że dzisiaj nie można już nic zmienić. W. Hołubniczy wyjaśnia, dlaczego powzięto decyzję „marszu na Wschód” i demonstrowuje jak „brak zdrowej analizy gospodarczej” doprowadził do błędu, którego nie da się naprawić.

Można się zgadzać, albo nie z tą tezą — przedstawiona jest jednak w sposób przekonywujący — a przede wszystkim przekonująco wykazuje możliwość podejmowania tego rodzaju „woluntarystycznych” decyzji, opartych na ideologii a nie na matematyce.

Wolfgang Leonhard — *The Faces of Marxism. The Political Concepts of Soviet Ideology, Maoism and Humanist Marxism*. (Holt, Rinehart and Winston, New York-Chicago-San Francisco, 1974). Nie jest to książka naukowa, ale popularna historia procesu przekształcania się nauki Marxa w trzy „marksizmy”: ideologię sowiecką, maoizm i „humanitarny marksizm”. Zasadniczą część książki wyklada — na podstawie źródeł — polityczne koncepcje tych trzech „marksizmów”: od Marxa do Lenina, następnie do Stalina, Mao, Tito i Dubczeka. W końcowym rozdziale, reasumując wyniki, Leonhard rezygnuje z interpretacji tekstów i wyraża swoje poglądy. Stwierdza on w szczególności, że „stalinizm jest to odrzucenie wielu zasadniczych założeń leninowskich” lub że „maoizm cieszy się we współczesnych Chinach znacznie większą popularnością, niż sowiecki marksizm-leninizm w Związku Sowieckim”. Wreszcie wyraża wiarę w odrodzenie marksizmu, jako „marksizmu humanitarnego”. Na plus książki można zaliczyć: znaczną ilość miejsca poświęconego ewolucji marksizmu w krajach Europy Wschodniej, a specjalnie w Polsce, i bardzo dokładną bibliografię poruszanych tematów.

Książka amerykańskiego „pekinologa”, A. Doak Barnett, *Uncertain Passage* (The Brookings Institution, Washington, D.C., 1974) jest zatytułowana bardzo trafnie: „nieokreślone przejście”. Autor ponad tuzina książek o Chinach swoją ostatnią pracę poświęcił „przejściu Chin” w „erę po Mao”. Jako materiał posłużyły autorowi nie tylko liczne opracowania specjalistów, ale własne obserwacje poczynione w czasie pobytu w Chinach w roku 1972-1973. Wniosek, do którego dochodzi Barnett jest jednoznaczny: przewidzieć niczego nie można, wszystko jest bardzo „nieokreślone”. Zakłada jednak, że jest wątpliwe by Chiny w najbliższym czasie mogły przekształcić się w ekonomiczne supermocarstwo. „Przeciwnie — pisze — gospodarcza przepaść między Chinami i takimi krajami jak Japonia (nie mówiąc już o USA, czy Związku Sowieckim) będzie się powiększała”. Rozmyślania o przyszłej chińskiej polityce zagranicznej autor zamyka wnioskiem, że jeśli nawet problemy terytorialne między Chinami, Związkiem Sowieckim i Indiami nie zostaną rozwiązane, to „Pekin będzie dążył do ich ograniczenia, by uniknąć wielkiej wojny”. Autor przyznaje się, że znajduje się całkowicie zagubiony we mgle, jeśli idzie o zagadnienie „przyszłego chińskiego kierownictwa”.

Lord James Douglas Hamilton — *Histoire Secrète de la mission Rudolf Hess* (Robert Laffont, Paryż, 1972). We wszystkich sowieckich pamiętnikach z okresu wojny z Niemcami jak również w sowieckiej literaturze historycznej o tym okresie stwierdza się, że decydującym argumentem, który przekonał Stalina o przewrotności Anglików była ucieczka Rudolfa Hessa do Anglii 10-go maja 1940 roku. Po tym fakcie nie wierzył żadnym przestrogom o przygotowywanej napaści Hitlera na ZSSR. W doskonale napisanej książce angielski historyk, lord James Douglas Hamilton, szeroko wykorzystując archiwa niemieckie i archiwum swego ojca, księcia Hamiltona (do niego właśnie przyleciał Hess), udowadnia, że „misja Hessa” była rezultatem chorobliwej wyobraźni nazistowskiego lidera. Dobrze wykazano w książce jak rodzą się „decyzje wodzów” w państwie totalitarnym.

Historia „misji Hessa” i jej wpływ na przebieg wojny jest wymownym świadectwem irracjonalności, alogiczności w Historii — z dużej litery.

Marxismus und Formalismus (Herausgegeben von Hans Günther. Carl Hanser Verlag, 1973). Inną lekcją historii jest wydany w Niemczech zbiór „Marksizm i formalizm”, składający się z artykułów sowieckich marksistów, napisanych w latach 20-tych na temat formalizmu i które autor przedmowy i redaktor całości nazywa „pierwszym etapem współczesnego myślenia strukturalnego”. W książce zebrane są artykuły L. Trockiego, N. Bucharina, A. Łunaczarskiego, a także B. Eichenbauma, O. Briki, B. Arwatowa. Specjalnie interesujący jest artykuł Pawła Miedwiediewa „Dzieło sztuki jako fakt będący poza świadomością”. Mówiąc o „lekcji historii” przede wszystkim mam na myśli właśnie ten

artykuł. Dla zbadania „misji Hessa” trzeba było czekać otwarcia archiwów państwowych Niemiec i Wielkiej Brytanii. Natomiast dla zapoznania się z historią literatury sowieckiej najwidoźniejszą także trzeba czekać na udostępnienie archiwów. Sam fakt ogłoszenia w języku niemieckim artykułów marksistów, których nie można znaleźć w Związku Sowieckim jest charakterystyczny. Ale okazuje się, że zwykła publikacja jest niewystarczająca. Zamieszczony w antologii artykuł Pawła Miedwiediewa był napisany w swoim czasie (książka, z której ten artykuł pochodzi została opublikowana w 1929 roku) przez wybitnego historyka literatury Michaiła Bachtina, którego w końcu lat 20-tych zakazano drukować. Następnie, i rzeczywiście autor i ten który artykuł podpisał (na prośbę autora), poszli do łagru. Michaił Bachtin powrócił straciwszy nogę, Paweł Miedwiediew zginął. Być może jest to przyczyną niechęci prof. Bachtina do przyznania się dzisiaj do autorstwa tego artykułu.

Ale lekcja historii nie jest zakończona. Autor przedmowy i kompilator nie mówi o tym wszystkim ani słowa. Może dlatego że — jak widać z przedmowy — pociąga go bardziej marksizm niż formalizm.

A. K.

Aneksy do „Aneksu”

Rok temu zaczęło wychodzić na emigracji nowe polskie pismo — kwartalnik *Aneks*. Dotąd ukazały się już cztery numery tego czasopisma. Na obchodzenie jubileuszu to jeszcze za mało, ale dorobek jest na tyle dostateczny, by zorientować się, że nie jest to efemeryczny wyczyn młodych entuzjastów, że *Aneks* jest czasopismem, z którym warto podjąć dyskusję.

Wydawcami *Aneksu* są ludzie młodzi, niedawni studenci i doktoranci krajowych uczelni, aktywnie zaangażowani w ruch opozycyjny, który swój szczyt osiągnął wiosną 1968 roku. Po rozgromieniu ruchu studenckiego pewna ilość jego działaczy bądź została zmuszona do emigracji, bądź skorzystała z tej szansy, jaką dawała emigracja.

Istnieje polska (i nie polska) tradycja, na mocy której uchodźcy polityczni, natychmiast po rozbiciu namiotów, przystępują do działalności. Piszą, przemawiają, uchwalają rezolucje, tworzą organizacje, wybierają prezesów i zarządy. Tego więc oczekiwano

i od emigracji pomarcowej, zwłaszcza od jej młodej części. Tak się stało. Rozmowy i dyskusje w tym gronie nie owocowały tym, czego się wówczas spodziewano.

Piszę o tym, bo ma to istotne znaczenie. Emigracja polityczna po 2-giej wojnie światowej czeka na odmłodzenie, zarówno biologiczne jak i w zakresie znajomości problemów krajowych. Czekają tym bardziej, że drugie pokolenie emigracji wojennej w dużej części odeszło od działalności politycznej: statusu emigranta politycznego się nie dziedziczy. Niejednokrotnie obserwowałem, że podobnie jak pojawienie się młodzieży emigracyjnej zrodziło nadzieje, tak samo jej milczenie wywoływało gorycz i niechęć. (Zastrzegam raz jeszcze, że piszę o pokoleniu dwudziestolatków, całkowicie oddzielając problemy ludzi innych generacji).

Z perspektywy czasu ta kilkuletnia nieobecność staje się jednak logiczna i zrozumiała. Złożyło się na nią wiele przyczyn. Myślę, że aczkolwiek młodzi ludzie musieli uporać się ze swoimi — czasem dość skomplikowanymi — sprawami osobistymi, nie to było przyczyną ich milczenia. Sądzę, że najtrudniejszy dla nich problem był natury teoretycznej — dotyczył istoty działania. Pokolenie „marca” w Polsce buntowało się i było aktywne, ale był to bunt określony ramami istniejących w kraju warunków, te zaś nie zmuszały do tworzenia szerokiego i przemysłowego programu. Program „leżał na ulicy” — była nim krytyka i w krytyce tej ludzie się na ogół łączyli. Był to więc typowy program na *nie*: by prasa nie kłamała, policja nie biła, biurokracja nie niszczyła, cenzura nie knebłowała. Nie mam zamiaru lekceważenia programu negatywnego, gdyż w imię negatywnych postulatów młodzi ludzie nadstawiali często karku i przekreślali możliwość nie tylko tzw. kariery, ale i wszelkiej „znośnej” egzystencji.

Co więcej, urzeczywistnienie tych skromnie może brzmiących żądań też byłoby przewrotem, albowiem mieszcząc się w *subiektywnym* odczuciu w ramach naprawionego systemu, żądania te były *obiektywnie* przez system nie do przyjęcia.

To co wystarczało w warunkach krajowych, nie mogło jednak być treścią działalności na emigracji. Pomijam nawet fakt, że wraz z oddaleniem błędna konkrety krajowej codzienności. Na emigracji wyłonić się musiało pytanie o stosunek do *systemu* jako całości. Okazało się, że gdy znikło skrupowanie policyjne, wiele słów, a zwłaszcza samo pojęcie *socjalizm*, nabrało nieokreślonego charakteru, a subiektywna interpretacja nadawała pojęciom, dawniej nie podlegającym dyskusji, sens nie tylko rozbieżny, ale i sprzeczny. Używane dawniej określenia straciły znaczenie — odczuwano konieczność rewaloryzacji pojęć, o czym nie trudno przekonać się przeglądając dyskusje na łamach *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* lub czytając pracę Burby Kochańskiego „List do emigranta”.

Szokiem było także znalezienie się poza krajem. Konfrontacja

z innymi tradycjami, systemami myślowymi, ustrojami politycznymi musiały prowadzić do nowych wniosków, które nie od razu mogły się ułożyć w system. Polocentryzm panujący w kraju, zderzył się z zachodnim podejściem do systemu sowieckiego jako całości. Zderzenie się polskości z innym światem sprawiło, że odczucie fenomenologicznej wyjątkowości polskiej zaczęło się kłócić z koniecznością spojrzenia obejmującego całość zagadnienia. Pojawiła się też konieczność weryfikacji przywiezionych poglądów, zbyt wąskich i niesprawdzonych.

O ile w kraju największe znaczenie posiadało działanie „konkretne”, o tyle wartość emigracyjnych „konkretów” jest nikta. Tu odwaga dewaluuje się, a rośnie cena myślenia.

Wyrazem emigracyjnego dojrzewania była koncepcja *Aneksu*. Zapowiadając ukazanie się pierwszego numeru redaktorzy uznali za potrzebne „... wyraźnie powiedzieć, że nie mogą i nie zamierzają agitować, czy przekonywać”. Za cel postawili sobie inne zadanie: Każdy, interesujący się wydarzeniami politycznymi, może w Polsce — przy odrobinie wysiłku — zdobyć wiadomości pochodzące z Wolnej Europy; mimo przeszkód stawianych przez władze, za pośrednictwem *Kultury* dociera głos polskich intelektualistów — ale informacja o współczesnej myśli społecznej dochodzi do Polski i do innych krajów bloku z wielkim trudem i jej odbiór ograniczony jest do bardzo wąskiej grupy. Jestem wystarczająco „świeżym uchodźcą”, aby zdać sobie sprawę z popytu na ten rodzaj informacji, niezbędnej dla przełamania izolacji i zaścianowości. Z koncepcją informacyjną nowego pisma łączy się następująca deklaracja: „Współpracownicy *Aneksu* różnią się poglądami, identyfikują się z różnymi ideologiami, rozmaicie oceniają obecną sytuację w Polsce. Łączy nas natomiast wiara, że nie może być nowoczesnej świadomości politycznej, nie może być racjonalnej postawy wobec najważniejszych spraw kraju i emigracji bez poznania poglądów, ocen, analiz i programów z różnych tradycji i odmiennych ideologii się wywodzących”.

Kilka lat temu obserwowałem w przyzwoitej odległości próbę wejścia w aktywne życie polityczne *innej* grupy młodzieży. Zaczęto od równie ostrej jak i gołosłownej negacji dorobku emigracji. I na tym skończono. Piszę o tym dlatego, by podkreślić, że grupa *Aneksu* w pierwszym zeszycie swego pisma podkreśliła łączność z działalnością polskiej emigracji politycznej — zwłaszcza z dorobkiem *Kultury* i polskich socjalistów. Określając się jako emigracja polityczna, grupa *Aneksu* stwierdziła, że z takiej definicji „... wynika moralny i polityczny nakaz aktywnej opozycji wobec panującego systemu”.

Można uważać za paradoks, że młodzież wywodząca się w dużej części z grup i tradycji komunistycznych przejmuje szafetę walki przeciwko sowietyzmowi, ale jest to paradoks jedynie pozorny. W zjawisku tym ujawniają się główne problemy epoki. Zwracam szczególną uwagę na ten fakt, gdyż zdają sobie sprawę, że odmiennosc środowisk i tradycji może być zasadniczą prze-

szkodą do porozumienia między ludźmi, nawet jeżeli ich dążenia są sobie bliskie, lub nawet — identyczne.



Kilka słów o dorobku *Aneksu*. Na 600 dotychczas opublikowanych stron składa się około 40 prac. Mnie zainteresowały szczególnie rozprawki Huntingtona, Dżilasa i Arona. Za jeden z najlepszych zestawów tematycznych uważam artykuły Koestlera, Ulama, Moore'a i Kołakowskiego o marksizmie, jako nurcie myślenia utopijnego (*Aneks* nr 2). Natomiast czytelnika krajowego powinien zainteresować nr 4-ty *Aneksu*, zawierający dyskusję na temat możliwości wyjścia z sowietyzmu. W tej dyskusji ścierają się głównie dwa stanowiska: socjologiczne (a zarazem pesymistyczne) Baumana oraz bliższe historycyzmowi (jednocześnie optymistyczne) — Kołakowskiego. Temu ostatniemu bliski jest Raymond Aron. Mniejszą wagę posiada artykuł D. Lane'a, zaskakujący specyficzną metodą interpretacji faktów.

Czy koncepcja pisma jest słuszna? Czy nie jest luksusem angażowanie sił w przedsięwzięcie elitarne, publikowanie pisma które w założeniu zwrócone jest do elity intelektualnej o specjalnym zamiłowaniu do teoretycznego myślenia?

W ten sposób sformułowane pytania usłyszałem niedawno od jednego z najwybitniejszych działaczy emigracyjnych. Nie było w nich niezyczliwości, przeciwnie działacz ten wiele pomógł pismu w okresie jego powstawania. Z kontaktów osobistych wiem, że podobne pytania zadawali sobie również i redaktorzy pisma. Odpowiedzi na nie w ostatecznym rozrachunku udzielały czytelnicy — innymi słowy popularność i poczytność *Aneksu*. Osobiście jestem przekonany, że zmiany strukturalne społeczeństwa polskiego oraz ilościowy i jakościowy rozwój inteligencji stwarzają zarówno warunki, jak i potrzebę takiego pisma. Istnieje też potrzeba przezwyciężenia przysłowiowej nadwiślańskiej lekkomyślności intelektualnej.

W *Aneksie* zaczynają się pojawiać prace oryginalne, napisane specjalnie dla pisma — głównie w kraju. Na wymienienie zasługuje doskonały artykuł Adama Terna o stanie nauk filozoficznych w Polsce. Ta strona działalności redakcyjnej jest jednak jeszcze niezbyt odważna. Brak jest ponadto myśli własnych, wyrażających poglądy pokolenia.

O ile uważam za plus skupienie wokół pisma pokaźnej grupy początkujących tłumaczy, którzy pracują bez żadnego wynagrodzenia — to minusem jest korekta. Nazwiska często wydrukowane są z takimi zniekształceniami, że nie można ich zidentyfikować. Ponadto redaktorzy winni zrezygnować z nadmiaru skromności i ujawnić swoje nazwiska. I czytelnicy i korespondenci chcą wiedzieć czyje myśli wyraża pismo i komu przesyłają rękopisy.

Józef LEWANDOWSKI

Pamiętniki polskich emigrantów w Kanadzie *

Pamiętniki jako materiał socjologiczny zostały zużytkowane po raz pierwszy przez Floriana Znanieckiego w jego klasycznym dziele *The Polish Peasant in Europe and America*, napisanym wspólnie z amerykańskim socjologiem W. W. Thomasem. Od chwili ukazania się tej pracy wielu socjologów w różnych krajach korzystało z pamiętników wprowadzonych przez Znanieckiego do socjologicznych opracowań. W Polsce, już przed wojną, pamiętnikarstwo osiągnęło rozmiary niespotykane w innych krajach, zaś po ostatniej wojnie obserwujemy w kraju wręcz eksplozję pamiętnikarską. Naturalnie nie jest to akcja spontaniczna, ale organizowana przez różne stowarzyszenia, Związki Zawodowe, pisma itp.

Z przeprowadzonych w Polsce 4-ch konkursów na pamiętniki emigrantów ogłoszono wyniki 3-ch: przedwojennego, ale opublikowanego dopiero w 1971 roku**, i dwóch powojennych, z których jeden nie zawierał żadnego pamiętnika z Kanady, a drugi, opublikowany w roku 1960, obejmuje tylko jeden pamiętnik powojennego emigranta, który — nawet przy zastosowaniu taryfy ulgowej — nie posiada żadnej wartości informacyjnej. Wyniki ostatniego konkursu, sprzed dwóch lat, nie zostały dotąd ogłoszone poza jednym fragmentem pamiętnika z Kanady, opublikowanym w nr. 1 kwartalnika *Pamiętnikarstwo Polskie*.

Dla kanadyjskiego badacza polonijnego znaczenie posiada zatem tylko konkurs przedwojenny, tj. prace zebrane w tomie *Pamiętniki emigrantów — Kanada*¹. Zbioru tego nie zamierzam omawiać, chciałbym tylko zwrócić uwagę na pewne podobieństwa prac nadsyłanych na konkursy kanadyjskie.

Kilku pamiętnikarzy konkursu Instytutu Gospodarstwa Społecznego przybyło do Kanady w latach 1923-1930, a więc w tym samym okresie co niektórzy uczestnicy naszych konkursów. Na

* Referat wygłoszony w języku angielskim na VIII Światowym Kongresie Socjologów w Toronto, dnia 21 sierpnia 1974 roku na sesji specjalnej poświęconej polskiej grupie etnicznej w Kanadzie.

** Jeden tom tego konkursu na pamiętniki emigrantów, mianowicie dotyczący Ameryki Południowej, ukazał się jeszcze przed wojną w 1939 roku nakładem Instytutu Gospodarstwa Krajowego, który konkurs ogłosił (patrz odnośnik 2). Opracował go Ludwik Krzywicki, wstępem poprzedził Stanisław Stempowski. Opracowanie całości nadesłanego materiału miało obejmować kilka tomów (*Red.*).

1. Pamiętniki nadesłane na konkurs rozpisany w 1936 roku przez Instytut Gospodarstwa Społecznego wśród polskiego wychodźstwa, opublikowane przez wyd. Książka i Wiedza, Warszawa, 1971.

ogół późniejsze dzieje pierwszych pamiętnikarzy nie są nam znane. Aczkolwiek nie można wykluczyć, że niektórzy z nich jeszcze żyją². Np. kilka osób, które przeczytało *Pamiętniki emigrantów — Kanada*, zidentyfikowało niektórych pamiętnikarzy, udzielało o nich informacji i prostowało niektóre ich relacje. Jeden — na łamach *Związkowca* — opowiadał o kilku swoich towarzyszach niedoli, ale nie wymienił ich z nazwiska. Pamiętniki te są niewątpliwie ciekawe, ale — jak słusznie podkreślono we wstępach — nie są reprezentatywne. Ich największą wadą jest to, że przytaczająca większość pamiętnikarzy, to ludzie świeżo przybyli na emigrację i nie wrośnięci jeszcze w teren. Niemal wszyscy przybyli już z Polski niepodległej i przeważają tacy, których pobyt w Kanadzie wynosił niewiele ponad 10 lat. Ponadto w roku 1928 rozpoczęła się w Kanadzie kryzys gospodarczy w rozmiarach znacznie większych niż w Europie. Siłą faktu odczuli go najsilniej obcy, imigranci bez zawodu, bez znajomości języka, bez zaplecza. W *Pamiętnikach* znajdujemy odbicie tych ciężkich czasów, jednakże próba wyciągania wniosków nie zamykających się ściśle w tym czasokresie i z uwzględnieniem ówczesnej rzeczywistości ogólnokanadyjskiej, byłaby z gruntu fałszywa. Dodajmy, że subiektywizm pamiętnikarzy jest tym bardziej zrozumiały, że ich horyzonty myślowe były raczej ciasne.

W latach 1957-1973 ogłosiliśmy w Kanadzie trzy konkursy. Nasze apele były zwięzłe, a konkursy miały określony cel. W każdym apelu podkreślaliśmy, że chodzi nam o autentyzm, że walory literackie nie mają żadnego znaczenia, że zachowamy jak najdalej idącą dyskrecję, jeżeli uczestnicy konkursu tego zażądadają, i że nadsyłany materiał jest wyłącznie potrzebny dla poznania sytuacji imigrantów, a wypowiedzi będą drukowane jedynie za ich zgodą.

Pierwszy konkurs ogłosiliśmy w 1957 roku na łamach *Związkowca*, pisma ukazującego się od marca 1957 dwa razy w tygodniu. W apelu prosiłiśmy o odpowiedź na pytanie: „Jak urządzeniem się w Kanadzie?”. Podkreślaliśmy, że pamiętnik winien zawierać możliwie najbardziej szczegółową relację z życia w Kanadzie i informacje natury osobistej. Zakładaliśmy, że przede wszystkim zabierze głos tzw. nowa emigracja, a więc zarówno ci, którzy przybyli do Kanady w czasie wojny, jak i — a raczej przede wszystkim — powojenna emigracja żołnierska oraz więźniowie obozów koncentracyjnych i wywiezieni na roboty przymusowe przez Niemców.

Konkurs wypadł raczej dobrze, ale niestety nie został dotychczas socjologicznie opracowany. Pamiętniki przekazaliśmy do Archiwum Państwowego w Ottawie, a wynik konkursu ogłosiliśmy w 1958 roku, jak również opublikowaliśmy niektóre pamięt-

2. Zidentyfikowaliśmy jedną kobietę — ówczesnie najmłodszą — ur. w 1902 roku, żonę robotnika — pończosznika, która obecnie, jako emerytka, mieszka na Florydzie w USA. Powiadomił nas o tym jej syn, mieszkający w Toronto i nie mówiący już po polsku.

niki w całości a inne w wyjątkach. W konkursie wzięli udział także i starzy emigranci, jednak nieliczni i — niestety — nie reprezentatywni. Wybitni działacze organizacji polonijnych konsekwentnie unikali zabierania głosu. Jeśli idzie o pamiętniki przedwojennych emigrantów na pierwszy plan wysunęła się jedna autentyczna i barwna relacja, niestety spisana przez inną osobę, która nadała jej bardzo dobrą formę literacką. Co prawda wartość dokumentalna nie została pomniejszona, ale zatracony został autentyzm języka i bezpośredniość pamiętnikarza.

Jury konkursowe przyznało pierwszą nagrodę pamiętnikowi, który — jak się później okazało — nadesłał literat, który przybył do Kanady na kontrakt rolny i odpracował go. Była to relacja reprezentatywna, gdyż większość imigrantów globalnie zakwalifikowanych jako DISPLACED PERSONS (DP) skierowana została na pracę do farmerów i znajdowała się w podobnych, lub znacznie gorszych, warunkach.

W konkursie przeważali jednak pamiętnikarze, którzy urządzili się. Z niejednego pamiętnika przebijała nuta zadowolenia, jeśli nie dumy. Dumy, że mimo wielkich trudności potrafił się wybić — oczywiście materialnie. O innych sukcesach raczej nie było mowy. Brak było wspomnień z Polski. Jeden z ciekawszych to pamiętnik kobiety, inteligentki, z Montrealu. Jest to historia niepowodzeń i rozczarowań, napisana bez uprzedzeń. Autorka spokojnie opowiadała o licznych wysiłkach, które nie dawały żadnego pozytywnego rezultatu. Uwypuklałam ten pamiętnik, ponieważ rozpowszechniony jest pogląd, że od pamiętnikarzy oczekuje się jedynie sukcesów.

Uczestnicy naszego pierwszego konkursu niemal bez wyjątku przeżyli bardzo trudny okres, aczkolwiek znajdowali się w lepszej sytuacji niż fala przedwojennych emigrantów, już chociażby z powodu odmiennych warunków gospodarczych. Nie brak zawiadzonych, rozczarowanych, zapowiadających powrót do Europy, czy emigrację do Stanów Zjednoczonych. Trzeba tutaj uwzględnić także osoby, które zachorowały, uległy wypadkom itp. W tej kategorii imigrantów; w owym czasie nie było jeszcze repatriantów do Polski, ale pewna ilość powracała do Wielkiej Brytanii lub do Francji.

Drugi konkurs, rozpisany w 10 lat po pierwszym, nie udał się. Założenie było węższe od poprzedniego: zwracaliśmy się wyrażnie do osób przybyłych do Kanady poczynając od roku 1957, a więc po zmianach, jakie zaszły w Polsce po październiku 1956. Polityka nowych władz była grubo liberalniejsza również w sprawach emigracyjnych. Konkurs miał na celu zorientowanie się w jakiej sytuacji znajdują się imigranci po 10-ciu latach pobytu w Kanadzie, imigranci, którzy przybyli z kraju o zupełnie odmiennym ustroju. Wiedzieliśmy, że w grupie przybyłych znajduje się spora ilość osób z wyższym wykształceniem oraz wielu różnego rodzaju fachowców. Byli wśród nich tacy, którzy przybyli tu w ramach akcji łączenia rodzin, inni, którzy przyjechali z wizytą i pozostali, bo mogli żyć w lepszych warunkach, jak

również tacy, którzy wyjechali z Polski pod różnymi pozorami, ale nie wrócili ze względów wyraźnie politycznych. Znakomitą większość stanowiły jednak osoby, które bez względu na to w jaki sposób i pod jakim pozorem przybyły, zdecydowanie chciały żyć w lepszych warunkach ekonomicznych. Zakładaliśmy więc, że otrzymamy sporo pamiętników, w tym również od osób wykształconych, które przybyły tu zarówno ze względów politycznych jak i ekonomicznych.

Otóż spotkał nas wielki zawód. Wpłynęło ogółem 15 pamiętników, w tym kilka od osób w ogóle nie należących do tej kategorii, do której apelowaliśmy. Kilka pamiętników nie miało w ogóle żadnej wartości, a w sumie ani jeden nie był reprezentatywny. Najlepszym był obszerny pamiętnik pewnej kobiety, ale tak intymny, że nie nadawał się do publikacji nawet we fragmentach.

Zastanawialiśmy się dlaczego konkurs wypadł tak fatalnie. Dyskretnie przeprowadzone badania pozwoliły ustalić, że nowi imigranci byli uprzedzeni do konkursów. Obawiali się, że pamiętniki będą wyzyskane dla innych celów aniżeli czysto badawcze, obawiali się cokolwiek formułować na piśmie, podawać powody wyjazdu z Polski i opowiadać o obecnym życiu w kraju osiedlenia.

Dwa wyżej wspomniane konkursy rozpisali *Związkowiec*. Trzeci konkurs, ogłoszony w grudniu 1971 roku przez Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy, był bardziej atrakcyjny pod względem finansowym. Wyznaczyliśmy wiele nagród po Dol. 300, 200 i 150, dwie po Dol. 100 oraz pięć po Dol. 50. Apele ogłaszane były w trzech pismach polonijnych, termin nadsyłania prac wynosił dziewięć miesięcy. Osobiście korzystałem z każdego publicznego występu, by apelować o nadsyłanie pamiętników; zastosowaliśmy ponadto szeroki wachlarz środków propagandy. Wszystko to dało doskonały rezultat.

Otrzymaliśmy ponad 50 pamiętników i jeszcze kilka po upływie terminu. W sumie więc 55 bezpośrednich relacji, wśród których zaledwie kilka trzeba było całkowicie odrzucić, w tym jedną ze względów technicznych: nie sposób tekstu odczytać. Po raz pierwszy mamy pamiętniki obrazujące nie tylko kilka kolejnych fal emigrantów, ale również napisane przez ludzi należących do różnych warstw społecznych. Ostatni konkurs dał nam zatem pod każdym względem dobry przekrój grupy polskiej w Kanadzie. Wpłynęły pamiętniki z prowincji, w których osiedlano się najliczniej: Ontario, Quebec, Manitoba, Alberta, Saskatchewan i Brytyjska Kolumbia. Są to pamiętniki farmerów, rzemieślników, robotników, agentów i sprzedawców, urzędników i nauczycieli, oraz fachowców z różnych wolnych zawodów, w tym pamiętnik inżyniera. Skala wieku jest również szeroka, od blisko 80-letnich emerytów, do „młodzików” w granicach 30-40 lat. Jeśli idzie o okres ich pobytu w Kanadzie, to mamy dwie osoby jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej, tych którzy przybywali z Polski niepodległej w latach 1922-1936, falę żołnierską oraz

z obozów w Niemczech i Austrii i wreszcie przybywających z PRL-u. Tylko jeden z pamiętnikarzy przybył w 1970 roku.

Pierwszą nagrodę przyznaliśmy pamiętnikarzowi w wieku lat 70, farmerowi, który zresztą już nie pracuje, a gospodarstwo swoje pozostawił jednemu z synów. Przybył przed wojną, gospodarował i nadal mieszka w Saskatchewan. Jego pamiętnik to udokumentowana, wysoce reprezentatywna relacja, pełna doskonałego materiału, obrazującego życie farmerskie. Są to dzieje sukcesu, osiągniętego ciężką pracą z polską i chłopską zaradnością. Druga nagroda przyznana została również przedwojennej emigrantce, żonie robotnika, która przybyła do Quebecu. Jest to pamiętnik wręcz rewelacyjny: sumienny i ścisły zapis nie tylko własnego życia i życia jej rodziny, ale również znajomych, organizacji, innych grup etnicznych itp. Jest to relacja napisana językowo świetnie i pasjonująco, choć kreślona nie-wprawną ręką. Posiada obok biadoleń opisy pełne werwy, a nawet humoru.

W tej masie pamiętników, z których wyłączyliśmy skądinąd ciekawy, ale bardzo osobisty opis wielkiej miłości oraz zbiorok sentymentalnych wierszyków, w każdej relacji można znaleźć coś ciekawego.

Oddzielnego opracowania wymagałyby trzy pamiętniki: 1) emerytki, nauczycielki jeszcze w Polsce, której relacji nie sposób obliczyć na strony, ale raczej na wagę: ponad 10 funtów (masa załączników, w tym praca jednego członka jej rodziny o leśnictwie; ponadto pamiętnik o wiele bardziej dotyczy Polski niż Kanady); 2) pamiętnik objętości ponad 500 stron druku, napisany przez osobę uważającą się za pisarza, literata i publicystę, która redagowała jedno z powielanych czasopism, ukazujących się w stanie Ontario. Pamiętnik zawiera wszystkie artykuły, wierszyki, przemówienia itp. itd. autora, kiedykolwiek i gdziekolwiek były publikowane. Przy wszystkich obsesjach autora pamiętnik jego jest pewnego rodzaju źródłem dla badacza Polonii; 3) trzeci pamiętnik, nie mieszczący się w ogólnych ramach, został napisany przez inżyniera, wybitnego fachowca. Obejmuje kilkaset stron maszynopisu i kilkadziesiąt stron rękopisu. Zaledwie trzecia część całości odnosi się do Kanady, pozostałe części, to wspomnienia z Polski, kampanii wrześniowej, obozu koncentracyjnego, oraz rozmyślania na temat polskości, emigracji itp.

Niezmiernie cenne są wypowiedzi kilku działaczy organizacyjnych, którzy po raz pierwszy zabrali głos. Kilku z nich pochodzi z Ontario, dwóch z Quebecu, jeden z Alberty. Ich pamiętniki, mimo ogromnej zwięzłości i krańcowej wprost oszczędności słów, mają bardzo duże znaczenie, są bowiem świadectwem osobistym i organizacyjnym osób wielce zasłużonych, by nie powiedzieć budowniczych organizacji polonijnych. Dwaj byli działaczami terenowymi, związanymi z jedną organizacją, inni występowali na szerszej arenie polonijnej. Ich relacje, to niejako wewnętrzne spojrzenie na życie organizacji polonijnych.

Mężczyźni nadesłali zaledwie o kilka pamiętników więcej, niż kobiety. Pamiętniki kobiet są zresztą bardzo dobre. Druga i trzecia nagrody przypadły kobietom; wśród 5 nagrodzonych i 4 wyróżnionych prac są trzy pochodzące od kobiet z trzech prowincji: Ontario, Alberta i Saskatchewan; każda z tych kobiet wykonuje inny zawód.

W naszym konkursie reprezentowane są niemal wszystkie warstwy społeczne, podczas gdy w przedwojennym konkursie Instytutu Gospodarstwa Społecznego wzięli udział tylko ludzie pochodzący ze wsi, i to w przytłaczającej większości z najuboższych powiatów w najbardziej ubogiej części kraju, tj. Małopolsce.

Reasumując, pamiętniki dostarczają więcej materiału odnoszącego się do anglosaskiej części Kanady i raczej nie dotyczą innych grup etnicznych, o których uwagi są jedynie marginesowe, w związku z konkretnymi wypadkami. Wskazuje to, że kontakt między grupami etnicznymi jest prawie żaden, spotykano się raczej przy pracy, rzadziej po sąsiedzku. Znacznie więcej wypowiedzi na temat grup etnicznych znajdujemy u pamiętnikarzy przybyłych już z PRL, po 56-tym roku.

Prawie wszyscy pamiętnikarze, przybyli do Kanady po 1946 roku, porównują styl życia w Polsce i w Kanadzie, okazując niewiele entuzjazmu do kanadyjskiego. Młodszy wiekiem i nie chłopskiego pochodzenia manifestują swoją wyższość intelektualną. Wydaje nam się, że jest to swego rodzaju samoobrona przed deklasacją. Nie należy bowiem zapominać, że prawie wszyscy imigranci z grupy żołnierskiej i z obozów musieli pracować w myśl zawartych kontraktów bądź jako robotnicy rolni, służba domowa i szpitalna, bądź jako najgorzej płatni robotnicy w fabrykach. Niemal wszyscy tak zaczęli, choć nie brakło wśród nich ludzi wykształconych, nierzadko z dyplomami uniwersyteckimi.

Prawie wszyscy uczestnicy konkursu zetknęli się z życiem organizacyjnym Polonii, ale tylko nieliczni brali w nim czynny udział. Na ogół odnoszą się oni do organizacji niechętnie. Zarówno ci, którzy przybyli tu w latach dwudziestych, jak i zaraz po drugiej wojnie światowej, mieli fałszywe wyobrażenie o możliwościach tych organizacji i za wiele od nich oczekiwali. Ponadto niemal wszyscy pamiętnikarze wykazują słabą znajomość Kanady i każdy pisze o raczej ujemnym wrażeniu, odniesionym przy zetknięciu się z rzeczywistością.

O tęsknocie za Krajem mówią pamiętnikarze w pierwszym okresie swojego pobytu na emigracji. Później występuje raczej poczucie łączności z Krajem, z Narodem. Ujawnia się to w szukaniu towarzystwa Polaków, udziale w akcjach kulturalnych i społecznych, czytaniu polskich pism, udziale w manifestacjach narodowych, kultywowaniu folkloru, który pamiętnikarze często utożsamiają z patriotyzmem, wreszcie w odwiedzinach w Polsce i obronie Polski wobec kolegów z pracy.

Nie tylko najstarsi wiekiem czy czasokresem pobytu w Kanadzie mówią ze wzruszeniem o kraju swego pochodzenia i o ostat-

nich w nim wizytach — nieraz po raz pierwszy od 40-tu lat — ale także ci, którzy przyjechali w latach 60-tych. O ile imigranci przedwojenni wypuklają społeczne wady ustroju w Polsce: przeludnione wsie, wyzysk, ciężkie warunki bytu itp., to imigranci z PRL-u — może dlatego, że nie przybyli bezpośrednio ze wsi — nie krytykują struktury społecznej, natomiast ostrożnie, aczkolwiek krytycznie, wypowiadają się na tematy polityczne i ekonomiczne. Wyrażna i ostra krytyka PRL występuje niemal u wszystkich pamiętnikarzy-inteligentów okresu powojennego, którzy nie wrócili do Polski. Niektórzy z nich odwiedzali zresztą Kraj i odnotowali szereg pozytywnych objawów, które jednak nie przekreślają ich zasadniczego, negatywnego stosunku do ustroju PRL i do nowej politycznej rzeczywistości Polski.

Benedykt HEYDENKORN

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewicz Zielińska na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie i książek nadesłanych autorce na adres: Quinta das Romãzeiras, Feijó, Portugal.

Felietonistyka warszawska

34. LIPSKI, Jan Józef: *Warszawscy „Pustelnicy” i „Bywalscy”*. Tom I: Felietoniści i kronikarze, 1818-1899; t. II: j.w., 1900-1939. Warszawa (1973), PIW, str. 406 i 490, ilustr. (Biblioteka Syrenki).

Opracowanie Lipskiego spełnia dwa zadania: przynosi sylwety 177 autorów, których felietony cieszyły się w swoim czasie dużą poczytnością na łamach pism warszawskich — i próbki ich twórczości, po felietonie od łebka — a więc raczej katalog niż antologię. Wszystko poprzedzone doskonałym wstępem Lipskiego o felietonistycę jako gatunku literackim a felietonistycę warszawskiej w szczególności. Moim własnym określeniem jest: mniej niż esej, więcej niż wypracowanie na tzw. „tematy dowolne”. Nie koliduje to z postulatami Lipskiego, który uważa, iż „przedstawiciele takiego pisarstwa” winien cechować: „zmysł obserwacji, pewne poczucie humoru, wyczucie watorów detalu, łatwość kojarzenia i przeskoków myślowych, kolokwialny, lecz na ogół poprawny język”. W sumie: pokarm łatwostrawny, tzw. lektura „lekka”, przechodząca w nałóg i jednająca prenumeratorów.

Warszawska felietonistyka XIX-wieczna wyrosła w warunkach szczególnych, gdy pisarze z prawdziwego zdarzenia i historycy *in-spe* stali wobec ograniczonych możliwości publikowania swych prac a samouctwo zastępowało niedostępne studia, zwłaszcza z zakresu nauk humanistycznych. Stąd niespodzianki w postaci ogłaszania wyników poszukiwań archiwalnych, dotyczących starej Warszawy, w popularnych i siłających się na zabawne felietonach. Z dru-

giej strony — im bliżej naszych czasów, tym gorzej — felietoniści stwarzali „Warszawkę”, płytką, błyskotliwą, rozkochaną w „powiedzunkach” i „szmoncesach”. Ze 177 zademonstrowanych nam przez Lipskiego autorów felietonów znaczny procent stanowią „spieszni”, zdegradowani do roli bawiczytelników historii miasta i obyczajów warszawskich — przeważająca większość — to dostarczyciele lektury następującej socjologom zgoda niewesołe refleksje. Wreszcie: asy, pisarze z prawdziwego zdarzenia, którzy zabłąsnieli talentem *nawet* w felietonie: Sienkiewicz, Prus, Słonimski, choć czy nie zachodzi tu wypadek rozmienniania talentu na drobną monetę?

Mocną stroną opracowania Lipskiego są poprzedzające felietony sylwety ich autorów oparte na poszukiwaniach wymagających tzw. benedyktyńskiej cierpliwości. Uzupełniają je podobizny większości zaprezentowanych w obu tomach felietonistów — od XIX-wiecznych brodaczy po Wiecha i Migową. Z przyjemnym zdumieniem znajdujemy w wyborze nazwiska dotąd zazwyczaj pomijane i przemilczane: Jerzego Paczkowskiego, Tadeusza Wittlina, Wojciecha Wasiutyńskiego, Wacława Grubińskiego i Feliksa Rosenbauma (na naszym terenie znanego tylko i wyłącznie jako Napoleon Sąddek).

Paczkowski określony jest jako „kpiarz z 'Cyrulika Warszawskiego' i bohater dywersji z francuskiego Nordu”, który „zginął po straszliwym śledztwie, w którym nie sypał, w obozie Hamburg-Neuengamme”.

Przy Wittlinie Lipski szczerze reklamuje, że pominięto go w „Słowniku współczesnych pisarzy polskich” — i przypomina, że jest autorem wspomnień wojennych pt. „Diabeł w raju” tłumaczonych na angielski, francuski, hiszpański, holenderski i japoński, tudzież „Modiglianego” tłumaczonego na angielski i holenderski. Dowiadujemy się także, że „znalazł się na emigracji”. Dobrze, że się nie zgubił!

Wojciech Wasiutyński był dla krajowego biografa orzechem szczególnie trudnym do zgrzyżenia. Uratowało go to, że... opisał „sanacyjne więzienie w okresie, gdy po rozwiązaniu ONR obok komunistów nie brak było tam i młodzieży faszystowskiej”. Takiego „dokumentu” nie przekazali „komuniści z lat trzydziestych” rzekomo dlatego, że „nie mieli i nie mogli mieć swego legalnego tygodnika”. Wasiutyński mógł jednak swoje impresje wydrukować, dzieląc się legalnie na łamach „ABC” z wrażeń z „mamra” na Daniłowiczowskiej.

W życiorysie Wacława Grubińskiego znalazły się wzmianki o „pamfletowej komedii o Leninie z roku 1921” i opublikowanej na emigracji książce „Między młotem a sierpem”. Pominięte jest *iunctim* między tymi dwoma tytułami: Grubiński karany był surowym więzieniem, a nawet skazany na śmierć, właśnie za „Lenina” a opisał swe perypetie w owej wydanej na emigracji książce, która w Kraju niewielkie ma szanse ukazania się na półkach księgarskich, choć autor zmarł w roku 1973 tj. roku wydania antologii Lipskiego.

Sąddek pozbawiony został całej produkcji literackiej powstałej po roku 1939 a ze szcztąkowego życiorysu wynika, że „mieszkał po wojnie — może i w czasie wojny — w Londynie”. Ani słowa o sukcesach odcinkowych powieści Sądka, pioniera zbeletryzowanych opisów życia emigrantów w Londynie i zręcznego komediopisarza („Kwatera nad Adriatykiem”, „Markietanki”). „Podobno nie żyje” — pisze Lipski. Niestety, nie żyje istotnie.

Życiorys są mocną stroną opracowania Lipskiego. Trudno oprzeć się wzruszeniu, czytając, że Quas (Stefan Kwaśniewski), przedwojenny „bombardier z cenzusem”, poległ — 46-letni, jako żołnierz AK w powstaniu warszawskim „jako kawaler Srebrnego Krzyża Virtuti Militari. Nie szafowano zbyt — wówczas tym odznaczeniem” — konkluduje Lipski.

Przy Quasie i wielu innych pojawia się dezyderat książkowego wydania zbioru ich felietonów. Jeden tylko autor wymaga raczej wznowień niż książkowej „premiery” — Wiech *alias* Stefan Wiechecki a właściwie Stefan Goz-

dawa-Wiechecki. Gozdawa, jak któryś z naszych emigracyjnych VIPów. Gdy ten życiorys pisał nie Lipski ale Jan Rostworowski wywiódłby pewnie Wiecha z „hrabiów na Gozdawie”.

Powieści

35. BRANDYS, Kazimierz: *Pomysł*. (Warszawa, 1974), Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 122 (1).

Dobrze zaplanowany utwór literacki można sprzedawać wielokrotnie. Musi to być jednak tekst takiej długości, by mogła go przełknąć w jednej dawce *Twórczość* czy *Miesięcznik Literacki*. I nie za krótki na to, by mógł się okazać jako oddzielna „książka”. Anglicy uprawiają na wielką skalę ten właśnie gatunek literacki; utwory takie noszą nazwę *long short stories*. Wydanie książkowe może mieć wiele dalszych zastosowań w teatrze, telewizji i filmie. Autor współczesny i *współcześnie* myślący nie rozstaje się z perspektywami tych wtórnych zastosowań w toku tzw. „procesu twórczego” i tym tłumaczy się np. nadmiar efektów wizualnych czy typowo teatralne dialogi. „Pomysł” Brandysa wydaje się utworem tak właśnie skonstruowanym. Początek utworu jest wręcz streszczeniem „monodramu” pt. „Henryk III” a to, co udało się ze „Sposobem bycia” warto powtórzyć w efektownym kostiumie historycznym. „Nasz”, że tak powiem, Walezy tkwi solo w opowiadanej przez Brandysa sztuce a z Matką, otoczeniem i z nami porozumiewa się za pośrednictwem taśmy. W chwilach szczególnej wagi postać aktora grającego króla (Łapicki?) ginie w ciemnościach a światła skupiają się na magnetofonie. Pomysł dobry: można swobodnie ziewać. Na plus Brandysa zapisać trzeba, iż otwarcie przyznaje się, że „Henryk III” nie podbił widowni i nie oczarował krytyków.

Takich „udziwnień” jest w „Pomyśle” bez liku. Jeden z bohaterów za jeżdża nielegalnie do Paryża w wnętrzu posągu Komandora z „Don Juana” w wagonie z dekoracjami. Stryjowie tegoż Tyma Aksaka, kombatanci spod Tobruku, spalają się na popiół w pożarze farmy w Yorkshire wraz z ukochaną kłaczą, imieniem Baśka, zostawiwszy zlecenie, by pochowano ich na afrykańskim pobojowisku. Bratanek przywozi od nich kobzę, instrument nie najbardziej typowy dla hrabstwa Yorkshire!

Pomyśłem najciekawszym, choć nasuwającym przypomnienie Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, jest pseudonaukowa działalność głównego bohatera, Kruzoego (sic!), który — przed napisaniem „Henryka III” — na zesłaniu do jednego z uniwersytetów amerykańskich, pod impulesem chwili, chcąc za wszelką cenę zainteresować słuchaczy, rozpoczyna wykłady z historii literatury polskiej sylwetą Erazma Łysowolskiego, XVI-wiecznego poety, komediopisarza i myśliciela, który należał do otoczenia Henryka Walezego, jako królewski nauczyciel polskiego i powiernik. Jest to postać w 100% fikcyjna: Kruzoze musiał mu dorobić nie tylko życiorys ale i utwory, z których dłuższe (i zręczne) fragmenty cytuje we własnych przekładach. Rzekomy rówieśnik Kochanowskiego i substytut Reja stał się z woli jego twórcy autorem komedii „Dzień w nocy albo noc za dnia” i niejako prototypem „Dra Fausta”. Uprawiał także pisarstwo dyskursywne i wstawiał się — rzekomo — traktatem „De repetitione”. Grało to dobrze — do czasu — póki wśród studentów nie znaleźli się amatorzy czytania tekstów Łysowolskiego w oryginale. Gdyby Brandys urwał wątek Łysowolskiego w tym miejscu osiągnąłby efekt ciekawszy i bardziej udany, niż na siłę ciągnąc go dalej i przenosząc bohatera z Łysowolskim i dobranym mu do towarzystwa Walerianem Pieniążkiem (z XVII wieku) naprzód z Minnesoty do Univ. of Massachusetts a następnie — Sorbony. Końcem dziecinnady jest pośpieszny powrót Kruzoego do Kraju.

Paryskie perypetie bohatera oznaczały nową zmianę dekoracji, ujawniając nieoczekiwane aspekty jego biografii. Wykładowca z nieprawdopodobnego zdarzenia chce być „nikim i nigdzie” („sfrustrowany przez własny egocentryzm”?), cierpi na przywidzenia, zasięga rady psychoanalityka — i bez powodzenia tropi osobę, która systematycznie i złośliwie przesładuje go tajemniczymi telefonami. Na widowni zjawia się ex-żona i ex-przyjaciel, sprawy komplikują się, jak w kiepsko skonstruowanym „dreszczowcu” a gdy dla pełni obrazu włącza się wątek przeżyć okupacyjnych — mamy już w komplecie niezbędne do zainteresowania Sarmatów „udziwnienia”. Tempo akcji staje się tak szybkie, że utwór czyta się jak streszczenie trzech filmów wyświetlanych równocześnie. I mimowoli gnębić zaczyna wątpliwość „Po kiego licha” autor tej rangi co Brandys ucieka się do techniki tak pozornie wymyślnej a w pełni chybionej i rozmienia na „Pomysły” (nie „Pomyśl”, *sing.*).

W powieści występują marginesowo potraktowane tematy emigracyjne, budzące niepokój jako nawrót zużytych klisz. Czy istotnie jest aż tak zabawne, że dwu ex-oficerów gospodaruje na farmie angielskiej i darzy sentymentem konia? Czy nie brzmi jak „kawał z brodą” wstawka o londyńskiej firmie jubilerskiej wyrabiającej sygnety? (*Nota-bene* klientami jej są często pracownicy placówek dyplomatycznych PRL'u). Motyw Kawalerów Maltańskich i bezimiennych wpłaty na konto bankowe Kruzoego jest także bardzo niefortunnie rozegrany przez autora — i tu znów ciśnię się na usta pytanie: „Dlaczego?”. Możliwości pisarskie Brandysa są tej klasy, że mamy prawo żądać od niego czegoś więcej od kreślenia postaci, które mają być naraz zabawne i tragicznie „sfrustrowane” — a są papierowe i sztuczne.

36. MACIĄG, Włodzimierz: *Konfederacja albo Próba Mokronowskiego*. Warszawa, 1973, Czytelnik, str. 216.

Powieściowy debiut krytyka literackiego i autora zarysów literatury najnowszej (krajowej). Akcja powieści osadzona jest w Warszawie i Barze w początkowej fazie konfederacji barskiej a więc w okresie niezmiernie dla losów Polski ważnym a w niedawnych latach „rocznicowych” niemal zupełnie przemilczanym. Tytułowa „Próba” odnosi się do starań przekonania konfederatów o konieczności nawiązania kontaktu z Królem, podjętych z cichym przyzwoleniem Stanisława Augusta. Próba nieudana — i dlatego, że do Baru zbliżają się już oddziały rosyjskie pod dowództwem Kreczetnikowa — i dlatego że w Warszawie decyduje o biegu wypadków wszechwładny reprezentant gwarantki, Repnin. Jest w powieści scena wręcz wstrząsająca: rzecz dzieje się w operze — Stanisław August zjawił się na czas i zasiadł w łoży. Przedstawienie się opóźnia mimo przynaglań wystawców królewskich. Bez skutku. Wreszcie: „drzwi łoży ambasadora otwarły się, wewnątrz pojaśniało. Wszedł Repnin” — przedstawienie rozpoczęło.

Głównym bohaterem powieści jest wypatrzony przez Maciąga — może pod wpływem lektury „Stanisława Augusta” Mackiewiczza — gen. Andrzej Mokronowski, postać ważna ale drugoplanowa. Z barwnej biografii zręcznego polityka w biografii znalazł się tylko mały wycinek — nie o osoby więc chodziło autorowi ale o sens wydarzeń. Wybór zasadniczo trafny, bo jako mediator musiał być Mokronowski w kontakcie ze wszystkimi ołdami opinii. Wybór tło wycieniować i uprawdopodobnić przydał mu Maciąg adiutanta, Anioła Stróza, obserwującego równie fachowo i środowiska w których im przebywać wypadło i samego Generała. Stopień tych umiejętności niemal mrozi i niejedno przypomina.

Mokronowski istotnie udał się do Baru a przedtem — oczywiście nie chcąc — był przelotnie aresztowany pod Warszawą przez oficera armii Najj. Gwarantki ładu i bezpieczeństwa Rzplitej. Ta groteskowość sytuacji: pod okiem Króla dostaje się do carskiego aresztu Gen. Inspektor Wojsk Koronnych gen. Mokronowski... Nie odstępuje też Maciąg od prawdy histo-

rycznej, gdy ukazuje Generała jako niemal szwagra królewskiego, bo kochanka siostry Stanisława Augusta hetmanowej Izabelli Branickiej.

Powieść budzi pewne obiekcje. *Primo*: autor daje nam do zrozumienia, iż Mokronowski jest nieprzekupny, lojalny, skarb i perła. Nie wynika to jednak z jego powieściowych perypetii, ale z deklaracji autora. *Secundo*: poważne zastrzeżenia budzi takie ustawienie się do czytelnika, jakby każdy z nas uczestniczył w studiach autora poprzedzających napisanie powieści i miał w małym palcu nie tylko cały życiorys Mokronowskiego ale i dane personalne kilkudziesięciu innych osób występujących w powieści jako hetman, łowczy, pani „Ini” itp. Postanowiłam zagadki te rozwiązać przy pomocy Konopczyńskiego i wszelkich dostępnych słowników biograficznych i zarysów historii. I dopiero po rozszyfrowaniu niedopowiedzeń zrozumiałam, iż np. barska misja Mokronowskiego nie była pierwszym jego nieudanym poselstwem — bez powodzenia starał się przedtem osadzić na tronie polskim pretendenta francuskiego ks. Conti i również bez powodzenia negocjował kandydaturę Henryka Pruskiego. Autor lekko napomyka o francuskich koneksjach Mokronowskiego z dworem i masonerią — nie stawia jednak kropki nad „i” i nie od niego dowiadujemy się o kluczowej roli Mokronowskiego w organizowaniu łoż masonskich na terenie Rzeczypospolitej albo o tym, że był pierwszym Wielkim Mistrzem Wschodu Narodowego. Misja jego, o czym Maciąg lekko napomyka, miała lub mieć mogła masonską podszewkę.

Wydarzenia, których świadkami jesteśmy na kartach powieści, miały zasadniczy wpływ na rozwój wydarzeń w Polsce w okresie pierwszego rozbioru. Mokronowski, a chyba i autor powieści, sprowadzają je do fatalistycznego stwierdzenia przemocy i przewagi Caratu. Konfederaci barscy mają zasadniczo rację, rzucając hasła „Wolności i Sprawiedliwości” i domagając swobody działania we własnej ojczyźnie bez ingerencji obcych. Mokronowski to widzi. W oczy rzuca mu się jednak przede wszystkim prymitywizm poczynań konfederatów, ich zaściankowość i granicząca z ciemnotą pseudo-religijność sprowadzona do swądu czasów saskich. A jednak w Barze zdaje się dostrzegać coś więcej, niż w Warszawie, którą właśnie opuścił. Ta diagnoza sprawia, że Mokronowski traci wiarę w możliwość znalezienia rozsądnego rozwiązania. Zrozumiał, iż trzeba długich lat na to, by podniósł się poziom polityków i wojska, kleru i wiernych. Nie wystarczy to, że „ci w Barze nie boją się” i gotowi są rzucić się na wojska Carycy z gołymi rękoma, Ewangelią i modlitwą — i księdzem Markiem na czele „szyków zbrojnych”. Bo spotykamy i księdza Marka. I cały poczet osobistości kierujących Konfederacją — groteskowych, błazeńskich, tragicznych. To znów trudny do przełknięcia aspekt powieści — bo jednak aż tak źle nie było. Maciąg zagubił się w barokowej stylizacji wypowiedzi, w tanich rekwizytach i — wódce. Stwierdza, że przywódcy zatrzymują się na aspekcie ofiary — a nie zwycięskiej walki. Jak tyle razy potem. Ale — zapytuje ustami biskupa Krasieńskiego w kluczowej dyskusji powieści: „Czyja to rzecz — ta Rzeczpospolita? Nasza — twoja i moja. Nie Króla, nie Repnina, tylko ich”. A oni — to właśnie te na pół rozbudzone masy: „ich jest prawo, ich sąd o rzeczy, ich sprawiedliwość”. Bar — to przekrój Polski, jej swoista reprezentacja. „Konfederaci śpieszą się do wojny i do ofiar. Będą mieli jedno i drugie”.

Recenzenci krajowi zarzucili Maciągowi niedostrzeżenie jasniejszych stron sytuacji wyrażających się np. pierwszymi próbami reform, które w bliskiej przyszłości dadzą Komisję Edukacji Narodowej i Konstytucję 3 Maja. Że widzi jedno: układ sił na niekorzyść Polski. Że potrafi jedno: wyzwać do zachowania spokoju i ustępowania przed siłą. On? — czy Mokronowski? — nie identyfikujemy zbyt pochopnie autora powieści i powieści tej bohatera.

Krytyk-debiutant, pisząc „Konfederację” niejedno przejął od swych ofiar a teraz towarzyszy broni. Na myśl przychodzi Władysław Terlecki, także

chętnie wdający się w wymyślne analizy motywów i metod działania postaci historycznych na równie starannie przebadanym tle. Kijowski... Woroszyński... — Maciąg do nich jeszcze nie dorósł.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

O niełatwości życia

Pierwsza część „Tryptyku Wojennego” to cofnięcie się aż do późnej wiosny roku 1939, do czasu w którym wspomnienia młodości można już odsunąć na bezpieczną odległość obiektywnego spojrzenia. Pokolenie, które w roku tym sięgało granicy nastolatków, albo przekraczało dopiero okres pełnoletności stało się pokoleniem najbardziej przez wojnę zdruzgotanym. Rozproszeni po świecie, rozbici i przybici przeżyciami wojennymi zamykają się często sami w sobie, izolują od otoczenia, albo stwarzają świat dla nich samych tylko zrozumiały. Któż, na przykład, zrozumie wartość uczuciową jaką nawet po latach 35-ciu przedstawia dla autorki „Tryptyku” jej krzyż i mundur harcerek? Oceniana z odległości czasu „zabawa w Harcerstwo” może wydawać się naiwna. Imitowanie „starszych”, munduromania, legenda niedawnych walk niepodległościowych apoteoza bohaterstwa były codzienną pożywką, którą starsze pokolenie w najlepszej wierze karmiło młodzież Dwudziestolecia. W rozpetanej zniechęca nawałnicy wrześnieowej oddziały harcerek przejęte swoją rolą, przekonane o własnej misji, wyruszają na przydzielone im placówki gdzie zostają zagubione, często wybite, a później rzadko — albo raczej z pobłażliwością należną dzieciom — wspomniane. Ten okres placówek harcerek, wędrówek po kraju w poszukiwaniu rodziców, kończy się dla autorki podwójnym pogrzebem: ojca i Ojczyzny. Utrata ojca, najważniejszej osoby w życiu, które odtąd stanie się niełatwe, ojca-patrioty, który nie chciał dożyć chwili upadku Polski, utrwala i pogłębia wrodzoną determinację autorki, jej upór doprowadzania rzeczy raz rozpoczętych do końca i staje się początkiem trudnej do opanowania sztuki — polegania tylko na samej sobie.

Opis egzekucji, fragment drugiej części „Tryptyku”, relacyjnie najlepszy i najbardziej literacko dojrzały, jest bezpośredni, technicznie prawdziwością faktów i klimatem ówczesnego Krakowa.

Autorka opisuje swoje przeżycia w obozie przejściowym na Kazimierzu krakowskim, na ulicy Wąskiej gdzie jako jedna z pracowników zatrudnionego tam polskiego personelu, pomagała poprzez kontakt z tajną organizacją polską, w wyrabianiu fałszywych papierów, zaświadczeń lekarskich i dokumentów osobistych dla „ludzi, których trzeba było stamtąd wydostać”. Zdając sobie sprawę z niechęci otoczenia nie zawsze orientującego się w tajnikach jej pracy, krađa karty wywozowe, skreślała na listach nazwiska wstawiając inne na ich miejsce. „Dla jednych, którzy nie znali wewnętrznych spraw obozu, byliśmy urzędnikami w znienawidzonym miejscu. Dla innych którzy wiedzieli o tym co naprawdę robimy, i korzystali z naszych usług, stawa-

* Róża Nowotarska, *Tryptyk wojenny*. Oficyna Poetów i Malarzy, str. 131, Londyn, 1974.

liśmy się często ostatnią deską ratunku. Dla Niemców byliśmy polskimi spiskowcami...”. Okres życia na ulicy Wąskiej, bolesny i wyczerpujący nerwowo, opisany jest z dystansem, niemal, jak kronika w której pełno autentycznych nazwisk: jak np. łączniczki Teresy Lasockiej, albo Feliksa Nowickiego właściciela Foto-Rekordu przy ulicy św. Tomasza. W tym to zakładzie fotograficznym, w jego ciemni, Feliks Nowicki przechowywał w pewnym okresie trzydziestu młodych Żydów, których Róża stopniowo „wysyłała” na roboty do Austrii wyrabiając im nielegalne Kennkarty.

Trzecia część to podróż-ucieczka do Wiednia z przedawnioną już przepustką niemiecką. Wydalona uprzednio z miejsca pracy na Wąskiej jako „wróg działający na szkodę Trzeciej Rzeszy”, autorka zaczyna borykać się z życiem w bombardowanym Wiedniu.

Książka pisana jest bezpośrednio, w sposób wciągający w akcję poprzez żywość dialogu, obrazowość opisu i umiejętność wprowadzenia napięcia.

Danuta MOSTWIN

Nadesłane nowości wydawnicze

- BROCKMÖLLER (Klemens, S. J.). *Cywilizacja przemysłowa i religia*. Tłumaczyła z niemieckiego Karolina Medwecka, okładka Romana Cieśliewicza. Str. 255 i 1 nlb. Kolekcja „Znaki Czasu” Tom 27. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1974).
- BREGMAN (Aleksander). *Najlepszy sojusznik Hitlera*. Str. 160 i 2 nlb. Wydanie IV-te fotograficzne. (Wyd. Księgarnia Polska Orbis, Londyn, 1974).
- POMIAN-POZERSKA (Alicja). — *Koncert E-moll i wiersze inne*. Zbiór poezji — tom II. Str. 263 i 3 nlb. (Wyd. Veritas Foundation, San Francisco (USA), Londyn, 1974).
- KRASIŃSKI (Janusz). *Haracz szarego dnia*. Str. 230 i 2 nlb. Wydanie II. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1973).
- PARNICKI (Teodor). *Rodowód literacki*. Str. 225 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Wydawniczy „PAX”, Warszawa, 1974).
- CZERMIŃSKA (Małgorzata). *Teodor Parnicki*. Str. 209 i 3 nlb. (Wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, seria: Portrety współczesnych pisarzy polskich, Warszawa, 1974).
- TAUBER-ZIOŁKOWSKI (Andrzej). *Oficyna Poetów 1-25 — Bibliografia zawartości*. Str. 114. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1973).
- SCHEPS (Samuel). *The Dethronement of Gold*. Towards a New Image of Currencies. Str. 180. (Wyd. Wentworth Press, Londyn, 1971).
- WYNOT (Edward D. Jr). *Polish Politics in Transition*. The Camp of National Unity and the Struggle for Power, 1935-1939. Str. 294. (Wyd. University of Georgia Press, Athens, 1974).
- Archiepiscopal and Patriarchal Autonomy*. A Symposium held on July 15, 1972 at Lincoln Center Campus. Str. 74 i 8 nlb. (Wyd. Fordham University, New York, 1972).

Sprawy (nie tylko) wydawnicze

Książki o nieprzemijającej wartości

Irenie Krońskiej

Biblioteka Klasyków Filozofii

Wspomnienia o Irenie Krońskiej, tłumacze Lukrecjusza i poetce, pozostanie żywe wśród licznych przyjaciół, wśród wszystkich czytelników dzieł filozoficznych w Polsce. Redagowana przez nią Biblioteka Klasyków Filozofii i edycja dzieł Platona w przekładzie Witwickiego stanowi nieoceniony warsztat naukowy dla każdego humanisty w Polsce.

Osobliwe są dzieje tej Biblioteki, która powstanie swoje zawdzięcza... stalinowsko-bierutowskiemu zglajchszaltowaniu uniwersyteckiej filozofii polskiej. Był to podobno pomysł Adama Schaffa i Karola Kuryłuka: na bocznym, edytorskim torze postanowiono wykorzystać ogromną wiedzę usuniętych z uniwersytetów „niemarksistowskich” filozofów. Przy organizowanej wówczas Polskiej Akademii Nauk rozpoczął prace pod przewodnictwem Tadeusza Kotarbińskiego Komitet Redakcyjny Biblioteki Klasyków Filozofii. Było to właściwie seminarium historii filozofii na najwyższym poziomie naukowym. Tłumacze, redaktorzy, autorzy wstępów i komentarzy wiedli uczone spory w sprawach doboru dzieł, kolejności ich wydania, interpretacji tekstu. Spór dotyczył często terminologii, trafności definicji, oceny dawnych i nowych przekładów. Zapraszany „z urzędu” na posiedzenia Komitetu w ciągu 12 lat mojej pracy w Państwowym Wydawnictwie Naukowym, zachowam na zawsze w pamięci klimat tych zebrań, żarliwość dyskusji z udziałem czołowych uczonych polskich. Szczególna to ironia losu — profesorowie odsunięci od „złubnego” wpływu na kilkudziesięcioosobowe audytorium studentek, uzyskali możliwość przekazania całej inteligencji polskiej w sposób najpełniejszy wszystkich niemal podstawowych dzieł niemarksistowskich kierunków filozoficznych.

Osiemnastoletni dorobek Biblioteki Klasyków Filozofii 1951-1968 świadczy o dopełnieniu przez Irenę Krońską niezbędnych warunków powodzenia serii wydawniczej. Po pierwsze była ona POTRZEBNA — na tego typu warsztat wiedzy filozoficznej czekał stosunkowo liczny zastęp pracowników naukowych ze wszystkich dziedzin humanistyki oraz miłośników literatury filozoficznej.

Poza tym redakcji udało się zgromadzić liczny zespół specjalistów najwyższej klasy — autorów wstępów, komentarzy, przekładów. W tym gronie mógł powstać gruntownie przemyślany naukowo uzasadniony program serii.

Dalsze warunki wydawania stukilkudziesięciotomowej serii są oczywiste: zapewnienie środków finansowych, zorganizowanie produkcji i sprzedaży. Szczególna jednak rola — decydująca zawsze o powodzeniu serii — przypada jej redaktorowi naczelnemu, organizatorowi całości, o niezbędnych po temu kwalifikacjach naukowych i moralnych.

Prawdziwe to szczęście wydawcy pierwszych tomów Biblioteki Klasyków Filozofii (PIW'u i Karola Kuryłuka), że pozyskał Irenę Krońską na jej redaktora. Bez niej może by w ogóle nie było tej serii, a w każdym razie Biblioteka nie osiągnęłaby tego poziomu przekładu i opracowania tekstu.

O śmierci Ireny Krońskiej było jednak w prasie krajowej zupełnie niemal głucho. *Twórczość* (1974) — i to dopiero w numerze kwietniowym — zamieściła w rubryce marginesowych Not styczniowe wypowiedzi (zapewne w dniu pogrzebu Ireny Krońskiej) Tadeusza Kotarbińskiego i Zb. Kunderewicza. *Kotarbiński*: „Irena Krońska wchodziła w meritum przekładów i wstępów, pilnując znamienego doboru tekstów, ścisłości ich tłumaczeń i w ogóle autentyczności historycznej”. *Kunderewicz*: „Przez osiemnaście lat jest kierownikiem redakcji Biblioteki Klasyków Filozofii. Głównie z jej inicjatywy, a zawsze dzięki jej wysiłkowi organizacyjnemu ukazało się ponad 100 tomów pism, należących do dorobku filozoficznego całej ludzkości. W dziejach kultury polskiej jest to dzieło bez precedensu, a jego znaczenie będzie odczuwało wiele jeszcze następnych pokoleń”.

Ale w obu tych wypowiedziach brak — może za sprawą cenzury — dwu istotnych informacji. Dlaczego to Irena Krońska po 18 latach ofiarnej pracy „musiała — jak pisze Kunderewicz — porzucić pasjonującą pracę w Bibliotece Klasyków Filozofii”? Jak odczuwać będą jej znaczenie następne pokolenia, jeśli nawet obecne nie może nabyć wydanych przez Irenę Krońską tomów tej Biblioteki?

W sprawie pierwszej najpierw odrobina semantyki: „musiała porzucić” oznacza działanie wprawdzie pod przymusem, ale podjęte z własnej inicjatywy. Prawda jest nieco inna: Irena została w roku 1968 wraz z wielu innymi bezceremonialnie wyrzucona z pracy z dnia na dzień w trakcie neofaszystowskiego pogromu „rewizjonistów i syjonistów” w Państwowym Wydawnictwie Naukowym (wykonawcy: komisaryczny zarządca PWN Wołczyk, Re-

daktor Naczelny Chwieduk). Irena co prawda nie pozostawała bez pracy (jak inni) — przygarnęła ją *Twórczość* — ale to niczego w ocenie faktu nie zmienia: jej usunięcie ze stanowiska stanowi nie tylko krzywdę osobistą, ale również niepowetowaną szkodę społeczną.

Wypzedaż

Nie wystarczyło uderzenie Człowieka, trzeba było zniszczyć jego dzieło. Pisałem już na tych łamach o pasji niszczenia dorobku humanistyki polskiej w mrocznych dniach 1968 roku. Co prędzej, za wszelką cenę należało zetrzeć z powierzchni ziemi wszystko do czego przyłożyli rękę rewizjoniści: znieśli i „poprawić” w nowym duchu Wielką Encyklopedię Powszechną, wrzucić do kotła encyklopedie w językach obcych o Polsce — przeznaczyć na makulaturę każdą książkę nieprawomyślnego autora.

Wobec Biblioteki Klasyków Filozofii zastosowano odmienną taktykę: chodziło o to, by jak najszybciej znikły z półek księgarskich tomy z nazwiskiem Ireny Krońskiej, Leszka Kołakowskiego i wielu innych. Ogłoszono wypzedaż Biblioteki; nie była to obniżka cen, ale nieomal rozdawnictwo za pół darmo, ceny ustalano na poziomie kosztów papieru i oprawy. Nakłady, drukowane z myślą o wieloletnim zapasie, znikły z księgarń w ciągu kilku tygodni.

Byłem świadkiem tego osobliwego runu na dzieła filozoficzne. Obok tłoczących się studentów i miłośników książek, walizkami wnoszący tomy BKF znane postaci czarnego rynku księgarskiego — kioskarze i „eksporterzy”. Wkrótce ofiarowali je publiczności w kraju i za granicą, a nawet państwowym antykwariatom po cenie niewspółmiernie wyższej.

„Biblioteka Klasyków Filozofii” jutro

O dalszych losach Biblioteki za wcześniej jeszcze pisać. Jak się wydaże z ostatnich tomów i zapowiedzi wydawniczych w Bibliotece ukażą się m.in. dalsze ważne dzieła filozoficzne. Czy jednak wznowione zostaną w niezmiennym kształcie wszystkie tomy wyczerpane? Czy Biblioteka będzie stale w pełnym komplecie do nabycia w księgarniach? Czy wreszcie zamysł i założenia redakcyjne serii będą respektowane przy nowych edycjach?

Na te pytania odpowiedzi udzielić może tylko wydawca. Warto mu jednak przypomnieć o obowiązującym w Polsce prawie autorskim. (Na tych łamach aż nazbyt często — ostatnio Miłosz — przypomina się o przepisach prawnych nie tylko Państwowemu Wydawnictwu Naukowemu). Prawo do nazwy serii i do ustalonego kształtu edytorskiego służy bowiem temu, kto ją powołał do życia, a więc Komitetowi Redakcyjnemu i Irenie Krońskiej, działającej z jego upoważnienia. Nie wolno więc używać nazwy

serii, jeśli się wznawia tom wydany w postaci zniekształconej, z pominięciem na przykład jakiegoś istotnego elementu opracowania, nazwiska twórcy, czy redaktora itp.

Obowiązuje również wydawcę wierność ustalonym zasadom programowym i edytorskim. Można je streścić w paru słowach: wierny, pełny przekład, wstęp i aparat naukowy w opracowaniu uczonego, posiadającego wiedzę w tej dziedzinie oraz szacunek dla poglądów autora komentowanego dzieła. Jeśli nie dzieli on tych poglądów, to musi choćby doceniać ich wartość naukową.

Nazwa Biblioteki Klasyków Filozofii łączyć się będzie zawsze w historii polskiego ruchu wydawniczego z nazwiskami członków jej Komitetu Redakcyjnego i nie może być nadużywana do wydań z natrętnymi komentarzami przeciwników ideologicznych autora dzieła. W ZSSR czytelnicy dzieł „niemarksistowskich” filozofów w przekładach rosyjskich nazywają smętnie metodę opatrywania tych książek „partyjnymi” wstępami — „odgradzaniem od książki bagnetami” (*wstreczat’ czytателя w sztyki*). Naruszenie ustalonej konwencji BKF we wznowianych i nowych tomach byłoby największą krzywdą wyrządzoną pamięci Ireny Krońskiej.

Jeśli jednak założenia redakcyjne Biblioteki Klasyków Filozofii będą przez obecną redakcję i przez wydawcę respektowane, jeśli jej dalsze tomy i wznowienia będą rzetelne — to obowiązują przepisy prawa autorskiego. Żaden tom Biblioteki — nawet tom nowy, a tym bardziej wznowiony — nie powinien się ukazać bez adnotacji o moralnym prawie własności autorskiej zmarłego twórcy serii: „Biblioteka zainicjowana i realizowana 1951-1968 przez Irenę Krońską (zm. 1974)”. Tyle się należy Jej pamięci, i to zgodnie z przepisami polskiego prawa autorskiego.

Edytor — „perfekcjonista”

Jeszcze tylko kilka uwag.

Liczni są w Polsce edytorzy naukowcy o wielkich zasługach dla polskiej kultury. Łatwo by wyliczyć dobrą setkę nazwisk ze wszystkich dziedzin wiedzy — od literatury do muzykologii, od fizyki i matematyki do cybernetyki. Można by ich podzielić na dwie grupy: edytorzy związani z warsztatem instytutów naukowych i wyższych uczelni oraz edytorzy instytucji wydawniczych. Nieliczni tylko — o przyczynach wiele by można powiedzieć — potrafili połączyć własną pracę naukową z pracą edytora naukowego w instytucjach wydawniczych.

W tej dla ruchu wydawniczego niezwykle cennej grupie była Irena Krońska postacią najwybitniejszą. Obok rozległej wiedzy i doskonałej znajomości rzemiosła wydawniczego, cechowała ją jeszcze jedna zaleta edytora — łatwość kontaktu z ludźmi, kultura osobista, umiejętność grupowania wokół siebie zespołu specjalistów, zjednoczonych mimo różnic poglądów wspólnymi za-

interesowaniami i zapałem w realizacji wspólnego ważnego dzieła.

Umiejętność pozyskania sobie życzliwości ludzkiej niezbędną jest również w prozaicznych kontaktach edytora naukowego z pracownikami działów technicznych, drukarzami, korektorami wydawnictwa. Nie darmo nazywają oni edytorów naukowych na poły z podziwem, na poły z niechęcią „perfekcjonistami”. Pamiętam, że przy druku każdej książki Ireny dochodziło niemal do awantur. Szpalty z jej korektą roiły się od zmian redakcyjnych. Dopiero w czasie korekt następowała jakaś genialna zmiana paru terminów flozoficznych, co powodowało przetopienie znacznej części składu, nowe korekty szpaltowe. Koszty dodatkowe Redakcji Biblioteki spędzały sen z oczu księgowym, stanowiły łakomy kąsek dla wszelkich organów kontroli.

Ile uroku osobistego i swoistej dyplomacji musi rozwijać „perfekcjonista”, by 18 lat bronić w tych warunkach możliwie doskonałego kształtu kolejnych tomów „swojej” serii! Irena była zawsze okropnie każdym zarzutem zmartwiona, rozbrajała jednak wszystkich (udaną czasem) bezradnością: nie można przecież niczego zaniedbać, co może podnieść jakość przekładu, czy opracowania tak ważnych dzieł. Był w jej postawie godny podziwu upór i potępienie niedoskonałości własnej i bliźnich, co nieraz zrażało do niej nawet najbliższych współpracowników. Ale wybaczano jej wszystko w uznaniu dla jej postawy, entuzjazmu, wiedzy i rzetelności.

Serie wydawnicze w Polsce

Mam przed sobą opracowany przez Anielę Morawską wykaz 1500 (!) serii wydawniczych wydawanych w Polsce powojennej (Warszawa, WP 1971). Przy każdej serii beznamiętnie przytacza się te same elementy opisu — znak serii, wykaz tytułów, średni nakład, średnia cena — od szmatławych zeszytów „Żółtego tygrysa” aż do Biblioteki Klasyków Filozofii. Ale na 646 stronicach ani jednego nazwiska edytora, inicjatora serii, ani jednej wzmianki o Komitecie redakcyjnym serii. Nawet najbardziej szacowne nazwiska serii wydawniczych Polskiej Akademii są pominięte. Ostrożność nigdy nie zawadzi.

Ale ogromna większość serii wydawniczych w Polsce istotnie obywa się w Polsce bez edytora naukowego, bez komitetu redakcyjnego. W wielu seriach, w których takie komitety powołano, nie drukuje się nazwisk jego członków. Jest to ten sam niepiękny obyczaj anonimowości pracy redakcyjnej, który powoduje, że większość organów prasowych redaguje anonimowe „kolegium”.

Anonimowa jest więc redakcja wielu znakomitych serii wydawniczych w Polsce. Nie dowie się czytelnik kto odpowiada za dobór dzieł w serii, zapoczątkowanej piękną książką Ceram'a (Państwowy Instytut Wydawniczy), serii poetyckich, biblioteki

międzywojennego XX-lecia, biblioteki najcelniejszych dzieł literatury światowej, starannie wydawanej serii „z jednorożcem”, biblioteki „z Nike” i wielu innych.

A przecież jednocześnie drukuje się w Polsce w każdej książce nazwisko redaktora (odpowiedzialnego!), a nawet redaktora technicznego i często korektora książki. Są to bowiem pracownicy wydawnictwa, których można pociągnąć do odpowiedzialności za każdy ujawniony po wydaniu błąd. Można drukować nazwiska „chłopców do bicia”, ale żaden rozważny „działacz partyjny” w fotelu dyrektora domu wydawniczego nie kwapi się z ujawnieniem nazwisk inicjatorów i redaktorów serii.

Jeśli jednak socjaliści postulują powoływanie redaktorów serii i ujawnianie zespołów decydujących o programach wydawniczych, to nie tylko w imię zasad demokratyzacji stosunków autor-wydawca-czytelnik. Chodzi o coś znacznie bardziej konkretnego — o zwalczanie asekuranctwa wydawców — niebezpieczeństwa dostrzeganego i potępianego nawet w kraju. Cytowałem w niniejszej rubryce jednoznaczne opinie na ten temat np. Głowackiego i Siekierskiego. W takich jawnych komitetach-zespołach decydujących o doborze dzieł (znamiennym — jak pisze Kotarbiński) znajdują się sami pisarze i przedstawiciele świata nauki, krytycy literaccy różnych „szkół” i kierunków. Jeśli są to ludzie zatroskani o stworzenie klimatu sprzyjającego rozwojowi kultury, ludzie nie zatruwani wiecznie o swoje posady i nie podporządkowani „służbowo” żadnemu „czynnikowi decydującemu”, to łatwiej im będzie bronić prawa autorów do publikacji utworów kontrowersyjnych, rzetelnych.

Socjalizm w wydawniczym świecie wymaga stworzenia w instytucjach wydawniczych klimatu korzystnego dla ludzi pokroju Ireny Krońskiej. Liczny ich zastęp na wszystkich odcinkach działalności kulturalnej jest bowiem zaczynem postępu i rozwoju kultury polskiej.

Adam BROMBERG

Uppsala, 31 lipca 1974.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

KRAJ — BLOK WSCHODNI

7-10-74

W Warszawie zmarł prof. Jerzy Starościk, wybitny znawca prawa administracyjnego.

15-10-74

Minister Obrony Narodowej PRL przyznał doroczne masowe nagrody „dla naukowców i twórców kultury, zajmujących się problematyką wojska i obronności kraju”. W dziedzinie literatury nagrody otrzymali: Jerzy Jesionowski, Monika Warneńska, gen. Jan Śliwiński, Krystyna Kozłowska, Leon Lubecki. ■ PRL podpisała z Austrią porozumienia na dostawę energii elektrycznej dla Austrii, oraz na dostawę na warunkach kredytowych austriackich urządzeń dla polskich zakładów przemysłowych. Kredyty mają wynieść 165 milionów dolarów. ■ W Warszawie podpisano umowę o udziale banków kanadyjskich i amerykańskich w finansowaniu dalszego rozwoju przemysłu miedzi w PRL.

16-10-74

W ub. roku uczyło się na wyższych uczelniach PRL 500 studentów polonijnych. W bieżącym roku akademickim będzie studiowało w Polsce ponad 700 osób, w tym 30-ci na studiach podyplomowych i doktoranckich. Od stycznia 1975 roku stypendium dla studentów polonijnych ma być podwyższone do 1.600 zł miesięcznie, plus bezpłatne mieszkanie w domu akademickim.

20-10-74

Prasa krajowa donosi, iż na początku przyszłego roku ukaże się w PIW-ie książka Mariana Pankowskiego pt. „Granatowy goździk”. ■ Zakłady Metalowe im. gen. Waltera w Radomiu produkują maszyny do pisania „Łuczniczka”. Produkcja wynosi 35 tysięcy na kraj, a 2.000 na eksport. ■ *Głos Szczeciński* donosi z Rzeszowszczyzny: w sierpniu br. przysłano tu 5.160 par obuwia z Chełmka, z czego 2.787 trzeba było reklamować. Z Chełma Lubelskiego nadeszło 5.213 par, z których 3.395 odesłano z powrotem. Ze Słupska trafiło do województwa 7.359 par, wśród których odnaleziono „aż” 90 par do użytku. Jednak rekordy brakoróbstwa pobiły Zakłady Obuwnicze z Łukowa i Spółdzielnia im. 22 Lipca ze Szczytna. Wyeksportowały one łącznie 2.710 par butów do Rzeszowskiego. Wszystkie (!) okazały się bubłami.

22-10-74

Stan wkładów pieniężnych w PKO wyniósł na dzień 30. 9. br. 209 miliardów 372 miliony złotych. Stan zadłużenia ludności w PKO z tytułu otrzymanych kredytów wniósł jedynie 28,9 miliardów złotych.

23-10-74

Międzynarodowy Komitet Olimpijski zdecydował, że letnie igrzyska olimpijskie w roku 1980 odbędą się w Moskwie.

30-10-74

Tajemnice statystyki PRL'u: wicemin. Rolnictwa, Kazimierz Jarosz oświadczył redakcji *Zycia Warszawy*, że spożycie owoców w PRL wynosi 36 kg na mieszkańca, zaś warzyw 96 kg rocznie. Natomiast miesięcznik *Ogrodnictwo* podaje, że „statystyczny Polak zjada rocznie 71 kg warzyw i 49 kg owoców.

31-10-74

Zmarł w Warszawie, w wieku 57 lat, wybitny geolog dr Jan Wyrzykowski, odkrywca „wielkiej miedzi” w Polsce.

1-11-74

Kurier Szczeciński donosi o spadku transportu żeglugi śródlądowej: z 13,5 % towarów przewożonych do Szczecina i Świnoujścia transport spadł do 11,8 %. Powodem jest zła organizacja żeglugi śródlądowej i brak barek. ■ Trzej intelektualiści węgierscy — György Konrad, Tamas Szentjoby i Ivan Sezenyi — którzy zostali aresztowani 22. 10. br. w Budapeszcie, wyjechali na Zachód. Węgierskie władze bezpieczeństwa postawiły ich przed alternatywą: proces, albo wygnanie. Wszyscy trzej zdecydowali się na emigrację. ■ Państwowe Wydawnictwo Naukowe przygotowuje Encyklopedię poświęconą wyłącznie Warszawie. Ukaże się ona w 30-tą rocznicę „wyzwolenia stolicy” w nakładzie 50.000 egzemplarzy.

2-11-74

Rada Państwa PRL nadała Bertholdowi Beitzowi przewodniczącemu rady nadzorczej Kruppa, order zasługi II klasy za „niesienie pomocy Polakom w czasie okupacji hitlerowskiej i za przyczynienie się do rozwoju stosunków między PRL i NRF”.

3-11-74

W Wydawnictwie Literackim w Krakowie ukazała się książka Tadeusza Kempnińskiego „Witold Gombrowicz i świat jego młodości”. Książka wnosi szereg szczegółów dotyczących rodziny Gombrowicza i zawiera wspomnienia autora. ■ Gabinet i księgozbiór Melchiora Wańkowicza zostały przekazane przez córkę pisarza, Martę Erdmanową, do muzeum literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie. ■ W studenckim klubie uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu odbyło się przedstawienie „Ślubu” Gombrowicza, w wykonaniu zespołu teatralnego z Warszawy, złożonego ze studentów Wyższej Szkoły Teatralnej. Przedstawienie to było już prezentowane na festiwalu szkół artystycznych.

5-11-74

Nagrody tygodnika *Przyjaźń* za najwybitniejsze osiągnięcia w dziedzinie prezentacji dramaturgii ZSSR na scenach polskich zostały przyznane: Bronisławowi Dąbrowskiemu za całokształt prac inscenizacyjnych, A. Hanuszkiewiczowi za reżyserię sztuki Turgieniewa „Miesiąc na wsi”, G. Holoubkowi za rolę Czeszkowa w sztuce Dworeckiego „Człowiek z nikąd”. ■ *Trybuna Ludu* podaje iż 4-ta część długości wszystkich rzek w PRL jest zanieczyszczona w wysokim stopniu i że wody ich znalazły się poza klasyfikacją. Wody na 30 % długości rzek nadają się do rekreacji, a 20 % może być wykorzystane dla potrzeb przemysłu i rolnictwa. W ciągu ostatnich dwóch lat oddano do eksploatacji 50 oczyszczalni miejskich. Plan na lata 1971-75 przewiduje budowę 870 zakładów oczyszczania ścieków. ■ Simas Kudirka (patrz „Kronika Litewska” w nrze 10/325 *Kultury*) wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie Kongres przyznał mu obywatelstwo USA. ■ Ryszard Wójcik, wojewoda lubelski i przewodniczący Twa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Lublinie, udzielił wywiadu o ogromnym i spontanicznym rozwoju przyjaźni polsko-sowieckiej na terenach przygranicznych, a specjalnie w ośrodkach wiejskich. Mówiąc o konkretnych korzyściach z tak żywych kontaktów podaje: „W latach 50-tych pierwsi w kraju otrzymaliśmy od brzeskich rolników kilka worków pszenicy mironowskiej w zamian za nasze ziemniaki, a od leśników z Wołynia, którym posłałiśmy żywe bażanty — nadeszły sadzonki szybkorosnących topoli”.

7-11-74

IX krajowy zjazd Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej wybrał na przewodniczącego Jana Szydłaka, członka Biura Politycznego i Sekretarza KC PZPR. ■ W 1973 roku PRL zajmowała 11 miejsce w świecie w produkcji zbóż i mięsa, drugie w produkcji ziemniaków, oraz szóste w produkcji mleka. W tymże samym roku sprzedano na Zachód ziola i preparaty zielarskie za 21 milionów złotych dewizowych. W bieżącym zaś roku sprzedano za granicę 10 tysięcy koni za ogólną kwotę 25 milionów złotych dewizowych.

8-11-74

PRL zawiesiła ostatni eksport cukru w związku ze złym zbiorem buraków cukrowych w Europie Zachodniej, w ZSSR i Polsce. Ceny cukru na rynku światowym ostatnio rekordowo wzrosły. Spowodowane jest to m.in. wielkimi zakupami Algierii i Węgier. ■ Agencje zachodnie podają, że policja sowiecka odkryła w Rydze tajną drukarnię, wyspecjalizowaną w drukowaniu Biblii. Zaaresztowano 9 osób i zajęto 15 tysięcy egzemplarzy Nowego Testamentu oraz 16 ton papieru. Od 1970 roku drukarnia ta, położona dokładnie na przeciwko komisariatu policji, produkowała 500 Biblii dziennie.

10-11-74

W br. PRL wyeksportowała sprzęt turystyczny na sumę 120 milionów złotych dewizowych. Głównymi odbiorcami są kraje Europy Zachodniej i USA. ■ Redakcja warszawskiej *Kultury* i *Kraju RAD* ogłosiły konkurs na wspomnienie-pamiętnik na temat „Mój pierwszy dzień wolności”. Nagrodzone prace będą zamieszczone w tych czasopiśmie. Przewidziane są wysokie nagrody. ■ W związku ze zbliżającym się walnym zjazdem delegatów Stow. Dziennikarzy Polskich podano, że Stowarzyszenie liczy 6300 dziennikarzy, pracujących w prasie, radio i telewizji. ■ Two Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, min. Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, Zarząd SZSP i redakcja *Nowych Dróg* ogłosiły stały konkurs na prace magisterskie poświęcone Związkowi Sowieckiemu i przyjaźni polsko-sowieckiej. ■ Głośna Panorama Raclawicka ma być umieszczona w Krakowie, a nie — jak poprzednio zdecydowano — we Wrocławiu. Miasto Wrocław zbudowało w swoim czasie specjalną rotundę dla Panoramy, która ma być obecnie wykorzystana na stałą wystawę, obrazującą dzieje walki o polskość i wyzwolenie Ziemi Zachodnich.

11-11-74

Został zakończony trwający od 10 lat spór co do autentyczności obrazu El Greco „Ekstaza św. Franciszka”. Obraz ten został znaleziony w 1964 roku w Kosowie Lackim, pow. Sokołów Podlaski. Komisja ekspertów pod przewodnictwem prof. J. Starzyńskiego stwierdziła jego autentyczność.

14-11-74

Prezydium Twa Łączności z Polonią uchwaliło adaptację zamku w Pułtusk jako miejsce polonijnych konferencji i zjazdów. W Pułtusk mają powstać „liczne nowe obiekty” dla Polonii. Zostanie więc wybudowany hotel na 80 miejsc, stylowe domki wypoczynkowe na 120 miejsc, a także będzie zbudowany motel”.

18-11-74

Na Opolszczyźnie w Chorzelicach zakończono montaż 160-metrowego masztu, który umożliwi w całym województwie oglądanie warszawskiej telewizji. ■ Na tej samej Opolszczyźnie, we wsi Gola, powstała 101 spółdzielnia produkcyjna, założona przez 15 rolników. Dysponują 200 ha ziemi i mają dostać przydział gruntów z państwowego Funduszu Ziemi.

19-11-74

Czeski Czechowicz. „Prawda” podaje, że pracownik czechosłowackiego wywiadu wykonał „specjalne zadanie” i po dłuższym okresie obracania się w kołach emigracji czeskiej oraz Free Europe powrócił do kraju. Radio czeskie rozpoczęło nadawanie szeregu jego audycji ilustrowanych nagraniami rozmów z czeskimi współpracownikami radia Free Europe i działaczami emigracyjnymi.

21-11-74

Zmiany w rządzie PRL: Henryk Kisiel, wicemin. Handlu Zagranicznego został min. Skarbu na miejsce Stefana Jędrzychowskiego. Jest to koniec kariery Jędrzychowskiego, ostatniego współpracownika Gomułki. Jerzy Olszewski, dotychczasowy min. Chemii, został min. Handlu Zagranicznego i Gospodarki Morskiej. Dotychczasowy kierownik tego ministerstwa wicepremier Kazimierz Olszewski ma podobno zachować kontrolę ministerstwa. Maciej Wirowski, wiceprezes Komisji Planowania, został min. Chemii. Tadeusz Rudolf, wiceprzewodniczący Rady Zw. Zaw., został mianowany min. Pracy na miejsce Wincentego Kawalca, który wycofuje się z polityki. Zdymisjonowano wiceministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego i Techniki, Zdzisława Kaczmarka.

W listopadzie przysły na Zachód wiadomości: 1) O rozporządzeniu Najwyższej Rady Gruzińskiej SSR wzywającym ludność Gruzji do oddawania nielegalnie posiadanej broni palnej oraz kindżałów, staroświeckich szabli, fińskich noży i w ogóle wszelkich długich noży. Zabroniono noszenia kindżałów i jakiegokolwiek starej broni na festiwalach sztuki ludowej i na imprezach folklorystycznych. 2) O nowym procesie politycznym, jaki odbył się w Erywaniu przeciwko „Zjednoczonej Narodowej Partii Ormiańskiej”. Skazano kilkunastu działaczy tej organizacji, głównie studentów, przeciętnie na 7 lat ciężkiego więzienia i 3 lata zsyłki. Głównym zarzutem aktu oskarżenia było sformułowanie manifestu przeciwko rusyfikacyjnej polityce „nowych carów”. Ponadto w ramach odrębnego postępowania sądowego aresztowano kilku studentów za zorganizowanie nielegalnych radiostacji anarchistycznych pod nazwami „Czarny szatan” i „Czarny tulipan”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

W 30-tą rocznicę istnienia PRL w kościele polskim w Mannheimie (NRF) została odprawiona msza św. za ofiary terroru Polski Ludowej.

19-9-74

Prokuratura w Hamburgu zawiadomiła Władysława Żeleńskiego, że dochodzenie w sprawie śmierci profesorów Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego we Lwowie — dr. Stanisława Roziewiczza i dr. Henryka Korowicza, zamordowanych 11 lipca 1941 roku i profesora Politechniki, b. premiera dr. Władysława Bartla, zastrzelonego 26 lipca 1941 roku, jest prowadzone i jest skierowane przeciwko Wilhelmmowi Rosenbaumowi i Alfredowi Kückowi, podejrzany o dokonanie tej zbrodni. Prokuratura NRF w Dortmundzie natomiast zawiadomiła w lipcu br. przedstawiciela strony skarżącej, adw. dr. Roberta Kempnera, że postępowanie w sprawie przeciwko winnym zamordowania profesorów i ich rodzin, będzie prowadzone przez prokuraturę w Ham-

burgu, ale że podejrzany Hans Krüger — były komisarz Gestapo, obciążony w tej sprawie przez Kutschmanna — nie będzie objęty tym dochodzeniem, gdyż jest już w innej sprawie (za zamordowanie tysięcy Żydów w Stanisławowie) skazany na dożywotnie więzienie — czyli na najwyższą karę. Prokuratura w Dortmundzie stoi na stanowisku, że w tym stanie rzeczy ewentualne ponowne skazanie Krügera nie mogłoby zaważyć na jego losie, zapomina jednak, że chodzi przede wszystkim o pełne wyswietlenie mordu, co — wobec własnych wypowiedzi Krügera na temat tej zbrodni wobec Lanckorońskiej w 1942 roku — nie da się osiągnąć bez objęcia go tym postępowaniem sądowym. Toteż adw. Kempner wniósł natychmiast zażalenie do prokuratury Sądu Apelacyjnego w Hamm, domagając się uchylecia tej decyzji w stosunku do Krügera i zdjęcia z niego tego szczególnego immunitetu. Inż. Zdzisław Pręgowski, rodem ze Lwowa, właściciel przedsiębiorstwa archektonicznego w Zürichu, i były kustosz polskiego muzeum w Rapperswilu, rozpisal zbiórkę wśród Lwowian na rzecz funduszu pomocy dla akcji, prowadzonej przez Wł. Żeleńskiego, przy czym sam zaoferował na ten cel Frs. 5.000, przeznaczając je na koszt adwokackie itp.

12-10-74

Jury nagrody Fundacji im. Anny Godlewskiej przyznało nagrody literackie, wynoszące po 5.000 franków szwajcarskich każda, Zofii Kozarynowej, Teodozji Lisiewicz, Danucie Mostwin i Ignacemu Wieniewskiemu. Ponadto przyznano nagrodę w wysokości 3.000 Fr.Szw. ochotniczemu zespołowi pracowników Instytutu Polskiego i Muzeum im. Wł. Sikorskiego.

15-10-74

Na początku bież. roku wyswietlano w Kurytybie krótkometrażowy film pt. „Dzień dobry panie”, wyprodukowany przez Ivens Fontoura. Głównymi „aktorami” jest małżeństwo Józef i Joanna Walczak. Jest to film dokumentarny, przedstawiający dorobek kolonii polskiej w Paranie w dziedzinie rolnictwa.

21-10-74

W Paryżu podpisano umowę o wzniesieniu w przyszłym roku w Paryżu pomnika ku czci Polaków poległych w walkach na ziemi francuskiej w czasie ostatniej wojny. Ze strony PRL umowa została podpisana przez gen. Grudnia, ministra do spraw Kombatantów. Gen. Grudzień był politrukiem w wojskowej służbie wewnętrznej w marynarce wojennej, a następnie został zastępcą szefa głównego zarządu politycznego WP.

24-10-74

W Instytucie Wschodnim „Reduta” w Londynie Józef Łobodowski wygłosił odczyt pt. „Kultura rosyjska w konfrontacji z imperializmem sowieckim”.

25-10-74

W Centre du Dialogue w Paryżu Krzysztof Pomian wygłosił odczyt na temat „Oficjalne a prawdziwe życie umysłowe w Polsce — próba opisu”.

27-10-74

W dniach 25-27 października br. odbyła się w McMaster University w Hamiltonie, Ont. (Kanada) pierwsza na Zachodzie naukowa konferencja o współczesnej Ukrainie z udziałem naukowców amerykańskich, kanadyjskich i brytyjskich, głównie pochodzenia ukraińskiego, ale również i brytyjskiego. W konferencji wzięli udział Żydzi i Rosjanie — emigranci. Mimo dużego zainteresowania tą konferencją naukowców w Kijowie i Lwowie oraz goto-

wości czynników rządowych do wysłania delegacji ukraińskiej na konferencję — ambasador sowiecki w Ottawie, Jakowlew, znany szowinista, udaremnił te starania.

28-10-74

Studium Polski Podziemnej w Londynie w 35-lecie zorganizowania konspiracji wojskowej w Polsce i w 30-lecie Powstania Warszawskiego zorganizowało wystawę „Kraj w walce o wolność 1939-1945”.

1-11-74

Nagrodę *Wiadomości* londyńskich za najlepszą książkę wydaną na emigracji w 1973 roku otrzymał Włodzimierz Odojewski za powieść „Zasypie wszystko, zawieje...” (Instytut Literacki). Nagrodę za najlepszy tekst wydrukowany w *Wiadomościach* otrzymał Leopold Tyrmand za esej „Polacy przegrywają Amerykę”.

5-11-74

Zmarł w Bejrucie, w wieku lat 72, Jan Bociański b. urzędnik MSZ w okresie niepodległości. ■ W Hotel Lutetia w Paryżu miało miejsce kolokwium polsko-francuskie, poświęcone „Ustaleniu elementu współpracy kulturalnej polsko-francuskiej”. Kolokwium zostało zorganizowane przez Haut Comité de la Langue Française. Osobna sesja będzie poświęcona roli prasy, radia i telewizji.

6-11-74

Ernest Bryll, pisarz i poeta, który został niedawno dyrektorem Instytutu Kultury Polskiej w Londynie, w wywiadzie dla Radia Warszawa mówi o swoich usiłowaniach, by m.in. wystawić w Anglii dwie sztuki Wyspiańskiego w reżyserii Andrzeja Wajdy i Konrada Swinarskiego. ■ W PRL odbył się proces przeciwko przedstawicielom firmy Polimex-CEKOP o nadużycia w związku z umowami handlowymi, zawartymi z NRF. Skazano przedstawicieli wspomnianej firmy Lucjana Puppela na 5 lat więzienia i Zenona Pulcownika (przedstawiciela Polimexu w Berlinie Zachodnim) na 3 i pół roku więzienia. Oskarżeni dawali łapówki i dostarczali NRF materiały niezgodne z umowami. Mimo tego Polimex-CEKOP dalej buduje w NRF różne obiekty i podpisuje nowe umowy.

7-11-74

Staraniem intelektualistów rosyjskich i czechosłowackich z ostatniej emigracji powstał w Paryżu „Comité de liaison” mający na celu zorganizowanie pomocy i obrony więźniów politycznych w ZSSR i Czechosłowacji. Inne emigracje mają dołączyć do komitetu w niedługim czasie. W skład komitetu wchodzi m.in. pisarze rosyjscy Wiktor Niekrasow i Władimir Maksimow, matematyk Paweł Litwinow; ze strony czeskiej m.in. Ludek Pachman, i Frantisek Janouch.

8-11-74

Nastąpiło połączenie Radio Liberty i Radio Free Europe w Monachium. Połączenie ma charakter głównie administracyjny — jak wspólne biura etc. W przyszłości jest przewidziane ustalenie wspólnych służb dla obu radiostacji. Jacob D. Beam, b. ambasador USA w ZSSR, został wybrany przewodniczącym rady administracyjnej Radia Free Europe na miejsce gen. Lucius D. Claya, b. szefa armii amerykańskiej w Europie.

9-11-74

Nagroda Kiermaszu Książki Polskiej w Szwajcarii w wysokości 2.000 franków szwajcarskich została przyznana Instytutowi Józefa Piłsudskiego w Londynie za wznowienie i wydanie na emigracji w okresie 1948-1974 9-ciu tomów *Niepodległości*. Jury na posiedzeniu dnia 15. 10. ustaliło dalsze nagrody ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ, które zostaną ogłoszone później. Suma nagród jubileuszowych Kiermaszu Książki Polskiej SPK w Szwajcarii przekroczy kwotę 10.000 — franków szwajcarskich.

15-11-74

W Centre du Dialogue w Paryżu Wojciech Karpiński wygłosił odczyt na temat: „Polska myśl polityczna XIX wieku. ■ Radio Diffusion Française z początkiem 1975 roku likwiduje wszystkie programy obcojęzyczne na krótkich falach; jest ich 16-cie. M.in. będzie zlikwidowany również program polski, zostaną audycje Radio Lille na falach średnich, przeznaczone dla Polonii francuskiej. Na skutek tych zarządzeń ponad 200-tu dziennikarzy, w większości emigrantów, straci pracę.

16-11-74

W Salle Maiesherbes w Maisons-Laffitte została otwarta wystawa „Współcześni malarze i grawerzy polscy” pod protektoratem ambasadora PRL we Francji i prefekta departamentu Yvelines.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

51-szy Sejm Polskiego Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego w Ameryce wybrał ponownie Józefa Osajdę na prezesa organizacji. ■ Polish American Numismatic Association w Chicago ogłasza KONKURS na projekt medalu, który zostanie wybity z okazji 200-letniej rocznicy powstania Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Konkurs otwarty jest dla wszystkich zainteresowanych artystów. Nagrody w łącznej wysokości Dol. 700 zostaną przyznane za trzy najlepsze projekty. Pierwsza nagroda w wysokości Dol. 400, druga — Dol. 200, a trzecia — Dol. 100. Za udział w konkursie nie będą pobierane opłaty, jednakże zgłoszone prace nie będą odsyłane i stają się własnością P.A.N.A. Komitet medalionowy zastrzega sobie prawo dokonania koniecznych zmian w projekcie medalu, który ma zostać wybity — zmiany te będą czynione w porozumieniu z artystą. Medal będzie okrągły o średnicy 62 mm (2.453 cala) i grubości około 5 mm (.200 cala) Rysunek projektu należy przedstawić w formie graficznej z cieniem określającym głębę. Wymiary rysunku: 15 cm (6 cali) średnicy, czyli powiększenie w skali około 3 do 1. Każdy rysunek medalu może być umieszczony na sztywnym papierze o wymiarach mniej więcej 21 cm × 26 cm (8½ cala × 11 cali). Ani nazwisko autora, ani jego inicjały nie mogą być umieszczone na przysłanym projekcie. Autor musi na odwrocie projektu umieścić zaklejoną kopertę ze swoim nazwiskiem i adresem. Natomiast później, w uzgodnieniu z komitetem, nazwisko, czy inicjały laureata mogą zostać umieszczone na wybijanym medalu. Na jednej ze stron medalu musi być umieszczony napis: *Polish American Numismatic Association Chicago*, albo ten sam napis w skrócie: np. *Polish Amer. Numis. Assoc. Chicago*. Na drugiej stronie medalu napis: *200 Years of USA 1776-1976* — albo *200-th Anniversary of USA* — lub — *Bicentennial of USA* — względnie napis o podobnej tematyce. Reszta jest zupełnie dowolna. Ostateczny termin nadsyłania projektów upływa z dniem 31 marca 1975 roku. Prace należy nadsyłać na adres: Polish American Numismatic Association, P. O. Box 1873, Chicago,

Ill. 60690, z zaznaczeniem MEDAL CONTEST. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone najpóźniej do 30 kwietnia 1975 roku. W skład Komitetu Medalionowego wchodzi: Ludwik Kończak, Tadeusz Maczyński, Arthur Marquart i Chester Schafer. ■ W roku 1974 Siostry Felicjanki obchodziły podwójne stulecie: zatwierdzenia swych reguł zakonnych przez papieża i przyjazdu pierwszych sióstr do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ze statystyki wydanej przez Dom Generalny w Rzymie wynika, że całe zgromadzenie liczy obecnie 4.219 sióstr pracujących w 438 domach. Najwięcej domów (327) i sióstr (3.146) liczy zgromadzenie w Stanach Zjednoczonych. Siostry Felicjanki pracują w siedmiu stanach, przede wszystkim w 268 podstawowych szkołach parafialnych. Oprócz tego zajmują się siostry szpitalami, domami dziecka i starców oraz nauczaniem w diecezjalnych szkołach średnich i w trzech szkołach wyższych (college). W Ameryce tworzą Felicjanki siedem grup zwanych prowincjami. Liczba sióstr maleje, bo coraz mniej dziewcząt wstępuje do nowicjatów w każdej prowincji. Praca ulega ciągłym zmianom, bo wiele parafii pozamykało swe szkoły z braku funduszy i malejącej liczby dzieci, inne parafie łączą dwie szkoły w jedną lub je „konsolidują” tak że młodsze dzieci z dwóch parafii uczęszczają do jednej a starsze do drugiej szkoły. Gdzie zanikają szkoły parafialne tam proboszczowie organizują nauczanie katechizmu poza szkołą i w wielu ośrodkach katechizacji czynne są również Felicjanki. Młodsze siostry, urodzone i wychowane w Ameryce mówią i uczą po angielsku, niektóre ledwo rozumieją kilka słów po polsku. (Oprócz Felicjanek czynne są w Ameryce inne zakonnice, jak np. Nazaretanki i kilka zgromadzeń „franciszkańskich” — jak dotąd najliczniejsze są Felicjanki). ■ Współpraca uczelni amerykańskich z PRL: Kansas University współpracuje z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w dziedzinie filologii angielskiej, lingwistyki stosowanej, nauk przyrodniczych i ścisłych; Uniwersytet w Gainsville współpracuje z uniwersytetem poznańskim w dziedzinie telekomunikacji, lingwistyki stosowanej, filologii angielskiej i nauk matematyczno-biologicznych; Uniwersytet w Oregon współpracuje z Politechniką Wrocławską w dziedzinie fizyki; Uniwersytet w Maryland z Politechniką Gdańską; Uniwersytet w Stanford współpracuje z Uniwersytetem Warszawskim przyjmując na roczne staże naukowe przedstawicieli nauk ścisłych i filologii angielskiej. Współpraca z Fundacją Forda obejmuje wymianę stypendystów w dziedzinie lingwistyki i zarządzania. ■ Departament slawistyczny University of Illinois at Chicago Circle uruchamia w bież. roku akademickim 11 kursów polskich z zakresu języka, kultury i literatury. Kursy będą prowadzone m.in. przez dr. Tymona Terleckiego i dr. Tymoteusza Karpowicza, który w ubiegłym roku przybył z Polski. ■ W czasie wizyty Edwarda Gierka w Stanach I sekretarz PZPR i prezydent Gerard Ford podpisali dwie umowy handlowe. Do chwili podpisania umów wymiana handlowa między Polską a Stanami opierała się głównie na eksporcie i imporcie produktów rolnych i zwierzęcych. Stany eksportowały do Polski pszenicę, soję, kukurydzę, jęczmień, olej lniany i skóry zwierzęce. Ze strony Polski głównym artykułem eksportowym były szynka i wódka. Dopiero z początkiem roku 1973 rozwinął się eksport polskiego węgla, którego zapotrzebowanie wzrosło wraz ze wzrostem cen ropy. Obecnie struktura i rozmiary wymiany handlowej między Stanami a Polską ulegną zasadniczej zmianie. Stany Zjednoczone ofiarowały Polsce kredyty w wysokości do ½ miliarda dolarów rocznie na okres do 1981 roku, w którym umowy handlowe wygasają. Do roku 1980 obroty handlowe między Stanami a Polską mają wynieść 2 miliardy rocznie. Stany Zjednoczone mają udostępnić Polsce najnowszą technologię celem udoskonalenia gazyfikacji węgla, skraplania gazu ziemnego jak również zobowiązały się zaopatrzyć przemysł hutniczy w najbardziej zaawansowane urządzenia do przetapiania stali i produkcji miedzi. Ponadto mają wydatnie pomóc w unowocześnieniu polskiej petrochemii.

W ramach zaferowanych kredytów Polska otrzyma ponadto urządzenia elektroniczne, mające zastosowanie w amerykańskim przemyśle i komunikacji. Są to więc te osiągnięcia technologii amerykańskiej, o których uzyskanie tak gorliwie zabiegają Sowiety. Ponieważ energetyka polska w znacznie większej mierze niż amerykańska opierała się na wydobyciu węgla, przy czym polskie kopalnie posługiwały się bardziej nowoczesnym sprzętem niż amerykańskie, Amerykanie są zainteresowani nie tylko w zwiększonym imporcie polskiego węgla, ale i w użyciu nowocześniejszych polskich urządzeń górniczych. Jak wiadomo, w ciągu ostatnich kilkunastu lat, aż do momentu kryzysu energetycznego, amerykańskie kopalnie węgla ulegały coraz większemu zaniedbaniu. Problem energetyki zajął też poczesne miejsce w zawartych umowach. Grupa ekspertów polsko-amerykańskich ma podjąć wspólne badania, których celem jest udoskonalenie wykorzystania energii opartej na wydobyciu węgla i gazu ziemnego. Specjalny fundusz 54 milionów dolarów przy równym udziale obydwu stron ma służyć badaniom w zakresie technologii rozmaitych działów rolnictwa, transportu, medycyny i ochrony przyrody. 1/3 tej sumy przeznaczona jest na badania energetyczne. W bieżącym roku amerykański eksport do Polski ma wynosić 400 milionów dolarów, co oznacza 20 % wzrost w porównaniu z rokiem ubiegłym. Wartość polskich dostaw do Ameryki do końca 1974 ma osiągnąć pułap 250 milionów dolarów — czyli o 75 % więcej niż w roku 1973.

POLSKA KSIĘGARNIA ORBIS

Przedstawicielstwo *KULTURY* i INSTYTUTU LITERACKIEGO
na Wielką Brytanię.

Wykonujemy zamówienia pocztowe na wszystkie książki polskie,
angielskie i rosyjskie.

Zawsze na składzie duży wybór książek.

Prosimy o odwiedzenie naszego sklepu podczas pobytu w Londynie.

Katalogi książek i polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie.

W dziale antykwarycznym posiadamy szereg wyczerpanych tytułów
Instytutu Literackiego.

ORBIS BOOKS (LONDON) LIMITED,
66, KENWAY ROAD, LONDON, S.W.5. ORD. — ENGLAND.
Tel.: 370-2210.

Listy do Redakcji

Do Redakcji *Kultury*.

O POSK'u INACZEJ

P. Brodziński w swym artykule pt. „Sprawa Polska Ltd.” (wrześniowy numer *Kultury*) pisał o tylu rzeczach — rozkład emigracji i „łapaj złodzieja” czyli tradycyjny polski argument w dyskusji, wyjazd do kraju i prezydent Giscard d'Estaing, trochę żargonu krajowego („czynnik bytowy”) i trochę patriotycznego pustostrowia itd., itd. — że nie znalazł miejsca na parę ważnych wyjaśnień.

Przedstawiając Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny polskim instytucjom i organizacjom emigracyjnym, które powstały po wojnie dzięki różnym funduszom likwidacyjnym (wojskowym i cywilnym), zapomniał dodać, że podstawą POSK jest dawny PUCAL (*Polish University College Association, Ltd.*), jedna z największych i najbogatszych instytucji powojennych, powstała z tych samych funduszy. Główna między nimi różnica jest ta, że podczas gdy celem innych organizacji była i jest przede wszystkim pomoc (finansowa i inna) dla własnych członków w Anglii i w kraju, czy dla ogółu uchodźców, czy też troska o potrzeby kulturalne i zabezpieczenie narodowych pamiątek, PUCAL w rękach realistów dbał głównie o zabezpieczenie i powiększenie swego majątku.

P. Brodziński słusznie podkreśla handlowy charakter POSK'u, odróżniający ten ośrodek od innych emigracyjnych instytucji, które mają cele ideowe (dobroczynne, społeczne, polityczne, kulturalne). Nie wyciąga z tego jednak właściwego wniosku. Jeśli się chce znaleźć współników do interesu, przedstawia się im korzyści jakie ta spółka im przyniesie, albo, w potrzebie, prosi się o pomoc. Nie może zachęcać do współpracy tych co mają pomagać, jeśli odsadza się ich od czci i wiary. POSK to taki św. Mikołaj, który żąda by mu do jednej torby sypać złoto, by potem z drugiej rozdawał orzeszki. To nie instytucje i organizacje emigracyjne proszą POSK o pomoc. To POSK ich potrzebuje. Frazesy patriotyczne, które temu towarzyszą mogą być bardzo ładne i zawsze znajdują posłuch, ale w tym wypadku nic nie znaczą. Gmach POSK ani nie może pomieścić wszystkich polskich instytucji — jedna trzecia przeznaczona jest na „cele handlowe” i częściowo już wynajęta Anglikom — ani się na to nie nadaje. Według przepisów statutu POSK (*charity*) nie może np. być w nim prowadzona żadna działalność polityczna, co musi wykluczyć wielką część organizacji emigracyjnych. Było to widoczne już w czasie uroczystości położenia kamienia węgielnego pod gmach POSK'u.

P. Brodziński ironicznie pisze, że dla wielu Polaków dzielnicą POSK'u nie jest *comme il faut*. I ma rację, choć nie w potocznie rozumianym znaczeniu tego powiedzenia. Dwa przykłady różnej wagi, choć można by ich dać wiele. Dojazd do budynku POSK nie jest łatwy, najlepsza komunikacja to kolejka podziemna. Ci, którym ma służyć, którzy mają tu przyjeżdżać do biblioteki, do swoich różnych instytucji, to głównie starsi emigranci,

którzy — od 60 roku życia — mają w Anglii darmowe przejazdy autobusowe, ale nie w kolejce podziemnej. (Młodzi, jeśli w ogóle chcą korzystać z polskich instytucji, trzymają się tych, które mają w swoich dzielnicach).

Drugi przykład to Instytut Polski i Muzeum im. Sikorskiego, świetnie położony i łatwo dostępny miejscowym i przyjezdnym, jedyny reprezentacyjny w Londynie polski gmach, który można — podobnie jak Bibliotekę Polską w Paryżu — pokazać każdemu bez kompleksu emigracyjnego ubóstwa i drugorzędności jako godne pomieszczenie historycznych pamiątek. Może p. Brodziński nazywać to snobizmem, ale nie wydaje mi się, by dobrym dla wojennych sztandarów sąsiedztwem były piwiarnie, dyskoteki i inne lokale rozrywkowe, przeznaczone w handlowej części POSK dla białej i kolorowej ludności tej dzielnicy. „Dobry adres” w Anglii to więcej niż snobizm. To coś, co budzi zaufanie i wymaga szacunku.

P. Brodziński, pragnąc wykazać bezsens wszystkich instytucji, które wolą mieć własny dom niż mieszkać kątem u innych robi dziwne jak na ekonomistę kalkulacje. Według nich wygląda to tak: jeśli ktoś np. kupił sobie dom za 2 tysiące funtów a dom jego wzrósł w cenie, powiedzmy do 50 tysięcy (zdarza się), mógłby, gdyby tę sumę zainwestował, mieć z procentów dochód paru tysięcy funtów rocznie. Czyli — według obliczeń p. Brodzińskiego — tyle właśnie kosztuje go mieszkanie w własnym domu. Jeśli nie wariat, powinien dom sprzedać i pieniądze dać temu kto chce je od niego wziąć, mieszkać u niego jako lokator, płacić za wydzielony pokój i nie mieć pewności czy pewnego pięknego dnia nie znajdzie się na bruku jeśli zmienią się okoliczności albo właściciele.

Przeprowadziłam kiedyś rozmowę dla Radia Wolna Europa z prof. Wajdą, głównym inicjatorem POSK, dla którego najlepszych chęci i poświęcenia w realizowaniu swych idei mam szczery szacunek. Zapytałam go jak zabezpieczona została przyszłość POSK, aby kiedyś nie przeszedł ze wszystkimi zbiorami, książkami wyklętymi w Polsce i byłyimi kombatantami na własność rządu PRL. Wyjaśnienia prof. Wajdy nie przekonały mnie, że taka gwarancja istnieje.

Stefania KOSSOWSKA
(Londyn)

POMÓŻCIE NATYCHMIAST. SYTUACJA JEST KRYTYCZNA.
KRYZYS EKONOMICZNY TEGO KRAJU DOTKNĄŁ DOTKLIWIE
I P.O.S.K.

POLSKI OŚRODEK SPOŁECZNO-KULTURALNY P.O.S.K.

prosi społeczeństwo polskie w wolnym świecie o doraźną i szybką pomoc finansową dla dokończenia dzieła budowy gmachu w Londynie.

Każda polska organizacja i każda osoba może pomóc w miarę swych możliwości:

- stając się Fundatorem POSK przez wpłatę co najmniej £ 250;
- stając się Członkiem POSK za jednorazową wpłatą £ 10;
- Członkowie wpłacając dodatkowe udziały: [dodatkowe prawo głosu — £ 10];
- wpłacając dobrowolny dar każdej wysokości.

Czeki i przekazy pieniężne wysyłać na adres:
POLISH SOCIAL and CULTURAL ASSOCIATION
9, PRINCES GARDENS, LONDON, S.W.7.

Indeks autorów i tematów rocznika "Kultury" za rok 1974

Spis autorów

A. K., A. Z. — BELMAN J., BIEREZIN Jacek, BÖLL Heinrich, BRODZIŃSKI Bohdan, BROMBERG Adam, BROMKE Adam, BRONSKI M., BRUKSELCHYK, BYRSKI Zbigniew. — CHCIUK Andrzej, CHYLŃSKA Kamila, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZARNOCKI Kazimierz, CZERNIAWSKI Adam, CZŁOWIEKOWSKI I. T. — DANILEWICZ-ZIELIŃSKA Maria, DAROWSKI Jan, DOBEK Czesław, DOBROSTAŃSKI Jerzy, DZIEWANOWSKI Kazimierz. — FORD Aleksander. — GARLIŃSKI Józef, GIDYŃSKI Józef, GŁOGOWSKI Karol, GOMBROWICZ Rita, GUTOWSKI Antoni. — HAMMEL Jan, HAUPT Zygmunt, HELLER Michał, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HIRSZOWICZ Maria, HORZELSKI Jerzy P. — ISTNER Filip, IWANŃSKA Alicja. — JANKOWSKI Jerzy, JANTA Aleksander, JASIŃSKI Zbigniew, JAWOROWSKI Jan, JAWORSKI Adam, JELEŃSKI Konstanty A., JENNE Benjamin Józef, J. L., J. MIER., JURIEFF Zoya. — KAMIENIECKI A., KARST Roman, KATZ Janina, KLUGMAN Aleksander, KOGLER Rudolf K., KOŁAKOWSKI Leszek, KORWIN Witold, KORZEC Paweł, KOSSOWSKA Stefania, KOWALEWSKI Janusz, KRASUSKI Baltazar, KRONSKA Irena, KRUCZEK Adam, KRUKOWIECKI Roman, KRZYŻANIAK Marian, K. W., — LANGROD Jerzy St., LEBENSTEIN Jan, LEWANDOWSKI Józef, LONDYŃCZYK. — ŁOKAJ Bronisław, ŁUKOMSKI Kazimierz. — MALISZEWSKI Czesław, MANEŁI Mieczysław, MANTEL Feliks, MATEJKO Aleksander, MIECZKOWSKI Bogdan, MIECZYŚLAWSKA Aniela, MIEROSZEWSKI Juliusz, MICHNIK Stefan, MIŁOSZ Czesław, MISZCZAK F., MORAWSKI Dominik, MOSTWIN Danuta, MROZOWSKI Krzysztof, MROZOWSKI S. — NASIELSKI Adam, N. N. (Rawicz Marian, Chile), N. N. (Warszawa), NOWACKI Tadeusz, NOWAK Grażyna, NOWAKOWSKI Tadeusz. — OKULICZ

Kazimierz, ONIEGOW Aleksander, OPALIŃSKI Kazimierz, OSAD-CZUK Bohdan. — PAWLAK Jan, PELIKAN, PODGÓRECKI Adam, POPIEL Karol, PUACZ Edward. — RACZYŃSKI Edward, REY Robert, RHEINISCH Leonard, RUDZIŃSKI Z. — SADOWA Marta, SAS-SKOWROŃSKI Mieczysław, SIEDLIK T., SŁONIMSKI Antoni, SOJKA Wojciech Ks., SPK - LONDYN, STAKOSZ Sław., STROYNOWSKI Juliusz, SUKIENNICKI Wiktor, SZPIGELBLAT Aleksander, SZTEIN Eugeniusz, SZWEDOWICZ Karol, SZWEJ Mieczysław. — TARNAWSKI Wit. — VINCENZ Andrzej. — WERNER-GAGNEBIN Murielle, WIDZ, WILSON R. K., WIRPSZA Witold, WITTLIN Józef, WOHNOUT Wiesław, WOJCIE-SZAK Aleksander, WOŁKOWSKI Zbigniew, W. T., WYRWA Tadeusz, WYZIEMBŁO Marcin. — X.Y.Z. — ZAKRZEWSKI J., ZAWIEJA Adam, ZBYSZEWSKI Wacław Alfred, ZUBRZYCKI Jerzy. — ŻAGIELL Edmund, ŻELEŃSKI Władysław, ŻENCZYKOWSKI Tadeusz, ŻUŁAWSKI Marek.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

BYRSKI Zbigniew: *O „détente”* (1/316-2/317).
 BROMKE Adam: *Polska „Ost-West” Politik* (11/326).
 — *Studia stosunków międzynarodowych* (1/316-2/317).
 BRUKSELCZYK: *Widziane z Brukseli* (1/316-2/317, 3/318, 4/319, 5/320, 6/321, 7/322-8/323, 9/324, 10/325, 11/326).
 CHYLIŃSKA Kamila: *Krzycząca mniejszość i milcząca większość* (5/320).
 CZAPSKI Józef: *Sołżenicyn* (12/327).
 DZIEWANOWSKI Kazimierz: *Naród jak lawa* (4/319).
 GUTOWSKI Antoni: *Cywilizacja karmiona ropą* (1/316-2/317).
 — *Handel Wschód-Zachód* (4/319).
 KOŁAKOWSKI Leszek: *Georges Sorel — marksizm jansenistyczny* (1/316-2/317).
 KRUKOWIECKI Roman: *Bliskowschodnia kwadratura koła* (4/319).
 — *Czy nowa era we Francji?* (7/322-8/323).
 — *Kronika Bliskiego Wschodu* (5/320).
 — *Z ostatnich wydarzeń w NRF* (12/327).
 LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/316-2/317).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Księgi ugody i diaspory Adama Bromke* (11/326).
 — *Materiały do refleksji i zadumy* (6/321, 10/325, 12/327).
 — *O „czwartym świecie” i innych sprawach* (7/322-8/323).
 — *Rosyjski „kompleks polski” i obszar ULB* (9/324).
 MORAWSKI Dominik: *Korespondencja z Rzymu* (1/316-2/317, 3/318, 4/319, 5/320, 6/321, 7/322-8/323, 9/324, 11/326, 12/327).
 N.N. (Marian Rawicz zmarły w 1974 roku): *Chile* (3/318).
 N.N. (Warszawa): *Jak rozumiem list Sołżenicyna do przywódców Związku Sowieckiego* (7/322-8/323).
 NOWACKI Tadeusz: *Czwarta wojna* (1/316-2/317).

OPALIŃSKI Kazimierz: *O duchu bezprawia* (12/327).
 PELIKAN: *Somnia vigilantium* (1/316-2/317).
 RACZYŃSKI Edward: *O dyplomacji* (11/326).
Wydarzenia miesiąca: (1/316-2/317, 3/318, 4/319, 5/320, 6/321, 7/322-8/323, 9/324, 10/325, 11/326, 12/327).
 X:Y.Z.: *Pokusy i przestrogi* (10/325).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

BÖLL Heinrich: *Boska gorycz Aleksandra Sołżenicyna* (6/321),
 przeł. z niemieckiego Juliusz Stroynowski.
 BROŃSKI M.: *Twórczość Jarostawa Iwaszkiewicza* (7/322-8/323).
 — *Władimir Nabokow* (4/319).
 DAROWSKI Jan: *Z notatnika* (6/321).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (1/316-2/317, 3/318, 5/320, 7/322-8/323, 9/324).
 IWAŃSKA Alicja: *Indiańscy intelektualiści (I)* (5/320).
 LEWANDOWSKI Józef: *Repetitorium* (5/320).
 MIŁOSZ Czesław: *Ogród nauk* (3/318, 6/321, 9/324).
 — *Zdania* (12/327).
 STROYNOWSKI Juliusz (tłumacz) ob. BÖLL Heinrich.
 WIRPSZA Witold: *„Poezja” i poezja* (6/321).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

CHCIUK Andrzej: *Fragment powieści* (1/316-2/317).
 CZERNIAWSKI Adam: *Coitus* (1/316-2/317).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Popielec* (7/322-8/323).

Utwory poetyckie

BIEREZIN Jacek: *Arkadia* (5/320).
 — *Choroby społeczne* (5/320).
 — *Robotnik* (5/320).
 — *Święta Bożego Narodzenia* (5/320).
 — *Święto Wiosny* (5/320).
 — *Wam!* (5/320).
 — *W połowie życia* (5/320).
 CZERNIAWSKI Adam: *Autopsja* (7/322-8/323).
 — *Pierwszy śnieg* (7/322-8/323).
 — *Samosąd* (7/322-8/323).
 — *Wyspa Gaunilona* (7/322-8/323).
 DOBEK Czesław: *Modlitwa przed pisaniem wierszy* (4/319).
 MROZOWSKI Krzysztof: *Ankieta* (6/321).
 — *Krzysztofowi Karaskowi* (6/321).
 — *Nie dopuszczaj myśli* (6/321).

- Uwaga! Uwaga! Biorą się za nich (6/321).
- Wycinacze mięsa (6/321).
- Z dokumentów (6/321).

ONIEGOW Aleksander: „Caryca i zwierciadło” (10/325).
SZPIGELBLAT Aleksander: *Samotne litery* (7/322-8/323).

Sprawy krajowe

- A był czas kiedy i cenzorzy... (7/322-8/323).
BYRSKI Zbigniew: *Gierek w Ameryce* (12/327).
Czarna lista (9/324).
GUTOWSKI Antoni: *Polska a Komekon* (6/321).
— *Statystyka ludziom na pociechę* (12/327).
— *Zbliżenie polsko-francuskie* (9/324).
HAMMEL Jan: *Bóg, honor, Ojczyzna i Bohdan Poręba* (3/318).
HIRSZOWICZ Maria: *Sładami mitu (W odpowiedzi Stefanowi Kisielewskiemu)* (10/325).
HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (7/322-8/323, 9/324, 10/325).
J. MIER.: *Anty-odwilż* (7/322-8/323).
KARST Roman: *Encyklopedia Polski Ludowej* (1/316-2/317).
Kronika PRL (12/327).
K.W.: *Spółeczeństwo a piramida władzy* (11/326).
Polityczna opozycja w Polsce (11/326).
Poszerzone tezy tow. Kwiatka (3/318).
Przeszkolenie polityczne księży w PRL (9/324).
Skonfiskowany Manifest (7/322-8/323).
WOJCIESZAK Aleksander: *Gierkowska ekonomia w odwrocie* (7/322-8/323).
W rocznicę 17-go Września (11/326).
WYZIEMBŁO Marcin: *Życie rocznicowe w PRL* (7/322-8/323).
ZAWIEJA Adam: *Którzy są...* (4/319).
ŻENCZYKOWSKI Tadeusz: *Geneza i kulisy PKWN* (7/322-8/323).

Sąsiedzi

- HEYDENKORN Benedykt: *Słowacja* (6/321).
J.L.: *Również i w Polsce rusyfikują Ukraińców* (5/320).
Kronika ukraińska (12/327) przeł. z ukraińskiego Stefan Michnik.
KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (1/316-2/317, 3/318, 4/319, 5/320, 6/321, 7/322-8/323, 9/324, 10/325, 11/326, 12/327).
MICHNIK Stefan (Tłumacz), ob. *Kronika ukraińska*.
NOWAKOWSKI Tadeusz (Tłumacz) ob. RHEINISCH Leonard.
O niemiecko-polskiej współpracy kulturalnej (3/318) przeł. z niemieckiego Andrzej Vincenz.
OSADCZUK Bohdan: *Kronika ukraińska* (7/322-8/323).
PAWLAK Jan: *Wywiad z Pawłem Litwinowem* (5/320).

- RHEINISCH Leonard: *Dwa razy: Niemcy i Polacy* (7/322-8/323),
przeł. z niemieckiego Tadeusz Nowakowski.
SADOWA Marta: *Moskwa — dzisiaj* (1/316-2/317).
SUKIENNICKI Wiktor: *Kronika białoruska (Białoruskie czasopisma na Zachodzie)* (10/325).
SZWEDOWICZ Karol: *Kronika czeska i słowacka* (4/319, 6/321, 9/324, 10/325).
— *Ukrainica na VII Kongresie Słowistycznym* (1/316-2/317).
VINCENZ Andrzej (tłumacz) ob. „O niemiecko-polskiej współpracy kulturalnej”.
Wrażenie z Pragi (10/325).
ŻAGIELL E.: *Białorusini* (5/320).
— *Kronika bałtycka* (11/326).
— *Kronika litewska* (10/325).
— *Litwa* (5/320).

Głos wolnej Rosji

- BROŃSKI M.: *Archipelag* (3/318).
HELLER Michał: *Ziemia Gułag* (3/318).
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Z „Archipelagu” na „Kontynent”* (10/325).
Nowe pismo (9/324).
Od Redakcji (3/318).

Wolna trybuna

- MANTEL Feliks: *Dylemat komunizmu* (12/327).

Sprawy i troski

- A.Z.: *Zamki dla „Polonii”* (11/326).
BRODZIŃSKI Bohdan: *Skrzynka gen. Sikorskiego* (11/326).
— „Sprawa Polska”, Ltd. (9/324).
CHCIUK Andrzej: *Roman Gronowski* (9/324).
DOBROSTAŃSKI Jerzy: *Emigranci w Australii* (4/319).
GIDYŃSKI Józef: *Splacanie przedwojennych polskich pożyczek zagranicznych* (1/316-2/317).
JAWORSKI Adam: *Wynaradawianie się Polonii Kanadyjskiej* (1/316-2/317).
KOGLER Rudolf K. — HEYDENKORN Benedykt: *Ludność polskiego pochodzenia w Kanadzie* (5/320).
Lekarz-emigrant we Francji (9/324).
MOSTWIN Danuta: *Dzieci powojennej emigracji* (6/321).
NASIELSKI Adam: *Początek końca* (5/320).

- NOWAK Grażyna: *List z Londynu* (1/316-2/317, 4/319, 6/321, 10/325).
Próby rozkładania Polonii (9/324).
 PUACZ Edward: *Polska praca i płaca w USA* (3/318).
 REY Robert: *Golgota* (12/327).
 SOJKA Wojciech, Ks.: *Parafie polskie w USA* (11/326).
 STAKOSZ Sław: *Wizyta w Ojczyźnie* (10/325).
 SZWEJ Mieczysław: *Jubileusz tygodnika polonijnego* (6/321).
 ŻAGIELL E.: *Kronika australijska* (3/318).

Kronika kulturalna

- BRÓŃSKI M.: (tłumacz) ob. GOMBROWICZ Rita.
 CZAPSKA Maria: *Laski i ich założyciele* (3/318).
 CZAPSKI Józef: „*Abel min broder*” (4/319).
 — *Józef Jarema* (11/326).
 GOMBROWICZ Rita: *Ofelio idź do klasztoru* (3/318), przeł. z francuskiego M. Broński.
 ISTNER Filip: „*Czapkę błazeńską nie można się klaniać*” (12/327).
 KOŁAKOWSKI Leszek: *Irena Krońska* (4/319).
 — *Na grób Marii Ossowskiej* (10/325).
 KROŃSKA Irena: *O Izidorze Dąbskiej* (4/319).
 LEBENSTEIN Jan: (sześć rysunków do „*Folwarku zwierzęcego*” Orwella) (7/322-8/323).
Major Tadeusz Nowacki (3/318).
 MIŁOSZ Czesław: *O Irenie Krońskiej* (4/319).
 RUDZIŃSKI Z.: *Trafność widzenia* (9/324).
 TARNAWSKI Wit: *Sprawy conradowskie* (4/319).
 WIDZ: „*Słub*” w Warszawie (7/322-8/323).
 WITTLIN Józef: *Żegnamy przyjaciela* (5/320).
 W.T.: *Pięćdziesięciolecie zgonu Conrada* (11/326).
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Michał Tyszkiewicz* (6/321).
 — *Wydział Prawa U.J.* (12/327).
 ŻUŁAWSKI Marek: *Jerzy Żuławski 1874-1915* (4/319).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- A.K.: *Krótko o książkach* (10/325, 12/327).
 BRÓŃSKI M.: *Aksamitny baryton* (9/324).
 — „*Gotos iz chora*” (1/316-2/317).
 — *Nie ta rewolucja* (11/326).
 — *Nowa powieść Stalińskiego* (6/321).
 CZAPSKA Maria: *Dziennik inż. Czerniakowa* (4/319).
 DANILEWICZ-ZIELIŃSKA Maria: *Krajowe nowości wydawnicze* (1/316-2/317, 3/318, 4/319, 6/321, 9/324, 12/327).
 GARLIŃSKI Józef: *Cierpienie i przebaczenie* (5/320).
 HAUPT Zygmunt: *Tam gdzie rosną poziomki — i gdzie pieprz rośnie* (5/320).

- HEYDENKORN Benedykt: *Pamiętniki polskich emigrantów w Kanadzie* (12/327).
 — *Studia etniczne w Kanadzie* (6/321).
 JELEŃSKI K. A.: *Czapski nareszcie scalony* (9/324).
 KATZ Janina: *Czekając na katalie* (5/320).
 KRUCZEK Adam: *Notatki czytelnika* (6/321).
 — *Życie i śmierć w łagrach* (7/322-8/323).
 LEWANDOWSKI Józef: *Aneksy do „Aneksu”* (12/327).
 — *Russica* (11/326).
 MANELI Mieczysław: *Pawła Łyska traktat socjologiczno-polityczny* (7/322-8/323).
 MOSTWIN Danuta: *O niełatwości życia* (12/327).
Nadestane nowości wydawnicze (1/316-2/317, 3/318, 4/319, 5/320, 6/321, 7/322-8/323, 9/324, 10/325, 12/327).
O Vincenzie po ukraińsku (4/319).
 WERNER-GAGNEBIN Murielle: *Książka o Józefie Czapskim* (3/318).

Sprawy (nie tylko) wydawnicze

- BROMBERG Adam: *Bariera wewnętrznego sprzeciwu* (10/325).
 — *Ficja i rzeczywistość w prawie autorskim* (3/318).
 — *Komiksowy galimatias* (1/316-2/317).
 — „*Krytyka*” i krytyka (4/319).
 — *Książki o nieprzemijającej wartości* (12/327).
 — *Wesoła teoria, smutna praktyka* (5/329).

Z teki informacyjnej

- HORZELSKI Jerzy: *Eschatologia we wszystkich (ponurych) kolorach widma* (1/316-2/317).
 — *Samochód mego wnuka (i dziadka)* (5/320).

Tłumaczenia

Z języka francuskiego

- GOMBROWICZ Rita: *Ofelio idź do klasztoru* (3/318), przeł. M. Broński.

Z języka niemieckiego

- BÖLL Heinrich: *Boska gorycz Aleksandra Sołżenicyna* (5/321), przeł. Juliusz Stroynowski.
O niemiecko-polskiej współpracy kulturalnej (3/318), przeł. Andrzej Vincenz.
 RHEINISCH Leonard: *Dwa razy: Niemcy i Polacy* (7/322-8/323), przeł. Tadeusz Nowakowski.

Z języka ukraińskiego

Kronika ukraińska (12/327), przeł. Stefan Michnik.

Listy do Redakcji

BELMAN J. (5/320). BROMBERG Adam (3/318). BROŃSKI M. (3/318). BYRSKI Zbigniew (1/316-2/317). CZAPSKA Maria (7/322-8/323). CZARNOCKI Kazimierz (3/318). CZERNIAWSKI Adam (3/318, 5/320). CZŁOWIEKOWSKI I. T. (4/319). FORD Aleksander (4/319). GŁOGOWSKI Karol (7/322-8/323). JANKOWSKI Jerzy (7/322-8/323). JANTA Aleksander (6/321). JASIŃSKI Zbigniew (9/324). JAWOROWSKI Jan (5/320). JENNE Benjamin Józef (6/321). JURIEFF Zoya (3/318). KAMIENIECKI A. (9/324). KARST Roman (5/320). KLUGMAN Aleksander (4/319). KOŁAKOWSKI Leszek (6/321). KORWIN W. (11/326). KORZEC Paweł (9/324). KOSSOWSKA Stefania (12/327). KOWALEWSKI Janusz (1/316-2/317, 6/321). KRASUSKI B. (10/325). KRZYŻANIAK Marian (1/316-2/317). LANGROD Jerzy St. (4/319). LEWANDOWSKI Józef (5/320). ŁOKAJ Bronisław (5/320). ŁUKOMSKI Kazimierz (5/320). MALISZEWSKI Czesław (3/318). MATEJKO Aleksander (4/319, 7/322-8/323). MIECZKOWSKI Bogdan (7/322-8/323). MIECZY-SŁAWSKA Aniela (3/318). MIŁOSZ Czesław (7/322-8/323). MISZCZAK F. (3/318). MOSTWIN Danuta (3/318). MROZOWSKI S. (6/321). OKULICZ Kazimierz (1/316-2/317). PODGÓRECKI Adam (9/324). POPIEL Karol (1/316-2/317). PUACZ Edward (1/316-2/317). RACZYŃSKI Edward (10/325). SAS-SKOWROŃSKI Mieczysław (4/319). SIEDLIK T. (Odpowiedź Redakcji) (6/321). SŁONIMSKI Antoni (3/318). SOJKA Wojciech, Ks. (5/320, 7/322-8/323). SPK - LONDYN (6/321, 11/326). SZTEIN Eugeniusz (7/322-8/323). WILSON R. K. (4/319). WOHNOUT Wiesław (1/316-2/317). WOŁKOWSKI Zbigniew (10/325). WYRWA Tadeusz (3/318, 9/324). ZAKRZEWSKI J. (11/326). ZUBRZYCKI Jerzy (10/325). ŻELEŃSKI Władysław (5/320).

Komunikaty

Fundusz stypendialny im. gen. Wacława Stachiewicza (5/320).
Komunikat o polskim wydaniu „Archipelagu GUŁag” (3/318).
Komunikat Redakcji „Kultury” o podniesieniu prenumeraty „Kultury” i „Zeszytów Historycznych” na rok 1975 (10/325).
Konkurs dla dzieci i młodzieży ogłoszony przez Kiermasz Książki Polskiej SPK w Szwajcarii (7/322-8/323).
Konkurs im. Józefa Wyrwy (1/316-2/317).
Konkurs na prace historyczne (10/325).
Od Redakcji (12/327).

Od Wydawnictwa (O polskim wydaniu „Archipelagu GUŁag”) (6/321).

Pełne wydanie listów Henryka Sienkiewicza (7/322-8/323).

POSK — Konkurs (5/320).

Przedpłata na „Archipelag GUŁag” (4/319).

Sprawozdanie Twa Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji (7/322-8/323).

Stypendia „Polonia Technica” (4/319).

Subskrypcja na „Listy z nieba” St. Vincenza (1/316-2/317).

Subskrypcja na „Rozmowy z tobą” Zb. Grabowskiego (1/316-2/317).

Wpłaty na „Listy z nieba” St. Vincenza (6/321).

Bibliografia

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1974 (12/327).

Noty biograficzne

BIEREZIN Jacek (5/320).

BROMKE Adam (1/316-2/317).

FILIPSKI Ryszard (3/318).

MANELI Mieczysław (7/322-8/323).

PORĘBA Bohdan (3/318).

Różne

Nekrolog Czesława Kazimierza Dobka (1/316-2/317).

Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/316-2/317, 3/318, 4/319, 5/320, 6/321, 7/322-8/323, 9/324, 10/325, 11/326, 12/327).

Sprostowanie pomyłek w Spisie Rzeczy „Kultury”: List dr. R. K. Wilsona ukazał się nie w nr. 1/316-2/317 a w nr. 4/319.

Wydawnictwa książkowe w roku 1974

« Biblioteka Kultury »

Tom 241 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 27-my), str. 240.

Tom 242 — Madej Bohdan: *Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości*, str. 168.

Tom 243 — Staliński Tomasz: *Śledztwo*, str. 224.

Tom 244 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 28-my), str. 240.

Tom 245 — Miłosz Czesław: *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, str. 96.

Tom 246 — *Powszechna Deklaracja Praw Człowieka* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 42-gi), str. 64.

- Tom 247 — Sołżenicyn Aleksander: „Archipelag GUŁag”, tom I-szy, str. 560.
 Tom 248 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 29-ty), str. 240.
 Tom 249 — Bierezin Jacek: *Wam*, str. 80.
 Tom 250 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 30-ty), str. 240.
 Tom 251 — Heller Michał: *Świat obozów koncentracyjnych w literaturze sowieckiej*. Str. 324.
 Tom 252 — Danilewicz Zielińska Maria: „Kultura” (1958-1973), „Zeszyty Historyczne” (1962-1973) Bibliografia zawartości. Działalność wydawnicza (1959-1973).

“POLONIA”

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
 2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
 Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
 Dépôt Légal 4^e trimestre 1974.



KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
 Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
 par 78600 Maisons-Laffite : Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 2,00	R. 10,00	R. 18,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 2,00	\$A. 11,00	\$A. 20,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	Sch. A. 55,00	Sch. A 325,00	Sch.A. 575,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 CEIIs., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$ US 24,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 7,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839 ; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115 ; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	3 Can. 2,50	\$ Can. 13,00	\$ Can. 24,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 —	DM. 7,00	DM. 40,00	DM. 75,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, r. des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33-34-20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbet Zaba. Ka!lskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; M.E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172. T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847 ; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111 ; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706 Tél. 867-1857 ; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$US 24,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W 5. ORD.	£ 0,95	£ 5,80	£ 10,50
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna - F. 120, półroczna - F. 65.
 Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,40.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,
 par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 246 — SERIA « DOKUMENTY »

ZESZYT 42

POWSZECHNA DEKLARACJA PRAW CZŁOWIEKA

w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim,
słowackim i ukraińskim.

Str. 64.

Cena F. 10 (dol. 2,50)



TOM 247 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁag

Tom I-szy

Str. 560.

Cena F. 60 (dol. 13)



TOM 249 — JACEK BIEREZIN

Tomik poezji autora krajowego.

W A M

Str. 76.

Cena F. 12 (dol. 2,50)



TOM 250 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY

zawiera m.in. prace: B. Z. Wojas: *Dzieje Polonii Charbińskiej*; M. Wyziembły: *Losy Polaków...*; W. Babińskiego: *Z materiałów archiwalnych*; W. Stachewicza: *Konferencja Aliantów w Moskwie (w przededniu wojny 1939 r.)*; W. Sukiennickiego: *Memoriał o sprawie litewskiej Wł. Zawadzkiego z 1917 r.*; Ł. Hirszowicz: *Memorandum gen. Sikorskiego*; O. Dumina: *Prawda o Ukraińskiej Organizacji Wojskowej*; T. Romera: *Moja misja jako ambasadora R.P. w Zw. Sowieckim*; B. K. Piekarskiego: *Zielna 25 (Ostatnie Dni Polskiego Radia Warszawa)*; W. T. Drymmera: *Wspomnienia (4)* oraz
RECENZJE I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 5,00)